

Dell Ethel Mary

W ODMĘTACH

Tiggi i Viola to główni bohaterowie tej powieści. Ich historia zaczęła się w parną, podzwrotnikową noc na statku płynącym z Bombaju do Anglii.

Ona — delikatna, wiotka, prawie eteryczna, ale znająca już gorzki smak życia i szukająca w otchłaniach morskich rozwiązania swych problemów.

On — silny, wysportowany, postawny, prawy i mimo swych 36 lat nie znający gwałtownych uniesień serca i wybuchów namiętności.

I ta upalna noc sprawiła, że przyszło im razem doświadczyć zmiennych kolei Losu. Czy będą jego szczęśliwymi wybrancami?

Część I

Stała na pokładzie statku oparta o burłę, gdy Tiggie Turner zauważył ją po raz pierwszy. Blade, ciemnowłose dziewczę, o dziecinnych, poważnych, niebieskich oczach, które zdawały się kogoś wypatrywać. Słońce tymczasem rzucało bezlitośnie swe promienie na pokrycie dachu, a podłoga rozpalona była od gorąca. Opuścili Bombaj przed trzema godzinami i wiele kobiet odpoczywało teraz w swoich kabinach lub na pokładzie w chłodnych zakątkach.

Tiggie chciał właśnie pójść za ich przykładem, bo jechał na urlop zdrowotny do kraju i czuł się jeszcze trochę inwalidą, gdy spostrzegł na pokładzie szczupłą, samotną postać.

Nikt inny nie zwracał na nią uwagi, Tiggie mógł nawet sądzić, że zjawisko to widoczne jest tylko dla niego. Ale nie wierzył w zjawy i wiedział, że to dziewczę, chociaż tak eteryczne, jest najzupełniej realne. — Niewątpliwie czeka na kogoś — pomyślał i chciał ją już ominąć, gdy niespodzianie odwróciła głowę i oczy jej spotkały się z jego wzrokiem. Nie odezwała się słowem, pamiętał o tym później. Ale wzrok jej przykuł go do miejsca, wyrażał błagalną prośbę o pomoc. Tiggie stał w milczeniu podnosząc rękę, aby się uklonić.

— Przepraszam panią. Czy pani kogoś szuka?

— Tak — odpowiedziała bardzo cicho — tak, szukam mego męża.

— Pani męża?! — powtórzył Tiggie. — Zagubił się? Może potrafię go znaleźć?

— Dziękuję panu — rzekła. — Wątpię bardzo. Kazał mi czekać w kabinie, ale ponieważ nie przychodził... a tam było tak duszno...

Tiggie spostrzegł lęk w jej oczach i odpowiedział kierowany instynktem:

— Gdzieś tu musi być. Postaram się go odnaleźć. Jak wygląda? Jak się nazywa?

— Nazywa się — mówiła ciągle przyciszonym głosem — Norman, John Norman. Jest ciemny, o szpakowatych włosach i czarnym wąsie, nieco... groźnie wygląda.

Głos jej załamał się, oczy wyrażały znowu błaganie.

— Dobrze więc, to mi wystarczy—rzekł Tiggie. — Rozglądnę się za nim, ale postaram się najpierw o krzesło dla pani. — Ach, nie, jeżeli tylko będzie pan mógł go znaleźć, to wszystko, czego pragnę.

— Zgoda! — rzekł Tiggie z uśmiechem. — Zobaczę, co da się zrobić. Odszedł, aby stracić pół godziny na bezowocnym poszukiwaniu

męża ciemnowłosej, opuszczonej kobiety.

— Gzy macie na pokładzie statku pasażera o nazwisku Norman? Jaki numer jego kabiny? — pytał Tiggie kasjera. — Norman? Na pamięć nie mogę panu powiedzieć, ale popatrzę. Czy to pilne?

— Zaczekam — odparł Tiggie.

Czekał znowu pół godziny, aż otrzymał objaśnienie.

— Pani Norman jest na statku. Ma dwuosobową kabinę. Numer pięćdziesiąt trzy. Ale pana Normana nie ma u nas. Nie brał biletu. — Do diabła! — rzekł Tiggie, lecz wnet się opanował — ach tak, dziękuję. Pomyliłem się widocznie. I z uzyskaną wiadomością odszedł na drugi koniec statku, aby zebrać myśli. — W tym kryje się coś niedobrego, coś bardzo niedobrego i wygląda na to, jak gdybym miał zostać w to wmieszany. — Tiggie Turner wahał się zawsze ingerować w życie i sprawy innych ludzi. Uważał siebie i był uważany przez drugich za człowieka o łatwym usposobieniu, a ponieważ nie lubił tracić czasu na analizy, nie zdawał sobie sprawy ze swoich zalet. Nazywał się Montague Turner, ale każdy, kto go znał bliżej, wołał na niego Tiggie, po części dlatego, że był słusznej tuszy, ale także dlatego, że miał wesołe, spokojne usposobienie, które niełatwo było zmącić. Gdziekolwiek się znalazł, wszędzie był lubiany i szanowany przez

swoich kolegów oficerów, jako dobry strzelec i sportsmen. Kobiety twierdziły, że powinien się ożenić, bo posiada wszelkie zalety na idealnego męża i ojca, ale z niewiadomych przyczyn, a może i z braku możliwości, Tiggie w trzydziestym szóstym roku był jeszcze kawalerem.

— Tak, niewątpliwie byłoby to bardzo miłe — odpowiadał, gdy go zachęcano do hymenu — ale nie zdaje mi się, abym pragnął kajdan!

Panny, które bawiły na placówkach indyjskich nie uważały go za specjalnie pociągającego, chociaż tańczył, grał w tenisa i zawsze był uprzejmy i usłużny. Twierdziły, że jest nudny i pospolity, a nawet fakt, że dzieci za nim przepadały, nie czynił go bardziej pożądanym przez dorosłych. Nie miał w sobie nic romantycznego. Jasnym było, że wiódł zawsze cnotliwe i nieciekawe życie i nigdy nie wpadł w długi ani też nie nauczył się dotąd elementarnych zasad flirtu. Rzadko kiedy schlebiał, a gdy powiedział jakiś komplement, był on ciężki i pozbawiony kokieterii. Zresztą być uważaną za piękną przez Tiggiego, nie było wielkim zaszczytem. Jego poglądy zanadto były staromodne i prostolinijne, aby mogły być dla kogoś interesujące. Sądzono też ogólnie, że jeżeli kiedyś się ożeni, żona jego będzie tak samo nudna, ciężka i bezbarwna jak i on. Ale Tiggie Turner miał swoje zalety. Nikt nie mógł mu zarzucić jakiegoś podłego czynu lub tego, że potrafiłby powiedzieć co innego w oczy, a co innego poza oczy. Pozbawiony był może dlatego goryczy i szedł prostą drogą z małymi przeszkodami. Z natury posiadał szczęśliwe usposobienie, łatwo nawiązywał znajomości i cieszył się niezwykłą popularnością wśród kolegów. Tylko tacy, którzy byli nieuczciwi, gardzili nim jako głupcem i nie byli zdolni ocenić prostoty tego człowieka, który kroczył przez życie nie pozbawione różnych pokus w ten sposób, że nie można mu było nic zarzucić. Po dłuższym rozmyśleniu Tiggie ruszył na poszukiwanie swej nowej znajomej. Nie spodziewał się zastać jej na tym samym miejscu i wątpliwości jego okazały się uzasadnione. Nie było jej już na pokładzie. Filozoficznie nastrojony poszedł na dół i spotykając stewarda, posłał go do kabiny nr 53 z poleceniem, aby oznajmił pani Norman, że kapitan Turner czeka na nią i ma jej coś do powiedzenia.

Statek nie był duży, więc ledwie kilka sekund minęło, steward wrócił.

— Pani Norman zaraz wyjdzie, jeżeli pan łaskawie zechce zaczekać. Tiggie czekał więc dalej bez znaku jakiegoś zniecierpliwienia. Nadeszła wreszcie pospieszonym, nerwowym krokiem, a śmiertelną bladość jej twarzy podkreślała jeszcze biała suknia.

— Ach, to pan! — rzekła. — Znalazł go..., znalazł go pan? Poznał po jej oczach, że wiedziała jakiego rodzaju będzie jego

odpowiedź i to ułatwiło mu wypowiedzenie prawdy.

— Nie. Nie ma go na statku. Nie kupił biletu — rzekł krótko.

— Nie... kupił... biletu?

Tiggie zobaczył, jak dłoń jej spoczęła na sercu i ogarnęła go niespodziewana złość. Stał jednak bez ruchu w ciemnym korytarzu i patrzył przed siebie.

Wydało mu się, że bardzo dużo czasu upłynęło zanim ona odezwała się znowu, a w ciągu tych długich chwil raz tylko podniósł oczy, aby się spotkały z jej wzrokiem. Rozmyślnie powstrzymywał się od tego, bo wiedział, że jedynie tym sposobem zapanuje nad szalonym, niezwykłym wybuchem gniewu, który w nim ciągle wzbierał. Tak drobna była, tak bezbronna, tak młoda... nagle usłyszał jej głos, bardzo cichy i zalek. niony. Poczul ulgę. Wszystko bowiem było lepsze od tego tragicznego milczenia!

— Więc..., więc on... chciał mnie... chciał mnie zostawić! — Znowu chwila ciszy, a potem westchnienie podobne do jęku: — O! Go ja pocznę?

Tiggie spojrział na nią nieśmiało, zauważył delikatną przejrzystość jej cery i wyraźnie zarysowane brwi nad przerażonymi oczyma. W każdym razie powiedział jej prawdę i nie zemdlała. Miał nadzieję także, że nie będzie płakała, ale tego nie był tak pewny.

Nie mógł znaleźć żadnych słów, które by zdołały ją pocieszyć, więc skierował do niej pytanie, które przyszło mu na myśl.

— Czy piła panj, herbatę? Drgnęła usłyszawszy jego głos.

— Herbatę? Nie, nie wiem..., nie myślałam o tym. Dlaczego?

— Podam pani herbatę, jeżeli pójdzie pani ze mną — zaproponował Tiggie z powagą i uprzejmością.

Patrzyła na niego przez chwilę, jak gdyby powiedział coś zdumiewającego.

— Nie chcę herbaty — rzekła wreszcie. — Sądzę, że lepiej będzie, gdy wrócę do swojej kabiny.

Odwróciła się chcąc to uczynić, ale Tiggie łagodnym ruchem przeszkodził. Czemu to zrobił, nie umiałby powiedzieć. Długo potem wmawiał sobie, że byłoby znacznie lepiej, gdyby pozwolił jej odejść. Nie leżało to jednak w jego naturze patrzeć na czyjś smutek i nie reagować. Zatrzymał ją więc stanowczo.

— Na pani miejscu nie szedłbym do kabiny. Proszę pójść ze mną do salonu na herbatę.

Stała, jak ktoś przyzwyczajony do posłuszeństwa i dziwnym sposobem ten prosty fakt jej poddania rozgniewał go także. Tak była podobna w tej chwili do zagubionego dziecka.

— Bardzo to uprzejmie z pana strony — rzekła. — Ale... ja nie wiem, nie wiem... czy to wypada. Widzi pan, nie mam znajomych na pokładzie... ani nigdzie.

— Mniejsza o to — odparł Tiggie. — Ja także nie znam wielu osób. Tylko pocziwego Spota, doktora i kilku innych. Ale teraz, gdy płyniemy, stanowimy wszyscy jedną rodzinę. Może więc pani swobodnie pójść ze mną na herbatę. Spragniony jestem bardzo.

— Ach, doprawdy? Jeszcze pan nie pił? To moja wina.

— Wcale nie — rzekł Tiggie. — Po herbacie jednak lepiej potrafimy myśleć.

— Proszę więc prowadzić — odpowiedziała miękko. Dziękował Bogu, że tak spokojnie pogodziła się z rzeczywistością.

Byłoby okropnie, gdyby zemdląca lub dostała histerycznego ataku. Tak, byłoby to straszne. Już sama ta myśl obudziła w nim na nowo gniew. Coś w niej było takiego, co przypominało mu małe skulone zwierzątko, które nie odważało się głośno kwilić? Czy to te niebieskie, zdumione oczy, czy też niski, dziecinny, przyciszony głos? Cokolwiek to było, miał ochotę zaciskać pięści, zgrzytać zębami i miotać przekleństwa, chociaż wszystkie te impulsy zupełnie były obce jego spokojnej naturze.

Wypili razem herbatę w jadalni, która o tej późnej porze była niemal opustoszała. W sąsiedniej sali ktoś grał fokstrota na fortepianie, dochodziły do nich dźwięki wesołej rozmowy i śmiechu. Widocznym było, że podróż nie będzie nudna. Na pokładzie tętniło życie.

Ona jednak piła i jadła zupełnie mechanicznie i tylko śmiertelną bladość twarzy zastąpił naturalny kolor. Gdy oczy miała spuszczone, nic specjalnie pociągającego nie było w jej twarzy, chociaż miała jakiś patetyczny wyraz. Tiggie, jedząc chleb z masłem zauważył jedynie, że nie wygląda na więcej, jak na szesnaście lat. Uroda jej, jeżeli w ogóle o urodzie można mówić, była jeszcze nierozwinięta.

Nagle pani Norman przemówiła, a on spostrzegł błysk jej niebieskich oczu spod gęstych, czarnych rzęs.

— Czy sądzi pan, że powinnam o tym powiedzieć kapitanowi?

— Nie wiem — rzekł Tiggie. — Zależy od tego, jak pani to odczuwa. — Zobaczył, że gdy stawiała filizankę, ręka jej drżała.

— Jak ja odczuwam? Na razie nie mogę nie czuć. Nie wiem, co się stanie. On musiał to rozmyślnie zrobić, prawda? Skoro nie kupił biletu.

Tiggie podparł się łokciami i patrzył na nią badawczo. Miał wielką ochotę użyć znowu dosadnych słów na wyrażenie swego oburzenia, ale oparł się tej pokusie z całą stanowczością. Wysilek zaś ten uczynił go . nienaturalnie ponurym.

— Jeżeli naumyślnie powiedział pani, że kupił bilet, a nie wziął go, sądzę, że uczynił to wszystko z premedytacją. Załamała dłonie i siedziała bez ruchu patrząc przed siebie.

— Nie myślałam, że zamierza mnie zostawić. Mógł mi przecież to powiedzieć. Może chciał uniknąć pożegnania?

— Od ilu lat jest pani zamężna? — zapytał Tiggie.

— Prawie od trzech lat.

— Cały czas była pani w Indiach?

— Niezupełnie. Najpierw byliśmy w Burmie, gdzie mieliśmy plantację herbaty. — Mówiła bez zapału, jak automat.

— Tam dokuczala nam bardzo samotność. Czasami myślę, że ona źle wpłynęła na jego umysł. Miewał napady milczenia, które trwały tygodniami.

— A co pani wtedy robiła? — głos Tiggiego był cichy, niemal tak cichy, jak szept. Oboje mówili w ten sposób, jak gdyby nie chcieli, aby ich słyszano.

— Ja? Ja nic nie robiłam. Czekałam jedynie. — Jakaś rozpacz brzmiała w tej na pozór spokojnej odpowiedzi. — Nie wiedziałam, nie zdawałam sobie sprawy przez dłuższy czas, że on odwrócił się ode mnie. Myślałam, że wszyscy mężczyźni są tacy.

Tiggie zmienił swoją pozycję z hamowaną gwałtownością, a ona spojrzała na niego nerwowo.

— Naturalnie, teraz jestem mądrzejsza — rzekła usprawiedliwiając się. — Może nie potrzebuję panu mówić, jakim sposobem to się stało.

— Proszę nic nie mówić — rzekł Tiggie. Westchnęła.

— Opuściliśmy Burmę przed sześcioma miesiącami. Zdaje mi się, że on sprzedał plantację herbaty, ale nic mi nie mówił, mogłam się więc tylko tego domyśleć. Myślałam wtedy, że wrócimy do Anglii, lecz zatrzymaliśmy się w miejscowości zwanej Budhpore i zamieszkaliśmy w bungalowie. Nikogo tam nie widywałam, bo nigdzie nie brał mnie ze sobą, a zanadto byłam nieśmiała, aby samej wychodzić.

Nie mówiła tego tonem jakiejś skargi, ale stwierdzała jedynie fakt.

— A później? — pytał Tiggie. Patrzyła w dół na złożone dłonie.

— Zostawiał mnie tam samą kilkakrotnie. Nigdy nie wiedziałam dokąd jeździ i co robi. Wreszcie pewnego dnia kazał mi się spakować i powiedział, że jedziemy do Bombaju. Przebyliśmy tam przedwczoraj. Wczoraj dał mi mój bilet, a rano powiedział, abym poszła na pokład i czekała na niego w kabinie. Uczyniłam to. Resztę pan wie. Skończyła opowiadanie tak, jak zaczęła — z całym spokojem, patrząc w dół i odpowiadając wyłącznie na jego pytania.

Tiggie słuchał uważnie, a gdy umilkła, nie robił żadnych uwag, ale był poważny i siedział w dalszym ciągu ze spuszczoną głową.

— Czy napije się pani jeszcze herbaty? — zapytał wreszcie.

Nie odpowiedziała mu, a on zobaczył nagle, ku swemu przerażeniu, dwie wielkie łzy spadające na jej złożone dłonie. Podeszedł więc do niej i odbierając z jej rąk filiżankę nalał w zdenerwowaniu tak pełno herbaty, że porozlewał ją.

— Proszę zaraz wypić — rzekł — dobrze to pani zrobi.

Kilka sekund upłynęło, w ciągu których przełykała napój, aż wreszcie szepnęła nieśmiało:

— Mogę prosić trochę mleka?

— Naturalnie, przepraszam za nieuwagę. — Znowu wlał mleka po brzegi. Sytuacja wydawała mu się okropna i nie miał naprawdę pojęcia, jak z niej wybrnąć.

Zdziwił się, gdy jego towarzyszka pierwsza przerwała kłopotliwe milczenie.

— Głupio było z mej strony, że się nie domyśliłam. Sądziłam, że może będziemy znowu razem szczęśliwi, gdy wrócimy do Anglii — mówiła.

Głos jej załamał się i przez chwilę niebieskie oczy patrzyły znowu błagalnie.

— Nie widzę w tym pani winy — odpowiedział. — Jakim sposobem mogła się pani domyślić?

— Nie wiem — rzekła wymijająco. — Przypuszczam jednak, że wiele kobiet na moim miejscu domyśliłoby się istotnego stanu rzeczy.

Kobiet! Określenie to wydało mu się absurdem, ale nie powiedział tego. Popijał herbatę.

Gdy odstawił wreszcie filiżankę, odezwała się ponownie.

— Czy pan uważa, że powinnam o tym wszystkim powiedzieć? Spojrzał na nią.

— Nie widzę żadnej potrzeby. Ale co pani teraz uczyni? Czy zaskarży go pani?

— Czy zaskarżę? — pełna była zdumienia. — Za co? On nie ma...

— Za dezercję — rzekł Tiggie. — Musi dać pani utrzymanie.

— O! — patrzyła zdziwiona. — Nie mogłabym tego uczynić, nie mogłabym! Zapłacił moją podróż.

— Tak. Ale co pani pocznie, po powrocie do Anglii? Czy ma pani jakieś pieniądze? Czy ma pani kogoś, do kogo mogłaby pojechać?

Uważał siebie za brutala, zadając te zuchwałe pytania, ale ponieważ trzeba je było raz postawić, nie widział sensu w zwlekaniu. W czasie milczenia, które teraz zapanowało, lękał się powrotu owej słabości, którą tak usilnie starał się zwalczyć. Gdy więc pani Norman przemówiła, doznał uspokojenia. W głosie jej, chociaż cichym, nie było nuty podniecenia.

— Nie wiem, co uczynię. Nie, nie mam żadnych pieniędzy ani nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Ale to dopiero co się stało, prawda? Może coś jeszcze wymyślę!

— Pojedzie wiec pani dalej? — spytał Tiggie. Gniotła nerwowo filiżankę.

— O tak, pojedę. Nie mogłabym wrócić.

— Nie wiem — powiedział Tiggie — ale niewiele pani wydostanie od niego, gdy będzie w Anglii, a on tak daleko. Silny dreszcz wstrząsnął nią. Załamała ponownie dłonie.

— Nie chcę niczego — rzekła — nie mogłabym zmuszać go!

— Ale musi pani z czegoś żyć!

Potrząsała delikatnie głową nie odpowiadając. Tiggie rozglądał się wokoło i szukał rozwiązania, ale nie znajdując go nigdzie powtórzył tylko uparcie:

— Musi pani żyć z czegoś.

Spuściła głowę W milczeniu. Tiggie postanowił więc szukać odprężenia. Wyciągnął papierośnicę.

— Zapali pani?

— Nie, dziękuję — odpowiedziała bezbarwnym głosem.

— Pozwoli pani więc, że ja zapalę?

— Naturalnie, proszę.

Tiggie starał się teraz ocenić sytuację z innego punktu widzenia, ale doznał znowu porażki. Nie wiedział, co ma uczynić lub powiedzieć. Oto stała przed nim bezsilna, osamotniona kobieta, porzucona przez męża, zanadto nieśmiała, aby żądać odszkodowania, nie mająca widocznie, prócz niego, nikogo na świecie, kto by wiedział o jej tragedii.

— To jest okropne, potworne — rozważał — leżące zupełnie poza moim doświadczeniem. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności Los mnie wybrał do rozwiązania tego niezwyklego problemu, chociaż ja wyjątkowo się do tego nie nadaję. Wolno mi naturalnie nie zgodzić się na to. Każdy ze zdrowym rozsądkiem tak by uczynił. Nie moją rzeczą jest ofiarowywać przyjaźń tej biednej, porzuconej istocie, którą przypadek postawił na mej drodze. Nawet teraz mógłbym zupełnie swobodnie wstać i po wypowiedzeniu kilku konwencjonalnych słów odejść. Potem zaś traktować ją tylko jako przelotną znajomą, na pomyślności której nic mi nie zależy. Nie można by mnie winić, gdybym w ten sposób postąpił. Każdy rozsądny mężczyzna tak by zrobił. Każdy, który nie byłby kompletnym idiotą!

Czemu więc Tiggie w dalszym ciągu siedział posepny z papierosem w ustach? Często się potem nad tym zastanawiał. Czemu nie kierował się resztkami zdrowego rozsądku, nie wstał i nie zostawił jej na pastwę losu? On, który dotąd zawsze unikał wszelkich powikłań ze zwykłej przyczyny — aby kroczyć prostą drogą, nie odwracając się ani na prawo, ani na lewo. Czemu wahał się teraz, gdy ona nie usiłowała go zatrzymać, kiedy zaledwie patrzyła na niego i nie zdawała się nawet zauważać jego obecności?

Czemu to wszystko? Zastanawiał się nad tym teraz, paląc jednego papierosa za drugim, a ona siedziała przed nim jak gdyby we śnie, z oczami spuszczoneymi, pogrążona w rozpacz. Czy zależało jej na brutalu, który ją porzucił? Czy też odczuwała jedynie opuszczenie, pustkę, samotność na świecie, na którym tak niespodziewanie została sama? Wyciągnął się na krześle i ukradkiem ją śledził. Ale ona nie zauważyła jego badawczego spojrzenia. Robiła wrażenie kogoś, kto nie baczy na całe otoczenie, kogoś, kto czeka bez żadnej nadziei.

Niespodziewanie przerwał milczenie. Skończył papierosa, ale nie znalazł sposobu wyjścia z sytuacji.

— Musi pani mieć gdzieś znajomych — rzekł. — Gdzie pani mieszkała przed ślubem?

Spojrzała na niego zdumiona.

— Mieszkałam z ciotką w Somerset aż do jej śmierci, a potem przeniosłam się do przyrodniego brata w Londynie.

Tam spotkałam pana Normana. Starłam się o jakąś pracę.

— Tymczasem wyszła pani za niego. Pochyliła głowę potakując.

Tiggie zadumał się na chwilę. Wydało mu się, że ona nie chce więcej na ten temat mówić, ale nie mógł zadowolić się tym, co usłyszał.

— Co się stało z tym pani bratem? Czy nie może pani do niego wrócić?

Zaprzeczyła stanowczo ruchem głowy.

— Nie, niemożliwe. On jest tylko moim przyrodnim bratem, żadnym krewnym. Opuściłam go przed ślubem.

Tiggie strawił i tę wiadomość, zanim odezwał się znowu. Zaczął pojmować rozpaczliwą sytuację, w której ta nieznajoma się znalazła.

— A nie ma pani nikogo innego? — zapytał nareszcie. — Nikogo, do kogo mogłaby się pani zwrócić?

— Nie — odparła cicho, ale stanowczo. — To wszystko działo się trzy lata temu. Miałam dziewiętnaście lat. Ludzie zapominają o kimś w ciągu trzech lat.

Zrezygnowana widocznie pogodziła się ze swoim losem. I teraz, gdy on starał się otrząsnąć ją z apatii, podniosła na niego swe zamglone, niebieskie oczy.

— Ach, proszę się o mnie nie troszczyć! — rzekła łagodnie. — Wrócę teraz do swojej kabiny. Dziękuję panu za herbatę.

Wstała z miejsca, darząc Turnera delikatnym uśmiechem. On zaś zrywając się na równe nogi doznał wrażenia, że pod jej spokojem kryje się coś niedobrego, coś, czego nie jest w stanie określić.

— Zechce pani jeszcze się ze mną zobaczyć? — rzekł nieco zmieszany, odsuwając krzesło na bok.

Cień zdziwienia przemknął po jej twarzy.

— O, tak — rzekła. — Naturalnie.

I chciała go teraz minąć, ale coś — co to było? — poruszyło Turnera, tego flegmatycznego człowieka, do tego stopnia, że wyciągnął rękę i zatrzymał ją.

— Proszę słuchać! — zawołał. — Niech pani nie odchodzi i nie robi nic głupiego! Chcę powiedzieć... zanim nie porozmawiamy jeszcze! Może będę mógł wymyśleć coś, aby pani dopomóc. W każdym razie postaram się to uczynić.

Zatrzymała się, a twarz jej przybrała wyraz, który wzruszył serce Tiggiego. Patrzyła wzrokiem zagubionego, porzuconego psa, który spotkał się z przyjaznym słowem.

— Dziękuję panu bardzo. Ale nie ma potrzeby, aby pan się mną zajmował. Ma pan dosyć swoich spraw, każdy je ma. Tiggie uśmiechnął się raczej z tego powodu, aby ukryć swoje uczucia, aniżeli je wyrazić.

— Na razie jednak myślę o pani sprawach i jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, na pewien czas zajmę się nimi. Potem oddalił się, bo zobaczył z daleka Johna Rutherforda, lekarza, popularnie zwanego Spotem. Wiedział, jaka plotka powstałaby, gdyby zobaczono go z samotną kobietą.

— Niech pan nikomu o tym nie mówi — szepnęła jeszcze odchodząc.

— Ach, nie — odpowiedział Tiggie, który zastanawiał się czy śni, czy ludzi się nadzieją, że odzyska jeszcze zdrowy rozsądek.

* * *

— Kim jest ta przystojna dziewczyna, z którą byłeś sam na sam? — zapytał Spot, gdy siedział razem z Tiggien w pokoju do palenia.

Tiggie od razu miał odpowiedź. Znał Spota.

— O, to pani Norman. Wraca do kraju dla zdrowia. Podjąłem się ojcowskiej opieki.

Doktor zaśmiał się.

— Ona wygląda na to, że będzie jej potrzebowała. Zrobi ci, chłopcze, niejedną figiel. Znam ten typ.

— Może ty chciałbyś się podjąć tego zadania? — pytał Tiggie. Rutherford zachichotał.

— O nie, nie, nie chcę wkraczać w twoje prawa. Ładne ma oczka na swój dziecięcy wiek. Nie pozwól w każdym razie, aby przewierciły twoją zbroję!

Zawsze pleciesz — rzekł Tiggie z pobłażliwością.

Lubił Spota. Razem polowali i znali swoje możliwości. W rzeczywistości Tiggie był lepszym sportsmenem, chociaż nawet przed sobą samym nie chciał tego przyznać.

Spot jednak oceniał należycie jego umiejętności. Żyli od dawna w przyjaźni.

— Nie wyglądasz tak dobrze, jak dawniej — odezwał się teraz, zmieniając temat.

— Chorowałem i temu zawdzięczam sześć miesięcy urlopu, który otrzymałem.

— Musiało cię porządnie zwalić z nóg — rzekł Spot, mierząc go badawczym spojrzeniem.

— Przyjdę do siebie w czasie podróży. Powietrze morskie dobrze mi robi i zaraz tyję.

13

— To twoje spokojne usposobienie tak działa. Gdybyś tylko od czasu do czasu choć zakochał się, schudłbyś jak śledź.

— O, dziękuję! — odparł Tiggie. — Nie chcę takiego lekarstwa. Wolę chorobę. Gdzie jest pani Spot?

— Ach, gdzieś w pobliżu z dziećmi pewnie. Dość są niespokojne prócz najstarszej. Ta, to mała święta. — Spot starał się zawsze podkreślić swoje ojcostwo.

Tiggie roześmiał się.

— Ach, to mała Joyce! Pamiętam ją, chociaż przyznam się, że nie pamiętam, ile masz dzieci.

— Jeszcze troje. Jack, Piotr i Jenny Wren, która ma osiem miesięcy. Powinniśmy zawieźć dzieci już dawniej do kraju, ale czekaliśmy na Jenny, mówiąc prawdę. Helena nie chciała sama jechać, a ja nie mogłem się wyrwać prędzej. I tak, teraz jedziemy w komplecie!

— Jak długo zabawicie w Anglii? — pytał Tiggie.

— Rok co najmniej. Ale jeżeli otrzymam posadę w kraju, zostanę na dobre. Najgorsze jednak, że wątpię w to. A w takim razie to będzie oznaczało rozłąkę. Jesteś szczęśliwym Tiggie. — Spot uśmiechnął się do swego przyjaciela trochę przekornie.

— Przed chwilą — mówił Tiggie z pobłażliwym uśmiechem — radziłeś mi, zakochać się.

Doktor parsknął śmiechem. /

— O, to co innego, podobne jest do szczepienia, sprowadza chorobę w łagodnej formie i nie bierze się tego poważnie. Widzisz ze mną kłopot. Nie byłem szczepiony przedtem.

— Nie opowiadaj mi tego! I nie mów także Helenie, bo pewny jestem, że w to nie uwierzy — rzekł Tiggie.

— Uwierzy. Helena zawsze mi wierzy. Ona jest uosobieniem łatwowierności tak, jak Joyce, która twierdzi zawsze, że jeżeli ktoś kłamie, to nie wie, co mówi. Ona nie potrafi powiedzieć kłamstwa tak, jak... — zahamował się. — Pomyślisz, że jestem zaślepiony, gdy będę dalej głądził.

— Nie, z przyjemnością cię słucham. Sądzę, że uda ci się osiedlić w Anglii. Gdybym miał żonę i dzieci myślałbym tak, jak ty.

Spot w milczeniu przyjął jego uwagę. Przed nikim nie byłby się tak wywnętrzał, jak przed Tiggiem.

Po chwili postawił pytanie:

— Co się stało z tą czarującą dziewczyną, którą byłeś tak zajęty przed trzema laty? Peggy, Peggy..., zapomniałem nazwiska.

— Peggy Musgrave — rzekł Tiggie. — Dała mi kosza z powodu kogoś innego, znacznie lepszego ode mnie.

— Mów dalej. Słyszałem tę historię... Wyszła więc za tamtego?

— O, tak. Są bardzo szczęśliwi, jak mi wiadomo i ogromnie jestem z tego zadowolony — stwierdził ojcowskim tonem.

— Otrzymali więc twoje błogosławieństwo, tak? — rzekł Spot. — Dlatego może są tak szczęśliwi?

— Wątpię, by się do tego przyczyniło. Wydaje mi się, że najlepiej, gdy ludzie są szczęśliwi na swój własny sposób.

— Jesteś filozofem — rzekł Spot. — Chodź zobaczyć teraz moją żonę i dzieci. Przypomną sobie ciebie, a w każdym razie Joyce.

Udali się więc na pokład, aby odnaleźć rodzinę Spota i Tiggie odnawiając dawną znajomość, zapomniał o poprzednim zdarzeniu. Znał panią Rutherford od lat i jako stary przyjaciel zainteresował się jej dziatwą, która z radością przypomniała sobie wujcia Tiggie.

— Bardzo cię lubimy — zawyrokował pięcioletni Jack — i cieszymy się, że jedziesz z nami.

— Wolimy ciebie od wszystkich innych — dodała siedmioletnia Joyce. — Będiesz się z nami czasami bawił? Nie mamy ze sobą niani. Mamusia i ja uważałyśmy, że same damy sobie radę.

— Jestem pewny, że dzielna z ciebie pomocnica — odezwał się Tiggie, biorąc złotowłose dziecko na kolana.

Patrzyła na niego mądrymi oczkami, które zdawały się pytać czy może mu zaufać.

— Nie mogę tylko dać sobie rady z Piotrem — rzekła. — Płacze tak często'.

— Ja za to radzę sobie z nim — wtrącił Jack — daję mu kuksańca.

— To nie jest żadna rada — odparła Joyce.

— Naturalnie — dodał Tiggie.

Nie zbliżył się dotąd do trzyletniego Piotrusia, który z reguły płakał, gdy ktoś obcy podchodził do niego.

— Widzi pan, on maleńki jeszcze — tłumaczyła jego starsza siostra.

— Dostyc duży, aby wiedzieć, że się nie ryczy bez powodu—oświadczył Jack. — Co innego, gdyby go coś bolało.
— Nawet wtedy nie powinno się płakać — odpowiedział Tiggie.
— Naturalnie, że nie powinno, chyba że krew leci, to wtedy można. Tiggie po zastanowieniu się, przyznał chłopcu rację.

Gawędził potem jeszcze chwilę ze starszymi dziećmi. Tymczasem zachodzące słońce rzucało swe czerwone blaski na pokład statku i miły chłód owionął pasażerów. Wkrótce jednak nadszedł Spot i odprowadził dzieciarnię do matki, a Tiggie został sam.

Rzadko kiedy tracił czas na rozmyślania, ale jakiś chorobowy stan senności, który prawdopodobnie spowodowała ostatnia choroba, nie pozwolił mu szukać rozrywki wśród znajomych. I dlatego kapitan Turner pozostał w odosobnieniu i sięgnął myślą wstecz, kiedy to trzy lata temu opuścił Anglię. Możliwe, że to pytanie Spota, co do jego miłosnej sprawy, która zaczęła się wtedy w podróży, kazało mu cofnąć się myślą do tamtych lat. Nie przyznałby się do tego przed doktorem ani przed nikim na świecie, ale ta sercowa historia podcięła go naprawdę.

Peggy była tak młoda, ładna i urocza — ideał dziewczęcy. I zanim zdał sobie sprawę z jakiegoś wewnętrznego niepokoju, był już w niej zakochany. Wszystko jednak nadaremnie! Naturalnie, jakiejże dziewczynie mógłby się podobać skoro tylu jest od niego miłszych, przystojniejszych mężczyzn. Zresztą, jak się szybko przekonał, człowiek, którego Peggy kochała, był towarzyszem jej lat dziecinnych i dawno już zdobył jej serce. A ponieważ on, Tiggie, ponad wszystko w świecie pragnął jej szczęścia, rad był, że je uzyskała. Peggy Wyndham, jak obecnie się nazywała, była niezwykle szczęśliwa.

Gdy będzie miała kiedyś dzieci, będą na mnie także wołały „Wujciu Tiggie” — dumiał.

Co takiego jednak było w tej myśli, że spowodowała tak ciężkie westchnienie, które wyrwało mu się z ust? Być wujaszkiem dla wszystkich, jest przecież bardzo sympatyczną rzeczą. A w każdym razie smucić się ponieważ jest absurdem. Zresztą, jak Jack powiedział, wolno płakać tylko wtedy, gdy krew leci, on zaś pewny jest, że serce jego dawno już przestało krwawić. Rzadko kiedy już nawet myślał o tej romantycznej historii. Spot, ten stary osioł, poruszył niepotrzebnie dawne wspomnienia i wraz z nimi obudził w nim ten nieokreślony żal, który

czasami pojawiał się w jego duszy, gdy patrzył na swoich rówieśników z żonami i dziećmi. Ale i to jest śmieszne, skoro stanowczo jest przekonany, że małżeństwo i więzy rodzinne nie są dla niego, z tej prostej chociaż przyczyny, że kobieta, która by się jemu podobała, nie mogłaby mu się nigdy odwzajemnić. Staromodny był — dobrze o tym wiedział. Pomimo wszystko jednak w lepszym jest może położeniu od innych. Nie dręczą go w każdym razie problemy Spota. Wolny jest i swobodny, może robić, co chce, a to coś warte. Tłumaczył to sobie, tłumiąc dalsze westchnienia i zapalając papierosa. Wielu jego znajomych dałoby teraz dużo, aby odzyskać tę swobodę, którą on posiada, a on nie chciałby być na ich miejscu. Spot chyba stanowiłby tylko wyjątek i... Peggy. Małżeństwo zazwyczaj jest podobne do pięknego mirażu. Wie o tym dobrze. To nie jest żaden cynizm. A dziś miał tego nowy dowód.

Ach, co to jest?... Tak głębokie było jego marzenie, że stało się niemal snem. Ale nagle wyprostował się, bo wydało mu się, że ktoś go wzywa. Rozejrzał się wokoło, lecz było pusto. Zmrok zapadał. Ubierano się w swoich kajutach do obiadu.

Płonąca czerwień zachodzącego słońca przeszła w szary odcień bezbrzeżnej rozpaczy. Jedyne turkot maszyn i szum wody przerywały ciszę wieczoru.

Lecz dziwne uczucie, że ktoś go wzywa, nie opuszczało go nadal. Tiggie odwrócił się w stronę burty statku i w tej chwili jakaś szara postać przesunęła się niby cień przed jego oczyma, przystanęła na sekundę, weszła na burzę, błyszczącą białą na tle ciemności i jak ptak gotowała się do lotu.

* **

Tiggie nie należał do ludzi szybko się decydujących, ale w tym wypadku jakaś nieznana siła pchnęła go do natychmiastowego czynu. Później nie potrafił sobie nawet przypomnieć, kiedy to podniósł się z krzesła i jak błyskawica przebiegł przestrzeń dzielącą go od ciemnej postaci na burcie. Chwycił podobną do ptaka z rozpiętymi skrzydłami postać w chwili, gdy ona przygotowywała się do skoku w głębie wód.

— Dziecko! — krzyknął — dziecko! — I nawet nie wiedział, że jakieś słowa wyrwały mu się z ust. Nastąpiła dziwna walka, ale on potrafił z niezmierną łatwością zniweczyć szalony, bezskuteczny wysiłek zrozpaczonej kobiety. Nagle szczupła postać upadła mu z jękiem na piersi.

— Ach, to pan, to pan! — zawołała. — Czemu mi pan przeszkodził.

— Moja droga! — rzekł Tiggie — jakże mogłem na to pozwolić?

Szloch jej był okropny, konwulsyjny. Zauważył także, że nieznajoma nie może się utrzymać na nogach. Delikatnie więc uniósł ją i posadził na krześle, na którym niedawno spoczywał, a sam ukląkł obok niej podpierając ją silnie ramieniem.

— Nie powinna pani była tego czynić, nie powinna — szeptał zrozpaczony. — Musiałem panią zatrzymać. Dzięki Bogu, że się tu znalazłem.

— Czemu, czemu pan to zrobił — powtórzyła w odpowiedzi z rozdzierającym serce płaczem.

— Nie można tak — rzekł Tiggie — pani ma w życiu, jak każdy z nas, swą rolę do spełnienia.

Nie było jego zwyczajem moralizować, ale czuł, że ta okazja zmusza go do tego. Zresztą nic innego nie pozostawało mu do zrobienia ani do powiedzenia. Współczucie było wykluczone, a potępienie jej wydawało mu się zbrodnią.

Tym bardziej, że ten dziwny ogień oburzenia tlił w nim ciągle i wybuchał nowym płomieniem przy każdym dotknięciu drobnej jej postaci. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek w życiu był tak wzruszony. Obecna sytuacja była zupełnie wyjątkowa.

Z czasem płacz nieznajomej ustał. Nastąpiła cisza i tylko od czasu do czasu z piersi pani Norman wydobywał się tłumiony szloch. Tiggie bardzo delikatnie oparł ją o krzesło i klęcząc przy niej w dalszym ciągu śledził ją uważnie. Twarz jej była śmiertelnie blada, oczy miała przymknięte, a dłonie trzymała złożone na kolanach. Zastanawiał się, czy nie zemdląła z samego wyczerpania i obawiał się, czy nie dostała jakiegoś ataku sercowego.

Wkrótce jednak odezwała się do niego, podnosząc powieki.

— Pan nie wie, co pan zrobił.

Tak wielką poczuł ulgę, że przez chwilę nie mógł zdobyć się na odpowiedź, aż wreszcie rzekł:

— To pani nie wiedziała, musi mi pani uroczyście przyrzec, że nigdy już pani o czymś podobnym nie pomyśli.

Dreszcz wstrząsnął jej smukłą, wątłą postacią.

— Nigdy już na to nie będę miała odwagi — rzekła.

— To nie była odwaga, ale tchórzostwo — odparł Tiggie, starając się przybrać surowy ton.

— W każdym razie tchórzostwo o pozorach męstwa — odpowiedziała, wzdrygnawszy się. — Tak się boję głębokich wód.

Tiggie położył rękę na jej dłoniach i przekonał się, że są zimne, jak lód.

— Niech pani stara się zapomnieć o tym. Odwagę swoją proszę zachować dla życia i jego przeciwności.

— Ach, gdyby tylko o mnie samą chodziło — szepnęła i lodowate jej palce zacisnęły się na jego dłoni.

— Tak nigdy nie jest — ciągnął Tiggie — w nasze życie wplątani zwykle bywają inni. Gdybym nie zdążył, oboje bylibyśmy już teraz w morzu.

— Ach, byłby pan wskoczył? — spytała, a on dostrzegł w jej tonie nutę zdziwienia i uwielbienia, która wprowadziła go w zażenowanie.

Roześmiał się, po czym zły był na siebie za swoją pozorną oziębłość.

— No, sądzę, że musiałbym to zrobić.

— O, tak, pan by to zrobił — rzekła z przekonaniem. Tiggie starał się pospiesznie zmienić tok rozmowy.

— No, w każdym razie cieszę się, że nie było tej potrzeby. A teraz pani zrozumiała, prawda, jak źle pani postąpiła.

— Z pana punktu widzenia, tak — rzekła wymijająco. — Ale proszę nie mówić o tym kapitanowi. Zechce mi jeszcze włożyć na resztę podróży kaftan bezpieczeństwa lub kajdany. A ja, doprawdy, nigdy nie próbowałabym tego po raz drugi.

— Jest pani pewna? — pytał Tiggie, zastawiając się, czy z dostateczną srogością traktuje całą sprawę.

— O, zupełnie pewna — odparła. — Zgadzam się z panem. Nie mamy prawa wybierać się tam, do góry, bez zaproszenia. To prze-

kroczenie granicy. Tylko... gdy nie ma się dokąd iść... — głos jej zadrżał i załamał się.

— Pomogę pani — rzekł Tiggie i w tonie jego brzmiała taka stanowczość, że sam był nią zdziwiony. — Wiem, że potrafię. I pomogę pani!

— Pan nie może — rzekła — przynajmniej nie wiem, w jaki sposób mógłby pan; w ogóle nikt nie może mi pomóc.
— Czemu?

Milczała przez parę chwil, a potem z dziecięcą prostotą odpowiedziała:

— Widzi pan, będę miała dziecko...

— O, dobre nieba! — wykrzyknął Tiggie.

Taka możliwość nie przysłała mu na myśl i wiadomość ta trafiła go, jak gdyby obuchem w głowę. Zanim zdołał opamiętać się, stała się inna rzecz. Ogień, który się w nim palił powoli, nagle przemienił się w szalony pożar i niszczył wszystko, pochłaniał wszelkie przeszkody ostrożności i przyzwoitości. Tiggie wybuchnął gniewem.

— I powie mi pani, że ta przekłeta świnia, ten arcyłajdak, wiedział
o tym?

Westchnęła. Jego gniew zdawał się jej nie dotyczyć.

— O tak, wiedział i dlatego to uczynił.

Tiggie czuł, że nie może dłużej usiedzieć, potrzebował ruchu i zaczął spacerować tam i z powrotem.

— To potworne, podłe — mówił.

Ona milczała. Uczyniła jedyny wysiłek, aby rozwiązać problem i nie udało jej się. Widoczne było, że nie widziała innego wyjścia. Tiggie zaś, którego ogarnął szalony gniew, przeklinał siebie, że nie ma żadnych pomysłów i że nie może nic uczynić dla niej.

A przecież nie może zostawić całej tej sprawy. Coś musi postanowić i to natychmiast.

Wtem doszedł do pewnego wniosku.

— Niech pani posłucha. Proszę mi pozwolić powiedzieć Spotowi. To dobry człowiek, tak samo i jego żona. Oni pomogą pani.

Drgnęła i uniosła się na krześle.

— Nie wszystko jednak — rzekła — chcę powiedzieć, proszę nie mówić o moim mężu. Nie chcę na razie, aby ktoś o tym wiedział.

Zacisnęła kurczowo dłonie na kolanach, a on zauważył jej zdenerwowanie i starał się ją uspokoić.

— Dobrze więc! Nie ma potrzeby mówić wszystkiego, jeżeli pani nie chce. Ale, co do tej drugiej kwestii, o której pani wspomniała przed chwilą. On jest doktorem. Czy nie uważa więc pani, że możemy mu o tym powiedzieć? Wspomniałem mu już, że jedzie pani do kraju ze względu na zdrowie.

Zadumana patrzyła w ciemną noc. Wreszcie po chwili szepnęła:

— Jeżeli pan chce, niech mu pan więc powie! Ale proszę mu nie wspominać, że zostałam porzucona. Niech myśli dobrze, niech myśli, że wrócę potem znowu do męża! Chyba, że pan woli powiedzieć, iż jestem... wdową. Może to byłoby najlepsze?

Tragedia, która dźwięczała w jej słowach, na nowo go wzburzyła. Tak był wzruszony, że położył dłoń na jej ramieniu.

— Na razie nie potrzebujemy myślać sięgać tak daleko — rzekł. — Mąż pani będzie musiał może wrócić do pani.

— Nie zdaje mi się, abym tego pragnęła. Nie chcę, jeżeli on w ten sposób się na to zapatruje. A jestem teraz tego pewna. Byłam... ślepa.

— Wymyślimy coś — rzekł Tiggie. — Niech pani nie traci odwagi. Ma pani w każdym razie cel życia.

— Albo śmierci — dodała.

— Nie! — pochylił się nad nią. — Proszę nie mówić w ten sposób. Proszę obiecać!

, Poruszyła się powoli i podniosła głowę w ciemności.

— Dziwię się, że pan zadaje sobie tyle trudu. Czy to nie śmieszne z pana strony?

— Ani trochę — odparł Tiggie szczerze. — Uważam to niemal za swój obowiązek. Wszyscy toniemy lub płyniemy i obowiązkiem pływających jest pomagać tonącym.

— Nie wiem, czy wielu ludzi w ten sposób myśli — rzekła.

— Każdy przyzwoity człowiek tak myśli — zapewnił Tiggie.

— Nikt rozsądny jednak — rzekła z przekonaniem.

— No, zostawmy ten temat; czy lepiej się pani czuje teraz? Może pójdzie się pani przebrać do obiadu?

— Nie chcę jeść, zostanę tutaj.

— Niech pani tego nie robi! Nie mogę pani zostawić.

— Nie ufa mi pan! — w głosie jej brzmiał śmiech. — Ach, pan nie wie, jakim ja jestem tchórzem w rzeczywistości!
— Nie, nie! — odparł. — Ale ja nie zostawię pani tutaj samej. Musi pani zjeść obiad. To śmieszne. Proszę zejść ze mną!

Stanowczy ton wobec kobiety nie zgadzał się z jego naturą. Ale w ogóle wszystko co Tiggie dzisiaj czynił, niepodobne było do niego. Odczuł w sobie jakąś moc, o której istnieniu zupełnie nie wiedział.

Najdziwniejszym zaś wydało mu się to, że ona poddała się jego nakazom. Wstała ulegle i on ujął jej dłoń. W dotknięciu jej było coś niezwykłego.

— Jest pan dobry, że pozwala mi schronić się na swojej tratwie. Nie zabiorę dużo miejsca, a w każdym razie nie dopuszczę, aby zatonała.

Tiggie od razu nie pojął znaczenia jej uwag, zrozumiał je dopiero później. Obecnie czuł się tylko bardzo wzruszony i może po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że pod powłoką dziewczęcych kształtów pani Norman, kryje się kobieta.

— Niech się pani niczym nie martwi. Jestem tu po to, aby pani pomóc. Proszę o tym pamiętać.

— Nie zapomnę nigdy — odparła i zanim zdołał się cofnąć, ona pochyliła się i dotknęła wargami jego dłoni. Potem odwróciła się pospiesznie i oddaliła wzdłuż pokładu, podczas gdy on, oszołomiony i zdumiony, pełen zmieszania błędził za nią i dziwił się, że Los przyniósł mu tak nieoczekiwany dar.

* **

Spot był dobrym człowiekiem, jak powiedział Tiggie i wystarczyło tylko jedno słowo ze strony tego ostatniego, by zainteresował się samotną podróżniczką, która zajmowała kabinę numer pięćdziesiąt trzy. Małym podstępem urządził tak, że pani Norman przyłączyła się do towarzystwa rodziny Rutherford przy stole, a Tiggie także zaliczał się do ich grona.

Trochę czasu upłynęło jednak, nawet przy taktownym wysiłku Heleny Rutherford, zanim cicha nieznajoma poczuła się wśród nich swojsko. Ale nagle zmiana pogody zdziałała więcej w tym kierunku,

nizeli konwencjonalny odruch przyjaźni. Helena i dzieci udały się na dół, tak jak większa część pasażerów. Ale ku zdziwieniu Tiggiego jego protegowana pozostała nieczuła na morską chorobę. Spot zaś zdumiony był jej prośbą, wypowiedzianą nieśmiało, aby pozwolił jej pielęgnować jego żonę i dzieci.

— Niech pani robi, jak chce — odparł doktor — będę nad wyraz wdzięczny. Ale proszę się nie przemęczać:

— Nic mi nie będzie — odpowiedziała odchodząc. Helena była zaskoczona, gdy zobaczyła panią Norman, ale przyjęła jej pomoc z wdzięcznością, gdyż czuła się tak niedobrze, że żałowała teraz, iż nie wzięła ze sobą bony. Pani Norman szybko zdobyła sobie uznanie wśród rodziny Spota i podbiła serduszka dzieciarni, nawet Piotrusia. Joyce od samego początku pokochała nieznajomą.

— Ona jest taka smutna — mówiła dziewczynka do swej matki

— dlatego pewnie tak ją polubiłam.

Helena musiała przyznać, że coś niesłychanie pociągającego było w nieznajomej. Może to jej młodość stanowiła urok i ta nieudos-konalona uroda, podobna do nierozkwitniętego kwiatu, na który nie padły jeszcze słoneczne promienie.

Jack, który przez dwa dni najbardziej ze wszystkich chorował, postarał się zagarnąć ją wyłącznie dla siebie.

— Bardzo panią lubię — rzekł, gdy obmywała jego bolącą główkę.

— Czy mogę nazywać panią... ciocią?

— Naturalnie — odpowiedziała,

— Tak, ale jaka ciocia? — pytał Jack, który był dokładny. — Sama ciocia źle brzmi.

— Mam na imię Viola — rzekła.

— Ciocia Viola więc! Doskonale.

I „ciocią Violą” została dla wszystkich dzieci.

— Zrobili więc z pani ciocię? — zazartował Tiggie, gdy się o tym dowiedział. — Ja także jestem ich wujciem.

Zastrajkuje jednak następnym razem, gdy jakiś nowy siostrzeniec lub siostrzenica zechcą mnie sobie przywłaszczyć.

— A ja bym to lubiła — rzekła.

— Proszę poczekać, aż dojdzie pani do mego wieku.

— Czemu? Czy to nieprzyjemne? — zapytała.

— Przyjemniej być na pani miejscu — odparł Spot.

Siedziała przy stole między dwoma mężczyznami, a wokoło nich stały puste krzesła. Uśmiechnęła się.

— Wątpię, aby pan pragnął zamienić się ze mną — rzekła.

— Pani także nie chciałaby mieć trzydziestu sześciu lat — zawołał Tiggie.

Podniosła na chwilę oczy, które przypomniały mu niebieską mgłę, jaką widuje się tylko w oddali, po czym zasłoniła je znowu długimi rzęsami.

— Sądzę, że lepiej, niż mieć dwadzieścia dwa lata... pański wiek jest bezpieczniejszy.

— Nie wiem—wtrącił Spot—mam wrażenie, że Tiggie trzydziesto-sześciolatek jest znacznie groźniejszy, niżeli przed czternastu laty.

— Ja, groźny! — zawołał Tiggie — każdy wie, że jestem barankiem! Viola zaśmiała się cicho.

— Nie o tym myślałam. Ale muszę wracać, obiecałam dzieciom, że długo nie zabawię.

Wstała pośpiesznie i oddaliła się, zanim oni zdążyli się podnieść z miejsc.

Spot popatrzył na Tiggiego mówiąc:

— Coś jest w tej kobiecie, czego nie mogę zgłębić. Według wszelkich prawideł powinna się czuć gorzej od innych. Nie wygląda wcale na silną. A jednak trzyma się na nogach.

— To odwaga — rzekł Tiggie.

— Nie robi wrażenia także zbytnio szczęśliwej — mruczał Spot. — Prawdopodobnie gnębi ją rozłąka z mężem.

Kiedy to zdarzenie będzie miało miejsce, wiesz może?

— Nie mam pojęcia — odparł Tiggie trochę przestraszony. — Nie wygląda na to, że prędko, prawda?

Doktor wybuchnął śmiechem.

— Wpakowałaś się przyjacielu. Nic nie szkodzi jednak. Będę przy tobie. Nie, jeszcze nie tak prędko. Będiesz mógł oddać ją jej rodzinie w Anglii.

Tiggie nie doznał ulgi, której można było się spodziewać.

— Cięży na mnie pewna odpowiedzialność — rzekł zakłopotany. — Sądysz, że nic jej nie grozi?

— Tak myślę — odpowiedział Spot. — W każdym razie to nie będzie twój pogrzeb. Szkoda, że jej mąż nie może być przy niej. Wszystko dobrze jednak pójdzie! Będziemy się nią opiekowali aż do Anglii.

Gdy burza się uspokoiła i chorzy mogli opuścić swoje kabiny, Tiggie przekonał się, że odpowiedzialność jego zmniejszyła się, bo dzieci Rutherfordów zagarnęły panią Norman zupełnie na własność i w ciągu dnia nie opuszczały jej ani na chwilę. Niemowlę ząbkowało i Helena Rutherford nie odstępowała dziecka podczas, gdy Viola i Joyce opiekowały się chłopcami.

Ustawiczny płacz Piotrusia ucichł, a Jack tak uwielbiał swą nową ciocię, że podporządkował się jej rozkazom i życzeniom z podziwu godną uległością.

— Zrobię, co mi powiesz — powiedział jej pewnego razu — bo nigdy nie robisz hałasu.

Tak, rzeczywiście nigdy nie robiła hałasu, ale Tiggie zauważył, że z każdym dniem stawała się szczuplejsza i bardziej przezroczysta. Podróż na ogół była spokojna, chociaż na pokładzie nie panowała wielka wesołość, gdy jednak morze uspokoiło się i pasażerowie wynurzyli się ze swych kabin, życie towarzyskie ożywiło się na nowo.

Tiggie przekonał się, że wszyscy odnoszą wrażenie, iż Viola podróżuje w towarzystwie Rutherfordów jako pomocnica do dzieci i nie starał się temu zaprzeczyć. Co stanie się jednak przy końcu podróży? Oto problem, który pochłaniał go ustawicznie. Nie spotykał Violi nigdy samej, ale nie przyszło mu na myśl, że to ona go unika.

Uświadomił to sobie dopiero pewnego wieczoru, gdy zaczęto tańczyć i on po herbacie prosił ją, aby jeden taniec zarezerwowała dla niego.

— Nie będę tańczyła — rzekła — dziękuję panu.

— Usiądziemy więc razem i będziemy obserwowali zabawę — odparł Tiggie — będzie się odbywała na pokładzie.

— Tak, wiem. Ale nie jestem pewna czy przyjdę.,

Nie nalegał dłużej, ale jasno zdał sobie sprawę z pewnego zawodu. Spostrzegł, że ona trzyma się z dala od niego i nie mógł zrozumieć dlaczego. Później tłumaczył sobie, że to skutkiem jej nieśmiałości.

Viola jednak była nieuchwytna tego wieczoru. Na obiad przyszła ubrana w czarną suknię, która podkreślała jej bladą cerę. Zwróciła swoim wyglądem uwagę wśród pasażerów, którzy dotąd jej nie zauważyli.

— Kim jest ta urocza dziewczyna w czarnej sukni? — pytał Tiggiego młody Saunders, wesół chłopak od saperów.

— Przypuszczam, że masz na myśli panią Norman — odpowiedział Tiggie obojętnie.

— O, mężatka? — rzekł Saunders. — Wszystkie ładne kobiety, są zwykle zameżne. Może będziesz na tyle miłosierny, że zechcesz mnie jej przedstawić?

Nie wiadomo dlaczego jednak Tiggie nie był tym razem uprzejmy, pominął tę prośbę milczeniem i oddalił się pospiesznie. Wiedział, że Spot może Saundersa zapoznać z Violą i nie mylił się pod tym względem, bo po chwili zobaczył ją w towarzystwie sapersa.

Młodzieniec żartował z nią, szeptał coś na ucho, a ona słuchała go z uśmiechem. Oczy miała spuszczone i Tiggie zauważył, że wcale nie gra roli nieprzystępnej wobec swego towarzysza. Przyszła mu więc na myśl przestroga Spota tak, że odwrócił się dziwnie zdeprimowany.

— Ale to nie moja sprawa — wmawiał sobie, zniecierpliwiony. — Cóż ona mnie może obchodzić poza tym, że sam przyjąłem na siebie moralną odpowiedzialność. Zrobiłem dla "niej wszystko, co mogłem i nie mam powodu troszczyć się o coś więcej. Zresztą, jeżeli bawi ją Billy Saunders, czemu ma z nim nie rozmawiać? Wolno jej robić, co chce. — Poszedł na pokład z silnym postanowieniem więcej o niej nie myśleć.

Zaczęły się tańce i Tiggie poczuwał się do obowiązku podtrzymania ogólnego, wesołego nastroju. Instynktownie czuł, że niebawem zobaczy Violę wśród bawiących się i rzeczywiście wkrótce ukazała się ze swoim partnerem.

Saunders był doskonałym danserem, bardzo pewnym siebie i nie upłynęło wiele czasu, gdy cała uwaga salonu skupiona została na tych dwojgu, którzy byli bez zaprzeczenia najlepiej tańczącą parą na statku.

— Aż miło patrzeć — szepnęła żona generała Cathcarta do Tiggiego. — Musieli razem ćwiczyć, tak są ze sobą zgrani.

— Wątpię — rzekł Tiggie.

— Wie pan, że kapitan przeznaczą nagrodę dla najlepiej tańczącej pary? — odezwała się pani Cathcart.

Tak, Tiggie wiedział o tym i nie trudno było przewidzieć zwycięzców.

Viola i jej parnter tańczyli z rutyną zawodowych tancerzy, wykonując każdy taniec wprost cudownie.

— Trochę zanadto zimnokrwisty — wtrącił generał. — Lubię życie w tańcu i skoku. Ale ona przypomina mi tę pseudofrancuską tancerkę „Le Reve” — ciągnął dalej generał Cathcart. — Słyszeliście o niej? Pewnie mała ladacznica, ale nadzwyczajna tancerka. Pamiętasz ją? — zwrócił się do żony.

— O, tak. Ale to było przed laty. Teraz już są inne gwiazdy.

— Naturalnie, wiem. Tamta jednak była nadzwyczajna. Zawsze sobie wyobrażałem, że zrobi karierę, ale nic się o niej teraz nie słyszy. Widocznie nie trafiła na opiekuna.

— Często tak bywa z nimi.

Tiggie tymczasem posepnym wzrokiem obserwował tańczącą parę i nie mieszał się do rozmowy. Zupełny spokój i obojętność tych dwojga tańczących zasługiwały na podziw. Byli jak gdyby zaczarowani nie odzywali się do siebie ani słowem i nawet spojrzeniem nie porozumiewali się ze sobą w czasie tańca. Ona oczy miała spuszczone, niemal przymknięte, na jego twarzy malował się wyraz zachwyty, który trwał aż do chwili, gdy muzyka umilkła.

Wówczas Billy zdawał się znowu być sobą i roześmiał się wesoło.

— Cudownie było! Tańczy pani, jak marzenie! Jeszcze raz powtórzmy!

Następnie rozglądając się wokół rzekł:

— Ale widocznie zrobiliśmy z siebie widowisko. Czemu wszyscy przestali tańczyć?

W odpowiedzi rozległ się ogólny śmiech z powodu tego naiwnego pytania i Billy lekko zmieszany zawtórował mu.

— Doprawdy nie wiem, na co było się gapić. Czy robiliśmy coś nadzwyczajnego?

— Jedyne pokazali państwo, jak powinno się tańczyć, oto wszystko — rzekł kapitan. — Tańczyłbym dalej na waszym miejscu.

Kapitan był spensjonowanym oficerem marynarki, którego wszyscy lubili, bo był niezwykle uprzejmy i dobroduszny. Billy zwrócił się do niego pośpiesznie:

— Mógłbym tak tańczyć wiecznie. Pani Norman tańczy bosko. I pani śmiała powiedzieć mi, że tańczy staromodnie — rzekł zwracając się do Violi.¹

Stała przy nim bez ruchu, jak gdyby pogrążona we śnie. Uśmiechnęła się teraz słabo nie podnosząc oczu.

— Jeżeli tak nie jest, to pana zasługa. Stałam się nowoczesną. Doskonale pan prowadzi.

Muzyka zaczęła grać na nowo i pasażerowie rozpierzchli się w poszukiwaniu danserek.

— Zatańczy pani ze mną jeszcze? — zapytał Billy. Ale Viola potrząsnęła głową.

— Przykro mi, nie mogę już tańczyć więcej. Jestem zmęczona. Jak pan wie, nie miałam w ogóle zamiaru brać udziału w zabawie.

Tiggie domyślił się, że ta uwaga przeznaczona była i dla jego uszu, ale znowu, chociaż zupełnie z innego powodu, udał, że nie słyszy. Odwrócił się i zapalił papierosa wpatrzony w morze. Gdy nareszcie rozglądnął się wokoło, Violi już nie było.

** *

Pochwała kapitana nie zrobiła wrażenia na Violi ani na młodym Saundersie, bo nie tańczyli już razem. Viola znikła w swej kajucie i nie chciała się więcej pokazać pomimo nalegań swego partnera, który w końcu musiał gdzie indziej szukać pociechy.

Gdy zaś nazajutrz Tiggie udał się na pokład, zastał Violę z Joyce, Jackiem i Piotrusiem w zwykłym ich kąciku, a także Saundersa palącego papierosa w ich towarzystwie ku niezadowoleniu Piotrusia. Viola z całą pewnością nie zachęcała go do tego, a mimo to Billy pozostał, bo łatwo zdobył sobie sympatię Joyce i Jacka, z którymi bawił się w różne gry od samego rana.

Tiggie nie starał się wcale przyłączyć do nich i oddalił się, pomimo że Joyce pobiegła za nim z prośbą, aby przyszedł się bawić w nową grę,

której nauczył ich Billy. Joyce wobec tego posmutniała i wieczorem, gdy reszta dzieci poszła spać, trzymała się wyłącznie wujcia Tiggiego.

Po dziewczynce widać było zmęczenie, które nawet Tiggie, chociaż nie bardzo spostrzegawczy, zauważył. Zbliźali się do Morza Czerwonego i upał był dokuczliwy.

— Troszkę boli mnie głowa — przyznała się w odpowiedzi na zapytania Tiggiego. — Będę cichutko siedziała i nie będę rozmawiała.

Tiggie lubił milczenie. Palił więc fajkę zamyślony, a blada, wyczerpana dziewczynka spoczywała obok niego. Wkrótce jednak spojrział na nią i odłożył fajkę. Chciał, aby zjawił się Spot, który gdzieś z zapalem grał w kręgle. Kapitan nie mógł jednak zostawić dziecka i iść na jego poszukiwanie. Siedział zaniepokojony i obserwował tylko bladą twarzyczkę dziewczynki i jej przymknięte oczy, gdy nadeszła Viola. Ruchy jej były tak lekkie, że nie obudziła śpiącego dziecka. Stała przy nim w milczeniu. A kiedy Tiggie zrobił znak, aby zbudziła Joyce, Viola położyła odruchowo rękę na jego ramieniu zatrzymując go na miejscu.

Słońce zachodziło nisko i ognista kula odbijała się w wodzie. Turkot maszyn wydawał się być jedynym odgłosem—niby pędzące Koło Życia. Myśl ta zawładnęła Tiggiem z dziwną siłą, nim, który nigdy nie zagłębiał się w abstrakcyjnych tematach. I wraz z tą myślą doznał Uczucia jakiegoś • odosobnienia. Jak gdyby oni dwoje ze znużonym dzieckiem odcięci byli od całego świata i płynęli sami na tratwie, która bez sternika unosiła ich na szerokich falach życia. Dokąd? — sam nie wiedział...

. Milczenie ich stało się uciążliwe, przykre; przerwał je rzekłszy przyciszonym głosem, nie chcąc niepokoić dziecka:

— Sądzę, że trzeba biedactwo zbudzić i położyć do łóżeczka. Joyce otworzyła oczka i uśmiechnęła się do niego.

— Nie śpię, wujciu Tiggie — rzekła. — O, ciocia Viola przyszła po mnie? Pójdę więc z nią.

— Zmęczona jesteś bardzo, dziecko? — zapytała Viola. Joyce przetarła piąstkami powieki.

— Tak, gorąco strasznie, prawda? Chciałabym, aby spadł deszcz.

— Teraz nie ma nadziei — oznajmił Tiggie — ale za kilka dni będzie chłodniej. W Anglii już będzie dmuchał przyjemny, wschodni wietrzyk.

Joyce patrzyła na niego z niedowierzaniem. Ujęła dłoń Violi, ale nie wstała natychmiast, spoglądała niemal z zachwytem na Violę.

— Jak ślicznie dziś wyglądasz, ciociu — rzekła niespodziewanie. — Coś jest w cioci Violi, wujciu Tiggie, co to takiego? Podobna jest do anioła!

— Moje drogie dziecko;— zaśmiała się smutno Viola. Ale Joyce patrzyła na nią w dalszym ciągu z uwielbieniem.

— Zdaje mi się, że jesteś naprawdę aniołem — rzekła z przekonaniem. — Jesteś tak inna od wszystkich. Podniosła się wreszcie i trzymając się ręki Violi pochyliła się, aby pocałować wujcia Tiggiego. Uścisnął dziewczynkę.

— Dobranoc, kochanie. Przyjemnych snów.

— Dziękuję, ale zdaje mi się, że nie będę mogła zasnąć.

— Mamusia pozwala ci dzisiaj ze mną spać — rzekła Viola.

— Ach, jak się cieszę.

— I ja także — odparła Viola.

Nie rozmawiała z Tiggie, ale może wskutek jakiegoś zmieszania lub może dlatego, że zachodzące słońce rzucało promienie, delikatny rumieniec pojawił się na jej policzkach. Cera jej podobna była do płatka róży. Tiggie spostrzegł to z zachwytem. Coś niepokojącego było w tej budzącej się w niej urodzie. Dostrzegając to, co Joyce miała na myśli, ale nie mógł sobie tego jaśniej wytłumaczyć. Gdy Viola z dziewczynką odeszły, zapalił ponownie fajkę i pogrążył się w zadumie.

Pół godziny później, gdy szedł na dół ubrać się do obiadu, spotkał panią Cathcart, która namawiała go, aby przyłączył się do partii brydża. Czuł się dziwnie nieusposobiony dzisiaj do tej gry, ale nie miał dostatecznej wymówki i musiał przyjąć zaproszenie.

— Świetnie — rzekła generałowa wesoło, ignorując jego jawną niechęć. — Trzeba trochę rozruszać towarzystwo.

Ludzie są tak apatyczni. Może im za gorąco i dlatego nie mają werwy.

Niespodzianką jednak było dla Tiggiego odkrycie, że na czwartego partnera poproszono Violę, z którą grał razem i w jednej chwili nuda jego się rozwiła.

— Nie miałem pojęcia, że pani gra w brydża — odezwał się do Violi, gdy czekali na rozpoczęcie gry.

— Obawiam się jednak, że bardzo słabo.

— Ach, słyszeliśmy tę historię przedtem — rzekł generał Cathcart. — Mary, nie wiem, czy nam obojgu uda się wyjść zwycięsko. ,

Wątpliwość jego okazała się słuszna. Tiggie bowiem i jego partnerka stale wygrywali i Tiggie nigdy jeszcze nie czuł się tak podniecony.

Pierwszy raz w życiu grał, kierując się raczej intuicją, niż kalkulacją i chociaż przypisywał szczęściu ich powodzenie, zdawał sobie sprawę, że natchnienie czerpał od swojej partnerki.

— Jakim sposobem wiedziała to pani? — zapytał ją raz i drugi. A ona za każdym razem potrząsała głową i odpowiadała:

— Nie wiem. Przypadek.

— Odgaduje myśli — zawyrokował stary generał.

Tiggie nic nie powiedział, ale w słowach tych było coś więcej, niżeli kpiny.

Gdy Viola odeszła, państwo Cathcart nie przestawali się dziwić.

— Grałeś nadzwyczajnie — rzekł generał do Tiggiego. — Jakim to sposobem?

— Nie mam pojęcia. Nigdy już więcej tak mi karta nie pójdzie. Kiedy nazajutrz kapitan Turner przyszedł na śniadanie, zastał

Helena Rutherford jedynie z dwoma chłopcami.

— Gdzie jest Spot? — zapytał i widząc zatroskaną twarz Heleny,, dodał: — Co się stało? Gdzie Joyce?

— Joyce jest chora — rzekła — ma gorączkę. Pani Viola całą noc przy niej czuwała. Muszę wracać do dziecka.

— Zaopiekuję się chłopcami — rzekł Tiggie dobrodusznie. — Trzeba im będzie wytrzeć buzie po jedzeniu. Żal mi okropnie Joyce. Ale to z pewnością skutkiem upału, będzie zdrowa, gdy znajdziemy się na Morzu Śródziemnym.

— Ach, oby to się sprawdziło — westchnęła Helena. — Boję się następnych dni.

— Niech się pani nie martwi! — radził Tiggie. Ale nie mógł jej niczym pocieszyć i po chwili Helena z synkami pożegnała go.

Spot przyszedł na śniadanie, zanim Tiggie odszedł. On także był przygnębiony, ale nie podzielał złych przeczuć żony. Mówił o Violi.

— Ta kobieta jest nadzwyczajna. Nie wiem, co w niej jest. Chore dziecko leży w jej kabinie a ona nie chce słyszeć o tym, aby Joyce

zabrano. Nie opuszcza jej ani na chwilę. I to wzruszające, jak Joyce się do niej garnie. Nie mam serca ich rozdzielić.

— Czy sądzisz, że Joyce jest naprawdę chora? — zapytał Tiggie.

— O, tak — odpowiedział Spot.

— Pozwoliłbym pani Norman pełnić rolę pielęgniarki — rzekł Tiggie — to dobrze wpłynie na jej nerwy.

— Zdaje mi się, że ona nie pytałaby mnie o pozwolenie — odrzekł Spot.

I miał rację. W ciągu całego dnia Viola nie pokazała się na pokładzie ani w salonie. Dotarli do Adenu wieczorem i zaczął się nieunikniony kryzys, który trwał przez całą noc. Wiadomo było wszystkim, że małeńka Joyce leży na łożu śmierci, pasażerowie pierwszej klasy chodzili na palcach i rozmawiali o tym. Upał był bezlitosny, dusił wszystkich.

— Nie do wytrzymania — mówił Tiggie do siebie po raz piąty dzisiejszej nocy.

Jedyną jego pociechą było to, że sam był w kabinie i nie potrzebował zachować ciszy. Długie godziny wlokły się nieznośnie. To palił fajkę, to czytał, ale wyteżał całą swoją wolę, aby nie stracić równowagi. Myśli jego biegly ustawicznie do tej drugiej kajuty, gdzie leżała Joyce, walcząca ze śmiercią.

Sen był zupełnie wykluczony. Nie próbował nawet zamknąć powiek. W tym skwarze i hałasie byłoby to niemożliwe.

— Nie do wytrzymania! — powtórzył znowu, ale nie myślał o sobie. Na statku łoskot i wrzawa trwały całą noc i dopiero nad ranem

nastąpiła cisza. A wtedy Tiggie poczuł, że nie wytrzyma już rzeczywiście dłużej. Niepewność stała się dla niego udręką nie do zniesienia. Wstał, włożył na siebie piżamę i wyszedł ze swej kajuty.

Cały statek zdawał się tonąć w czarnym cieniu, ale Tiggie znalazł drogę do kabiny numer pięćdziesiąt trzy i skierował się tam po omacku. Przed drzwiami jednak zatrzymał się jak gdyby przed niewidoczną zaporą.

Drzwi były otwarte i kajuta oświetlona; w dużym zwierciadle, wiszącym na ścianie, zobaczył dziewczynkę, leżącą na niższym posłaniu i szczupłą kobiecą postać w długim, białym szlafroku, klęczącą przy chorej.

Widok ten niby ostrze miecza trafił wprost w jego serce. Wydała mu się tak cicha i tak spokojna w swym czuwaniu.

Z miseczki obok stojącej

brała mokrą chusteczkę i zwilżała nią wargi, policzki i czoło chorej dziewczynki.

Pomimo to jednak dziecko nie dawało znaku życia. Wtem kapitan Turner usłyszał, jak Viola westchnęła. Mimo woli więc postąpił krok naprzód, a w tej chwili ona odwróciła się i zobaczyła go.

* **

Tiggie wyczytał w jej oczach zadowolenie. Odczuł, że rada jest z jego obecności, bo goni już resztkami sił.

Na posłaniu leżał wachlarz. Turner wziął go do ręki i zaczął wachlować nieprzytomną dziewczynkę. Viola wtedy odezwała się swoim spokojnym, monotonnym głosem:

— Dr Rutherford powiedział, że nie pozostaje już nic do zrobienia i poszedł do tamtych dzieci. Pani Rutherford jest przy niemowlęciu. Jeżeli potrafimy utrzymać Joyce przy życiu przez tę noc, można mieć nadzieję, że się ją uratuje.

— Potrafimy i... musimy — rzekł Tiggie.

— Ja twierdzę to samo — odparła Viola.

Tiggie wachlował z całą energią chore dziecko, które leżało z przymkniętymi oczami i ciężko dyszało. Były też i takie chwile, kiedy zdawało się, że przestaje oddychać. Głębokie cienie na twarzyczce nadawały jej bolesny wyraz.

— Czy nie moglibyśmy jej przenieść na pokład? — zapytał Tiggie.

— Ach, gdyby można! — szepnęła Viola.

— Czemu by nie — odparł Tiggie. — Ten upał na dole może zabić każdego.

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa powieki dziewczynki zadrgały, podniosły się i Joyce spojrzała na kapitana.

Błede jej usta poruszyły się.

— Wujciu Tiggie — szepnęła i znowu ledwie dosłyszalnie powtórzyła — wujciu Tiggie.

Jemu wydało się, że Joyce z głębokiej Doliny Ciemności wzywa go prosząc o ratunek. I chociaż zaraz zamknęła oczy i straciła przytomność, Tiggie nie mógł znieść dłużej swej beczynności.

— Zaniosę ją na górę! rzekł — pani zaś przyniesie pościel i powiadomi Spota.

Pochylając się wsunął rękę pod plecy dziecka, któremu głowa opadła bezwładnie, gdy uniósł je w górę.

— Niech pań patrzy! — zawołała Viola przerażona.

Tiggie usiadł gwałtownie na pościeli. Trzymali między sobą nieprzytomną dziewczynkę.

— Umarła — rzekł Tiggie, patrząc w dół.

— Nie, nie! Tylko spokojnie! — jakiś stanowczy, nieznany mu głos, przemówił.

Viola klęczała przed nim, układając jasną główkę dziecka na swym ramieniu.

— Proszę zachować spokój! — powtórzyła znowu. — To tylko omdlenie. Na półce jest brandy, mała butelka! Potrafi pan sięgnąć ręką?

Tiggie posłuchał stanowczego głosu pomimo własnego przekonania, że dziecko już nie żyje.

Viola wzięła z jego rąk flaszkę i zręcznym ruchem ją otworzyła.

— Proszę trzymać dziecko w tej samej pozycji! Tak! Jedną kroplę, dziecinko. Możesz przełknąć. Postaraj się, koniecznie.

W głosie jej dźwięczała błagalna nuta.

— Postaraj się — nalegała Viola. — Dla mnie przełknij tę kropelkę, dziecinko! Tak! Wiedziałam, że potrafisz, wiedziałam!

Kapitanowi wydało się, że brandy wypłynęła z powrotem kącikiem otwartych ust dziecka, ale nuta triumfu, jaka zabrzmiała w słowach Violi, dowiodła mu, że się myli. Po chwili zauważył, że maleńka chora poruszyła się, a z piersi Violi wydarło się ciche westchnienie.

— Ona wraca do życia...

Tiggie siedział w dalszym ciągu bez ruchu nie dowierzając jej słowom, podczas gdy Viola przemawiała do dziecka czułymi słowami i starała się wlać mu do buzi następne krople brandy.

Na twarzy jej malowała się szalona wytrwałość. Cała jej uwaga i siła w obecnej chwili skoncentrowała się na ratowaniu dziecka. Widział, że kiedy on siedząc podtrzymuje dziecko na swych kolanach, Viola czyni olbrzymi wysiłek i przelewa na Joyce całą swoją żywotność. Ale nie tylko fizycznie walczyła z tym, aby na nowo przywrócić życie dziecku,

lecz zużywała także całą swą duchową energię, co dla umysłu Tiggiego było zupełnie niezrozumiałe. Przypominał to sobie później i wydawało mu się, że był świadkiem cudu, nie potrafił nawet przed samym sobą opisać tego, co zdarzyło się owej nocy i na zawsze wryło się w jego pamięć. Jak długo okropna walka trwała, nie wiedział, ale gdy Viola podniosła wreszcie głowę, przekonał się, że zużyła ostatki swej siły. Twarz miała śmiertelnie bladą, bezsilna i wyczerpana oparła się o ścianę, ale dziecko w jego ramionach oddychało... Gdy w kilka minut później zjawił się Spot, zastał Turnera siedzącego na brzegu łóżka, a Violę na pół omdlałą, skuloną na ziemi.

— Lepiej się ma — szepnął doktor, pochylając się nad Tiggiem. — Co jej zrobiłeś?

— To nie ja — zaprzeczył kapitan. Spot odebrał mu ciężar z kolan.

— Mogę teraz czuwać przy niej. Prawdopodobnie będzie już spała. Zajmij się panią Norman! Zaprowadź ją na pokład, żeby odetchnęła trochę świeższym powietrzem!

Tiggie skierował się więc ku Violi, która, gdy wszedł Spot, dowlokła się do stołka pod strzelnicą w ścianie statku.

Oparła głowę o ścianę i przymknęła oczy. Robiła wrażenie zupełnie wyczerpanej.

— Daj jej trochę wody — rzekł Spot zajęty dzieckiem. — To z upału! Tiggie chwycił szklanke, nalał do wody trochę brandy i przybliżył ją do ust pani Norman.¹

— Proszę to wypić, dobrze pani robi. Wypiła posłusznie, a on spoglądał na nią z ulgą.

— To tylko upał! — szepnęła.

— Wiem. Zaprowadzę panią na pokład.

— Nie potrafię tam dojść — rzekła cicho.

— Potrafi pani, pomogę ci. — Teraz przyszła jego kolej. Rozkazywał. — Proszę wypić do końca.

Posłuchała go z lekkim wzdrygnięciem.

— Wyprowadź ją stąd, za dużo nas tu jest! — rzekł Spot.

— Chodźmy — zawołał Tiggie.

Otoczył ramieniem jej smukłą, pochyloną postać, którą jak gdyby opuściła wszelka energia. I Tiggie dziwiąc się sobie samemu na pół ją niósł, a na pół prowadził, aż wreszcie dotarli do pokładu.

Lekki podmuch powietrza dolatywał z arabskiej pustyni. Straszna noc kończyła się, noc, która na zawsze zapadła w świadomość Tiggiego. Na razie nie wiedział jeszcze, czym będzie dla niego to nowe doświadczenie. Wiedział tylko, że dokonało ono jakiejś szalonej zmiany w jego życiu.

Podpierając Violę swym ramieniem, podprowadził ją do burty, gdzie przystanęli i spoglądali w pustkę. Kilku pasażerów spacerowało tam i z powrotem po pokładzie, niby duchy snujące się w ciemności. Nikt się nie odzywał. I Tiggie znowu doznał tego dziwnego uczucia odosobnienia, jak gdyby oni oboje zostali wyrzuceni z głębin, skazani na to, by znaleźć kierunek na morzu życia. Trzymał ciągle ramię na jej kibici zdając sobie sprawę, że Viola potrzebuje jego wsparcia. Wydało mu się, że nigdy już po tej wspólnej nocy nie będą mogli być dla siebie obcymi. Połączył ich jakiś węzeł, którego dotąd nie było — zespalające ogniwo, które nie było ani przez niego, ani przez nią wykute i właśnie dlatego może znacznie silniejsze.

Widocznie i u niej błąkały się podobne myśli, nie starała się bowiem uwolnić z jego uścisku. Opierając się po prostu na Tiggim nie okazała wcale, że zdaje sobie sprawę z jego otaczającego ją ramienia. Jakoś wszystko tej nocy wydawało się im naturalne — tak, jak wszystko zresztą dla prostego serca jest zawsze naturalnym.

Tymczasem z dołu wydobywały się krzyki i brzęk łańcuchów. Wielki statek przygotowywał się do dalszej drogi. Westchnienie ulgi wydostało się z ust Tiggiego.

— Nareszcie! — szepnął.

Stali w miejscu, wsłuchując się w hałas, aż nagły huk maszyny wstrząsnął statkiem i głośny gwizd syreny oznajmił odjazd.

— Dzięki Bogu — westchnął Tiggie, wycierając pot z czoła. Ciemność znikła. Nowy dzień zaczął świtać. Żółty odcień, który

szybko przechodził w pomarańczowy, padał na niskie wzgórza. Widzieli podnoszenie się i opadanie wody, gdy odbijali od brzegu.

— Lepiej się czujesz?—zapytała ją Tiggie, jak gdyby zwracając się do dziecka.

Głowa Violi spoczywała na jego ramieniu.

— Jestem bardzo, bardzo zmęczona — rzekła.

— Potrzebuje pani snu.

— Tak — odparła cicho.

Na niebie świeciło. Spoza wzgórz wyłaniało się słońce.

Tiggie spojrzął na bladą twarz opartą na jego ramieniu i ponownie uderzyło go jej uduchowanie. Miał wrażenie, że patrzy na symbol czystości, który działa jedynie na jego poczucie estetyki. Urok Violi był nieuchwytnym urokiem marzenia.

Za nimi płonęło niebo brzaskiem jutrzeńki. Przed nimi wyłaniały się wyspy jedna za drugą, naszkicowane niby jakimś magicznym ołówkiem, podczas gdy inne brzegi cofały się.

Tiggie odezwał się znowu niemal szeptem.

— Czy mam pani pomóc i poprowadzić na dół z powrotem? Podniosła się z wysiłkiem.

— Nie, nie', sama zejść.

Cofnęła się robiąc wrażenie, że po raz pierwszy spostrzegła, iż znajduje się tak blisko niego. W czystym świetle poranku dostrzegła delikatny rumieniec na jej twarzy.

— Dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił — rzekła, a on na chwilę ujrzał jej zamglone, niebieskie oczy, które wnet przysłoniła rękami. — Nie dałabym sobie rady.

— Czy pójdzie pani sama? — zapytał Tiggie łagodnie. — A może mam pani towarzyszyć aż do salonu?

— Nie, dziękuję — rzekła. — Dziękuję. Pójdę sama.

Odeszła. Uczuł pustkę. Odwrócił się, aby spojrzeć jeszcze na Violę. Odeszła więc i został sam ze swoimi chaotycznymi myślami, których nie miał odwagi uporządkować. Wiedział tylko, że jej nie ma, a on jej pragnie — całą duszą pragnie mieć ją przy sobie.

W ciągu następnych dni siły opuszczały małą Joyce i powracały znowu, ale nigdy już nie opuściły jej tak bardzo, jak owej nocy w Adenie.

Viola pielęgnowała dziewczynkę i Tiggie nie widział jej więcej samej. Pod pewnym względem zadowolony był z tego stanu rzeczy, chociaż z drugiej strony bolała go ta przymusowa rozłąka.

Zawładnął nim jakiś wielki niepokój, który go nie opuszczał nawet w czasie snu. Chwilami ogarniała go szalona tęsknota, pragnął tulić ją do siebie tak, jak wówczas o świcie, po owej nocy, kiedy razem czuwali przy dziecku. Uległość jej i uczucie, którego doznał, że ona go potrzebuje, utkwiły mu w pamięci, poruszając krew w jego żyłach. Tiggie stał się w towarzystwie ponury i posepny, a widok Billego Saundersa, który pocieszał się jakimś flirtem z jedną z panien Cathcart, doprowadzał go do pasji. Głupi śmiech i żarty działały mu na nerwy. Instynktownie unikał wszystkich. Nikt też na statku nie pragnął bardziej końca podróży od Tiggiego Turnera, chociaż w głębi duszy wiedział, że równocześnie lęka się tego końca.

Gdy minęli wreszcie Suez i owionął ich chłodny wietrzyk z zachodu, Joyce nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Potrzebowała jeszcze tylko ciągle troskliwej opieki i Viola cały swój czas i energię jej poświęciła. Dopuszczano tylko Tiggiego do ścisłego grona, które otaczało dziewczynkę, inni natomiast nie otrzymywali żadnej ku temu zachęty ze względu na spokój, który był dla dziecka konieczny. I kapitan Turner jednak nie zawsze korzystał ze swego przywileju. Sam z sobą nie pozostawał w harmonii i uważał, że zakłóca spokój innych. Spostrzegł przy tym już kilkakrotnie zmieszanie u Violi w jego obecności, a kiedy indziej znowu odczuwał wzmożony do tego stopnia niepokój, że bał się zbliżyć do niej. Nie był pewny wtedy niczego nawet tego, że potrafi zachować się przyzwoicie. Był jakby trawiony ustawiczną gorączką, która nie dawała mu wytchnienia. Nie miał pojęcia, co się stało, ale z uporem postanowił nie dociekać przyczyn swego nastroju i trwał w postanowieniu nie badania swej duszy. Szedł zawsze prosto przez życie nie wnikając w siebie i dalej chciał się trzymać tej zasady. Nie uznawał a%alizi, prostolinijna jego natura nie widziała ani pociechy, ani lekarstwa w rozdrapywaniu bolesnych ran. Tłumaczył sobie, że człowiek może zblądzić w myślach, ale jeżeli postępuje słusznie, wszystko się może dobrze ułożyć. Takie było jego zapatrywanie i nim kierował się w życiu.

Podróż ich po Morzu Śródziemnym była bardzo spokojna — cudowne były dni i wspaniałe noce. Życie na pokładzie ożywiło się. Organizowano różne zabawy, do których i Tiggie, wbrew woli, został

wciągnięty. Odkryto, że on jeden posiadał gitarę, prószono go więc

o koncerty, a on nie mógł odmówić. Zresztą bezczynność stała się dla niego nie do zniesienia, chętnie więc chwycił się czegoś, co mogło go zająć.

Wypełniał też czas ćwiczeniem i popisami coraz mniej widując rodzinę Rutherfordów i zamieniając tylko banalne uprzejmości z kobietą, która zdołała tak zmącić jego spokój. Problem jej przyszłości — jej tajemnicy, którą on jeden z nią dzielił, nie dawał mu spokoju. Sprawę tę musi zgłębić, ale na razie rozmyślnie nie chciał się nad nią zastanawiać. Gdy miną Gibraltar, dostatecznie będzie na to czasu. Ale nie wmawiał już sobie, że żadna odpowiedzialność na nim nie ciąży. Od pierwszej chwili ich spotkania zdał sobie sprawę, że mimo woli Viola została pod jego opieką, wobec czego postanowił podjąć ten obowiązek, gdy czas nadejdzie.

Zauważył, że pani Norman nie brała już udziału w rozrywkach, które improwizował na statku specjalny komitet zabawowy, do którego

i on należał. Zjawiała się tylko ze Spotem, na jednym czy dwóch koncertach. Ale, gdy minęli Gibraltar, Tiggie zrozumiał, że Viola go unika. Ta świadomość uderzyła go nagle pewnego dnia, gdy wiatr dął silnie z zachodu i napędzał wielkie fale. Zrobiło się zimno i zmiana temperatury po tygodniowym upale zatrzymała mnóstwo pasażerów na dole w kajutach. Tiggie jednak nie chciał być niewolnikiem żywiołów, otulony więc płaszczem, wyszedł na górny pokład, nie kryjąc się przed deszczem, który zacinał nad Atlantykiem.

Powietrze orzeźwiło go, stał naprzeciw wiatru, który niósł krople deszczu, a bryzgająca morska woda biła go po twarzy. Tiggie spostrzegł, że nadciąga wielka burza i postanowił pójść na dół.

W tej chwili jednak zobaczył szczupłą postać swej protegowanej opartą znowu o burtę statku. Chciał podejść do niej, ale zanim zdołał to uczynić odwróciła się szybkim ruchem, szukając ucieczki.

Tiggie zatrzymał się i patrzył na nią tak długo, dopóki nie znikła mu z oczu. Ogarnęło go dziwne oburzenie, że ona go unika, jego, który wolą Losu został jej opiekunem. Podjął decyzję, że nie pozwoli w ten sposób ze sobą postępować. Ona została narzucona mu przez Los — wbrew jego woli i skoro podjął się nad nią opieki, nie da jej teraz odejść. Za wiele czasu może

upłynęło, zanim zdał sobie sprawę ze swej odpowiedzialności, ale teraz wie już na pewno, że Viola należy wyłącznie do niego i nie odda jej nikomu. Sama powiedziała, że nie ma przyjaciół. Przyjęła jego przyjaźń i nie odrzuciła jego pomocy. Dobrze! Nie ma więc prawa odwracać się teraz od niego i ón nie pozwoli jej tego uczynić.

— Nonsens! — rzekł Tiggie przez zaciśnięte zęby. — To ja, a nie Spot lub ktoś inny, podjąłem się tego zadania. Czuł się naprawdę zirytowany, ale nie pytał dlaczego. Jego spokojna natura ostatnimi czasy wytracona została z równowagi i wydawało mu się, że na nic nie znajdzie wytłumaczenia. W każdym razie badanie siebie jest szkodliwe i on nie ma czasu na takie głupstwa.

Gdy nieco później zatrzymał Violę w salonie, Tiggie był innym człowiekiem. Wchodziła właśnie ze Spotem i z jednym z dzieci, ale nic go to nie obchodziło.

— Chcę z panią pomówić — rzekł krótko — pozwoli pani? Miała minę zdziwioną, ale szepnęła tylko słowo usprawiedliwienia

i weszła za nim w wąski korytarz.

Uległość jej złagodziła jego gniew. Stała w milczeniu, czekając, aby on pierwszy się odezwał.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego pani uciekła przede mną przed chwilą. Czy powie mi pani?

Zrobiła lekki, jak gdyby błagalny ruch/

— Szkoda, że pan o to pyta — rzekła.

Podobała mu się jej odpowiedź. Spodziewał się bowiem, że zechce zaprzeczyć... Więc jego niechęć zaczęła szybko znikać.

— Zrobiła już to pani raz, ale sędzę, że niepotrzebnie — teraz on zdawał się skarżyć. — Nie jestem przecież takim potworem, co?

Uśmiechnęła się tym swoim przelotnym uśmiechem.

— Nie chciałam pana dotknąć, przykro mi bardzo.

— To tak po kobiecemu — dumiał Tiggie. — Tylko rozbrajająca skrucha, a żadnego wytłumaczenia. Nie stara się jednak kłamać i tym przynajmniej różni się od wielu swoich towarzyszek.

Nie był w stanie przedłużyć rozmowy. Intuicja mówiła mu, że nie na wiele by się dalsze badanie przydało. Zresztą nie chciał jej straszyć. Niech Bóg broni! Tej małej dziewczynki, która u niego szukała opieki w czasie piekielnej nocy w Adenie! Zdawało mu się, że już całe lata

minęły od tego czasu. Nie mógł sobie wyobrazić, aby teraz potrafiła tak tulić się do niego. A przecież była tą samą, małą dziewczynką! — Proszę więc już tego więcej nie robić.

Viola wyciągnęła z wdzięcznością dłoń, którą on zamknął w swoim. uścisku i przytrzymał chwilę.

— Musimy ze sobą porozmawiać któregoś dnia — rzekł — proszę o tym nie zapominać!

— Naprawdę? — zapytała Viola.

— Naturalnie, coś trzeba postanowić o pani przyszłości.

— Ach! — westchnęła, oddychając szybko. — Ale pan, pan nie potrzebuje się tym przejmować.

— Będę się jednak martwić — odparł Tiggie, walcząc o swe prawa.

— Nie odepchnie mnie pani, szkoda więc próbować. Wysunęła rękę z jego dłoni, rzucając mu badawcze spojrzenie.

— Nie próbuję. Powiem panu, co zrobię, zostanę na razie z Rutherfordami.

— Doprawdy? Powiedziała więc mu pani wszystko? Cofnęła się lekko i jak gdyby zeszywniała.

— Nie mówiłam o niczym nikomu/, tylko panu — odpowiedziała.

— I byłabym wdzięczna, gdyby pan zechciał o tym zapomnieć.

— Nie mogę tego uczynić — rzekł. — Ale nie będziemy tutaj o tym mówili, chociaż musimy porozmawiać... kiedyś.

Przykro mi, że pani tego nie chce, ale trudno, trzeba będzie. Musi mi pani dać jeszcze ku temu okazję lub sam ją znaleźć.

Nie wiedział, dlaczego przemawia do niej tak stanowczo, ale domagała się tego sytuacja. Czuł, że Viola chce mu się wymknąć i on do tego nie może dopuścić. Opieka nad nią należała do niego! Po raz setny upewniał się pod tym względem. Nigdy nie zrzucał z siebie odpowiedzialności, a teraz za żadne pieniądze na świecie nie zrezygnowałby z niej.

W czasie krótkiej przerwy, jaka nastąpiła po jego słowach, oczekiwał z jej strony oporu, chociaż ona dotąd nigdy mu się nie sprzeciwiała. Znowu więc łagodnie odpowiedziała:

— Dobrze.

— Zgoda wobec tego — rzekł spokojnie, zmieszany trochę brakiem jej oporu.

— Spotkam się z panem, kiedy pan zechce.

— Może więc dzisiaj po obiedzie?

— Jeżeli pan chce, owszem.

Posłuszeństwo jej wzruszyło go. Zdał sobie nagle sprawę, że on sam -szukał zaczepki.

— Nie, nie spieszmy się z tym — odezwał się z uśmiechem. — Jutro będzie czas.

Podniosła swój wzrok na niego w niemym sprzeciwie, którego nie rozumiał.

— Spotkam się jednak z panem dziś wieczór — rzekła i z lekkim westchnieniem oddaliła się.

Tiggie udał się w przeciwną stronę i wściekły potępił siebie za to, że zachował się jak brutal.

** *

Tiggie nie był konwencjonalny i posiadał naturę zanadto prostolinijną, aby troszczył się wiele towarzyskimi formami, zastąpił je rycerskim kodeksem. Jego zachowanie wobec kobiet było tego rodzaju, że te bardziej nowoczesne uważały je za groteskowe. Chociaż uznawał u wielu niewiast samodzielność z konieczności, to zawsze uważał, że kobieca słabość domaga się męskiej opieki.

Nowoczesna kobieta nie była dla niego bardzo pociągająca, ale honor nakazywał mu uczynić dla niej co możliwe, gdy zaszła potrzeba.

W tych wypadkach, kiedy wielu mężczyzn kierowałoby się tylko dobrą wolą, Tiggie widział swój obowiązek. Viola potrzebowała pomocy bardziej niż ktokolwiek, a fakt, że nie przybrała postawy nowoczesnej kobiety i nie okazała mu swej niezależności, uczynił jego dążenie bardziej koniecznym.

Jasnym było, że nie mogła się tego wyrzec, iż potrzebuje tej pomocy i równie jasnym to, że on, który się pierwszy o tym dowiedział, musi być tym, który jej poda rękę.

W jakiej formie to uczyni, było problemem i na razie nie mógł go rozwiązać. Teraz jednak, gdy się utwierdził w tym przekonaniu, czuł, że trudności znacznie się zmniejszyły. Przeskoczył niejako przepaść, która

ich dzieliła i z niezmiernym zadowoleniem odkrył, że chociaż różne mogą być przeszkody do pokonania, nie będzie potrzebował walczyć z niezależnością i uporem. Viola nie była typem, który sam by walczył, chociaż Tiggie pewny był, że nie zabrakłoby jej odwagi, do spróbowania swych sił.

Czekając więc na nią po obiedzie wmawiał sobie, że zadanie jego nie będzie tak trudne, jak przypuszczał i wskutek tego, dzięki swemu niepoprawnemu przyzwyczajeniu, aby zostawiać wszystko na ostatnią chwilę, przeoczył najważniejszy czynnik ze wszystkich, który miał zniweczyć jego przewidywania.

Wicher ciągle jeszcze dał i kilka śmielszych osób, będących na pokładzie i podziwiających noc, wnet ukryło się znowu w swoich kabinach.

Tiggie, czekając u drzwi salonu, doszedł do przekonania, że nie może jej prosić, aby z nim poszła na górę i zastanawiał się, gdzie mogliby spokojnie pogawędzić. Po chwili jednak ona nadeszła od strony swej kajuty ubrana w błyszczący, czarny, nieprzemakalny płaszcz, który ją okrywał od stóp do głowy.

— Pożyczyłam go od doktora Rutherforda — rzekła w odpowiedzi na jego zdziwiony wyraz oczu. — Na włosach mi nie zależy. Wyschną prędko.

— Okropny jest wicher — odparł Tiggie — nie mogę panią narażać na takie powietrze.

— Chcę jednak wyjść — odpowiedziała spokojnie, przyciszonym głosem. — Niedobrze jest coś odkładać.

— Zgoda więc! — rzekł Tiggie. — Sądzę, że potrafimy się gdzieś schronić przed wiatrem.

Gdy wyszli jednak na samą górę i otworzyli drzwi, huk wiatru i morza był tak okropny, że Tiggie cofnął się.

Noc nie była bardzo ciemna, na niebie spoza gęstych chmur wyłaniał się księżyc. Znadto wielka też była wichura, aby mógł spaść rześisty deszcz, ale pryskająca woda otaczała statek niby srebrna mgła.

Tiggie postąpił naprzód, za nim Viola po czym on zamknął drzwi, o które oboje się oparli i przez chwilę wsłuchiwali się w szalone odgłosy żywiołów.

Statek kołysał się silnie. Tiggie poszedł szukać zacisznego miejsca, gdzie by się mogli skryć przed pryskającą wodą.

— Jakie to cudowne — westchnęła Viola i Tiggie zobaczył w świetle księżycyca uśmiech na jej twarzy.

— Nie chciałam dziś zostać na dole — dodała po chwili.

— Czemu? — zapytał zdziwiony.

— Wstyd byłby stracić tego rodzaju wrażenie! — Myślałem, że pani się będzie bała.

— O nie! — odparła.

Stali chwilę w milczeniu. Byli prawie zupełnie osłonięci od wiatru, ale słyszeli uderzające fale o drugą stronę statku i trzeszczenie desek.

Tiggie wreszcie odniósł wrażenie, że Viola oczekuje, aby on pierwszy zaczął rozmowę. Z pewnym zmieszaniem więc rzekł:

— Wie pani o czym chcę mówić, prawda?

— Tak, już mi pan powiedział.

Stała tuż obok niego odwrócona tak, że chwilami tylko mógł widzieć jej twarz, ale w zachowaniu jej nie odczuwał żadnej niechęci. Czekwała widocznie, co dalej będzie mówił. Ale on, choć wmawiał sobie, że sytuacja nie przedstawia żadnych trudności, zmieszany był ciągle i zdenerwowany.

— Pani mówi mi więc, że zostanie z Rutherfordami — rzekł wreszcie. — Ale nie może być pani u nich w nieskończoność.

— Ach, nie! — odparła. — Tylko przez kilka tygodni.

— A potem co? — pytał Tiggie.

— Nie wiem — rzekła.

— Ale tak nie może być — stwierdził. Uczyniła mały gest zniechęcenia.

— Czy coś innego mamy postanowić? — spytała.

Doznał znowu tego dziwnego uczucia bólu. Osamotnienie jej zawsze tak na niego działało.

— Tak nie można. Jest — mówił z widocznym wysiłkiem — dziecko. Może mi pani powiedzieć, kiedy spodziewa się dziecka?

— Ach, nie teraz jeszcze. Nie teraz.

— Kiedy? — nalegał Tiggie.

Wahała się, a on odniósł wrażenie, że nie chce mu wyznać prawdy. Wreszcie usłyszał jej odpowiedź.

— Moje dziecko urodzi się we wrześniu. Do tego czasu znajdę jakieś wyjście.

— Nie może pani na to liczyć — rzekł Tiggie. — Później sytuacja dla pani nie będzie łatwiejsza. Musi pani pomyśleć wcześniej, obmyśleć coś.

— Ach, wiem! Ale co?

Czuł rozpacz w jej głosie, mówiła zanim zdołał odpowiedzieć:

— I tak to do niczego nie doprowadzi. Tylko się człowiek boi. Głos jej zdawał się rozplýwać w nocnej pustce.

Wyglądała śmiesznie

drobno i nikle w zasłaniającym ją płaszczu, podobna do białego owada, który ukrywa się przed nawałnicą.

Tiggie zdał sobie sprawę z walki wewnętrznej zanim przemówił, ale jakiemu impulsowi się opierał, tego nie potrafiłby określić. Była tak młoda, tak apatyczna, że robiła wrażenie dziecka, które samo znalazło się na pustyni.

— Nic nie ma takiego, czego trzeba by się bać — rzekł wreszcie szorstko. — Od dawna mówię pani, że jej pomogę, więc pomogę.

Spojrzała na niego.

— Cały czas tak się obawiałam, że pan będzie się poczuwał do tego obowiązku — rzekła.

— Ach, więc dlatego starała się pani mnie unikać? Roześmiała się delikatnie.

— Naturalnie. Nie chcę, aby pan w ten sposób myślał.

— Ależ, moje drogie dziecko, dlaczego? — rzekł Tiggie z naciskiem.

— Powiada pani, że mamy płynąć nie patrząc przed siebie. Ja zaś twierdzę, że mamy pomagać sobie wzajemnie.

Zdaje się, że moja metoda jest praktyczniejsza. Do tej pory nie trzeba było o niczym decydować. Ale teraz, teraz, gdy za dzień, dwa będziemy już w kraju, należy rozważyć wszystko i obmyśleć coś na przyszłość. Powiada pani, że nic nie powiedziała Rutherfordom.

— Niewiele. Dr Rutherford zapytał mnie tylko, jakie mam plany. Powiedziałam, że chciałabym pojechać gdzieś na wieś i spokojnie czekać na... męża.

— Ale pani się go nie spodziewa? — zapytał Tiggie ostro.

— O nie! Wątpię, abym go jeszcze kiedyś zobaczyła — mówiła jak ktoś, kto dawno się już przekonał o czymś i z tym faktem pogodził się.

— Ale powiedziałam, że zostałabym z nimi przez kilka tygodni,

ponieważ nie mam się dokąd śpieszyć i pomogłabym im w zagospodarowaniu się.

— Ale pani powinna żądać wynagrodzenia, jeżeli podejmie się tego rodzaju pracy.

— Ach, nie, za tak krótki czas — rzekła. — Dr Rutherford uznał to samo, ale po prostu nie mogę o tym myśleć.

Powiedział więc, że później mi się odwdzięczy... przy dziecku.

— Ach, tak! — rzekł Tigie ponuro. — Ale oni nie wiedzą, że pani nie ma pieniędzy, a sami także nie są zamożni.

— Nie przyjąłabym od nich pieniędzy, gdyby je nawet mieli.

— Będzie musiała je pani przyjąć od kogoś — przekonywał ją Tigie. — Musi pani przecież z czegoś żyć.

— Mogę umrzeć — odparła Viola po prostu.

Tigie zwrócił się do niej z niespodzianym gniewem, który samego go zdziwił.

— Nic podobnego pani nie robi, proszę więc przestać o tym mówić! Musi pani mieć pieniądze, to pewne. I nie przyjmie ich pani od Rutherfordów. Będzie je pani musiała przyjąć ode mnie.

Cofnęła się na sekundę i stała skrupowana w małej niszy, w której znaleźli schronienie. Opierała się w milczeniu.

— Nie warto dyskutować na ten temat — rzekł znowu Tigie, chociaż nie zaczął nawet niczego dowodzić — ani nie warto też starać się walczyć z nieuniknionym. Konieczność nakazuje pani przyjąć moją pomoc i musi pani się z tym pogodzić choćby dla dobra dziecka, jeżeli nie dla swego własnego. Nie ma pani możliwości zarabiać na życie. Na razie nie może pani w ogóle nic robić. Ktoś musi więc pani pomóc, a tym kimś będę ja!

Umilkł. Księżyc znikł za chmurami i otoczyła ich ciemność, kołysali się na niewidocznych wodach... Odgłos nawałnicy zdawał się wzmaczać. Mieli wrażenie, że wydostali się z jakiegoś chaosu i płynęli sami na swej tratwie ku spokojnej przystani.

Tigie czekał, aby usłyszeć jej głos, ten dziecięcy, przyciszony głos, który znał już tak dobrze, czekał bez niepokoju, bo skoro ocalił ją przed utonięciem, musi przyjąć teraz jego pomoc.

Ale gdy odezwała się nareszcie, usłyszał drżenie w jej głosie i czuł, że tłumy łzy.

— Kapitanie Turner, jeżeli zgodzę się na to, jeżeli przyjmę pańską pomoc, obieca pan, musi pan obiecać, że pozwoli mi pan zwrócić zaciągnięty dług.

— Ach, proszę nazywać mnie Tiggie! — rzekł wesoło. — Naturalnie, że mi pani odda, to ją uczyni szczęśliwszą. Możesz robić, co chcesz, dziecko, tak długo jak jesteś szczęśliwą.

— Szczęśliwą — rzekła i pogрузyła się w milczeniu.

Zza chmur wynurzył się na sekundę księżyc. Tiggie zobaczył, że Viola nad czymś rozmyśla. Ogarnęła go znowu szalona litość, która zdawała się go spalać. Czuł w sobie jakiś ogień, ale nie mógł znaleźć słów, by pocieszyć Violę. Wicher, który ustał na pewien czas, zerwał się na nowo i wył groźnie nad morzem. Przelotna cisza skończyła się gwałtownym uderzeniem fali o bok statku, który zanurzył się głęboko w wodzie. Nawet Tiggie był nie przygotowany i zachwiał się, a Viola upadła na niego. Otoczył ją instynktownie ramieniem, ona odruchowo przytuliła się do niego, podczas gdy statek stopniowo odzyskiwał równowagę.

Wtedy zaś ogień, który płonął w Tiggie, wybuchnął nagle gorącą lawą i gdy Viola zrobiła ruch, aby się odsunąć, jego drugie ramię - otoczyło ją silnie. Przycisnął ją mocno do siebie i uwięził na swych piersiach. Wprawdzie delikatnie się broniła, ale nie zaprotestowała stanowczo i dziwnym trafem zawsze opanowany Tiggie przekroczył konwencjonalne granice, nie wiedząc nic w chwili szalonego zachwyty posiadania, że to uczynił i gdy księżyc znowu zaświecił, przylgął ustami w dzikich, gorących pocałunkach do bladej twarzy zwróconej ku niemu kobiety.

Część II

Tiggie stłumił nagle szal, który go ogarnął. Szepnął coś niezrozumiale, co można było wziąć za usprawiedliwienie i puścił smukłą postać, którą mocno trzymał w swoim uścisku. Odwróciła się od niego zalękniona, zagniewana czy zasmucona, tego nie chciał już badać.

— Chodźmy na dół zanim druga fala nadejdzie! — odezwał się.

I zeszli. Ona tak otulona wysokim kołnierzem płaszcza Spota, że nawet w salonie nie zdołał dostrzec jej twarzy. Uciekła od niego natychmiast, a on udał się prosto do swej kabiny, aby pograć się w rozpacz z powodu wyrzutów sumienia. Wiedział bowiem teraz, co go spotkało. Co było powodem tej niepokojącej gorączki, która go trawiła od tak dawna. Zdał sobie sprawę z tego, że ten ogień, który się w nim palił i popychał do gwałtownych czynów, obcych jego naturze, nie był wzniecony ani litością, ani poczuciem obowiązku, ale jedynie płomieniem Miłości. To, że on właśnie stanął wobec zagadki miłości, wydało mu się zdumiewającym faktem, który pochłonął zupełnie jego myśli. Czy wskutek jakiejś fizycznej słabości wpadł w tę pułapkę? Jakim sposobem przestał się mieć na baczności, on, który dotąd był na wszystko obojętny? Prawda, tamta sprawa niegdyś zaboląła go bardzo na pewien czas — ale to już minęło — i postanowił nie być już nigdy ofiarą.

Coś jednak w duszy szeptało mu teraz, że tym razem jest co innego, zupełnie co innego. Jego poprzednia miłość w porównaniu z tą była bezbarwna. Ta przenika całą jego istotę, jest silniejsza od jego woli.

Przypomniawszy sobie, że od razu zaczął płonąć, gdy tylko dowiedział się o jej sytuacji, od razu poczuł w sobie ten dziwny ogień, który teraz, gdy trzymał ją w swych ramionach, zupełnie go pochłoniął. Kochał Violę — tę małą, zastraszoną dziewczynkę, która przypląsnęła do niego i jako rozbitek szukała schronienia na jego tratwie. I chociaż jego miłość jest szaleństwem, nie może już jej teraz stłumić. Kocha ją i nic nie jest w stanie zmienić tego faktu. Daremnie byłoby pytać siebie, jak się to stało, tak daremnie, jak szukać źródła nawałnicy, która przed chwilą szalała. Kocha ją i teraz, kiedy o tym wie, stawia temu odkryciu dzielnie czoło. Może był głupcem, nie zdającym sobie z tego sprawy przedtem, nie będzie jednak takim idiotą, aby zaprzeczać temu teraz. W czasie tej okropnej nocy powtarzał więc sobie wielokrotnie, że dotąd nie znał właściwie miłości, tej niezaspokojonej tęsknoty, głodu serca i zmysłów. Powoli wlokły się długie godziny. Od czasu do czasu Tiggie odnosił wrażenie, że burza się wzmacnia, ale nie zwracał na to uwagi. Stan jego umysłu był zupełnie nienormalny i gdyby statek nagle rozbił się w drobne kawałki, wcale by się tym nie przejął.

Podczas gdy pasażerowie okryci, na pół ubrani leżeli drżący na swych pościelach, on siedział pochłonięty swymi myślami i zastanawiał się nad dziwną siłą, która nim dziś zawładnęła.

Szary, blady, smutny ranek zastał go w tej samej pozycji, ale wśród chaosu, który panował w jego duszy, wyłoniło się jedno postanowienie, które zajaśniało, jak latarnia morska.

Czymkolwiek to uczucie będzie dla niego, dla niej powinno być tylko samym dobrem. Chociaż nie uda mu się może nigdy zgasić płomienia tego uczucia, dla jej miłości ukryje go pod płaszczykiem przyjaźni tak, że ona nigdy go już więcej nie dostrzeże. Będzie jej służył w jakiś sposób, choćby serce miało mu pęknąć w tej służbie. I ona nigdy także się nie dowie, jak wielkim było jego poświęcenie. Pozostanie jej wierny i temu wszystkiemu, co jest w nim najlepsze. Tiggie przysiągł to sobie, patrząc na świt nowego dnia.

Przy śniadaniu wiele było pustych miejsc, a między nimi i Violi. Spot przyszedł z wiadomością, że dzieci przemęczone burzliwą nocą wymagają opieki, więc Helena i Viola są bardzo zajęte. Tiggie zdając sobie sprawę, że niczego nie osiągnie czekając dłużej, poszedł zbadać pogodę.

Deszcz jednak lał, pospiesznie więc wrócił do dolnych części statku. W salonie dla palących powitało go kilku bladych pasażerów, ale nie zatrzymał się wśród nich i podążył do swej kajuty.

Tu znowu pograżył się w smutku i rozpacz. Dopiero, gdy stopniowo odzyskał równowagę, zaczął szukać wyjścia. Nie jest przecież jeszcze wszystko stracone dlatego, że w ciemności ukradł jej pocałunek. Czynił to nieraz przedtem bez żalu i konsekwencji. I teraz więc nie ma powodu, aby uważał to za tak okropną obrazę.¹ Jednak ona jest mężatką, zaufała mu jako przyjacielowi, więc ten impulsywny czyn pozostawał w zupełnej niezgodzie z rolą, jaką chciał odegrać. Nadużył jej zaufania i na tę myśl ogarniał go wstyd. Ale możliwe, że ona zapatruje się pobłaźliwiej na tę sprawę. Może uda mu się jeszcze uratować sytuację i przekonać ją, że nawet ta jego tratwa, miotana burzą jest miejscem schronienia.

W każdym razie warto spróbować. Po długich więc godzinach niepokojących myśli podjął decyzję, której bezpośrednim wynikiem był list tej oto treści:

Droga Pani! Jestem dzisiaj trochę do niczego po tej okropnej nocy i nie wychodzę z kajuty. Mam nadzieję, że pani nie czuje się źle po naszej przygodzie na pokładzie. Robię sobie wymówki, że tak bezmyślnie naraziłem panią na rozhukane żywioły i będę bardzo wdzięczny, jeżeli przyśle mi pani swoje przebaczenie. Siła okoliczności pozwala nam czasem się zapomnieć i to niech będzie moim jedynym wytłumaczeniem. Ale to nie zdarzy się więcej, jeżeli pani będzie łaskawa darować mi tym razem winę.

Zawsze oddany Tiggie

Był to najtrudniejszy list, jaki kiedykolwiek w życiu napisał, ale skreśliwszy go posłał przez stewarda i postanowił czekać.

Burza mijała i statek torpwał sobie drogę z większą równowagą. Tiggie leżąc wsłuchiwał się w plusk wody i zastanawiał, jak jego list zostanie przyjęty. Czy go przeczyta?

Możliwe, że nie zechce odpowiedzieć. Cała sprawa wyda się jej trywialna lub może zanadto czuje się obrażona, aby przyjąć do

wiadomości tak powierzchowne tłumaczenie. A jednak nie wierzył w jej gniew, bo coś łagodnego i gołębiego było w jej naturze. Nie będzie zagniewana, ale może być przestraszona. Zacisnął zęby nagarną tę myśl. Będzie się już może bała zaufać mu kiedykolwiek. I nie zechce przyjąć od niego pomocy, na którą się zgodziła.

Nigdy w życiu przedtem Tiggie nie przechodził takich katuszy, jak tego pochmurnego dnia, gdy deszcz bił o szyby, a szare morze smutne było jak jego dusza.

Gdy steward przyniósł mu herbatę, Tiggie zobaczył na tacy kopertę zaadresowaną wyraźnym, ładnym, kobiecym pismem. Serce zabiło mu radośnie. Odpowiedziała więc!

Kiedy otwierał list, drżały mu ręce.

Patrzył błędnie przez chwilę na skreślone jej ręką słowa, zanim zdołał skupić swe myśli. W końcu przeczytał.

Drogi Kapitanie! Bardzo mi przykro, że źle się pan czuje. Ja mam się dobrze. Proszę sobie nie robić wymówek. W każdym razie to nie pana wina.

Oddana Viola Norman

Głębokie westchnienie wydobyło się z piersi Tiggiego. Przyłożył rękę do czoła i przekonał się, że jest wilgotne. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pragnął i lękał się jej odpowiedzi. Tych kilka słów, przyniosło mu niesłychaną ulgę. Nie gniewała się więc na niego ani też widocznie nie obawiała się go. W tym wyrażeniu: „w każdym razie” brzmiał jakiś patos, który dziwnie na niego działał. Później dopiero nasunęła mu się pewna wątpliwość. Czy i ona także ukrywała swe uczucia pod pozorną maską obojętności? Czy to traktowała jako zapłatę za to, co uczynił dla niej dotąd?

Odrzucił tę myśl i skurczył się z bólu. Nie, nie, Viola nie była przebiegła. Z natury jest dobra i łagodna. Przyjęła po prostu jego usprawiedliwienie. I widocznie nie winiła go bardzo, sprawa więc skończona. Może ją zobaczyć znowu bez zażenowania i nawiązać nić przyjaźni.

— Jesteśmy więc w tym samym miejscu, w jakim byliśmy — pomyślał Tiggie z głębokim zadowoleniem. Lecz w tym samym momencie

51

usłyszał w duszy spokojny jakiś głos, który nasunął mu pewne wątpliwości.

I leżąc jeszcze chwilę w swej kajucie tulił do ust skrawek papieru zapisany jej słowami i poddawał się rozpaczycy. Zrozumiał bowiem w tej godzinie, że nigdy już nie będą mogli być na tej samej stopie, na której byli, bo ślepotą jego znikła i jasno już widział, że ją kocha!

** *

Nazajutrz dzień był słoneczny. Burza pozostała w tyle i tylko skaczące, śnieżnobiałe fale przypominały o olbrzymich bałwanach. Wszyscy wyszli na pokład, aby w ostatni dzień podróży nacieszyć się morzem.

— Koniec podróży jest zawsze najlepszy — rzekł stary generał Cathcart. — Szkoda, że trochę wcześniej nie mieliśmy takiej pogody.

— Dla mnie wszystkie dni były miłe — oświadczyła jego córka Lucia. — Chciałabym, żeby to był dopiero początek.

— Niektórzy ludzie są zawsze niezadowoleni — brzmiała uwaga generała.

Tiggie oddalony o kilka metrów i oparty o burtę palił papierosa i należał rzeczywiście do tych niezadowolonych. Już drugą noc spędził w niepokoju. A teraz czekał, aby móc zobaczyć Violę i zastanawiał się czy będzie mógł ją przywitać tak obojętnie, jak domagają się tego okoliczności. Niebiesko połyskujące morze i świeży wietrzyk nie działały na niego kojąco dzisiejszego rana. Wokoło rozbrzmiewał wesoły śmiech i gwar ludzkich głosów, ale on nie chciał brać w tym udziału. Czekał tylko na nią jedną...

Sporo też czasu upłynęło, zanim ją zobaczył w towarzystwie Joyce i Jacka. Dziewczynka, chociaż już zdrowa, miała wyraz twarzy znużony, świadczący o przebytej chorobie. Szła u boku Violi, trzymając ją za rękę, Jack podskakiwał po drugiej stronie, jak młody żrebak. Chłopczyk zobaczył Tiggiego, który uklonił się całemu towarzystwu. Dzieci ciągnąc za sobą Violę, radośnie pośpieszyły na jego spotkanie.

— Wujciu Tiggie — wołał Jack — prawda jaki śliczny ranek? Co będziesz robił, gdy przyjedziesz do domu?

— Czy wyjdzie ktoś na twoje spotkanie, wujciu Tiggie? — pytała Joyce. — Po nas może wyjdzie babcia.

— Nie, nikt mnie nie powita — rzekł Tiggie.

— Musisz więc z nami pójść — mówiła Joyce macierzyńskim tonem — ciocia Viola idzie także, bo i ona nie ma nikogo.

— Będziemy się więc razem pocieszali — odpowiedział Tiggie. Viola w tej chwili podniosła oczy, odczuł to raczej, aniżeli zobaczył

jej wzrok. I w tej chwili zdał sobie sprawę, że musiało dojść do tego, czego się obawiał. Bała się go. Przekonanie to napełniło go bólem, który był wprost nie do zniesienia, ale ukrył go ze względu na nią.

— Słuchajcie dzieci! — rzekł — obejdziecie naokoło pokład, ale nie biegnijcie i przywitajcie się grzecznie z każdym, kogo znacie. Potem wróćcie do nas.

Był to widoczny podstęp, ale Tiggie nie mógł nic innego wymyśleć. Musi w jakiś sposób rozmówić się z nią, a czasu już mało.

Dzieci sprzeciwiły się. Jack pragnął pozostać z wujciem, Joyce chciała być z ciocią Violą. Czemu razem nie mogą iść?

Tiggie stał więc bezsilny i Viola dopiero łagodnie zwalczyła ich opór.

— To długo nie potrwa, dzieci, a gdy wróćcie, zagramy w coś. Idźcie. Zaczekamy tu na was.

Spokój, z jakim mówiła, odniósł swój skutek. Dzieci trzymając się za ręce odeszły, a oni zostali sami.

— Dziękuję pani — rzekł Tiggie.

Stała obok niego wpatrzona w morze. Delikatny, czysty jej profil miał w sobie coś klasycznego. Jedyne, chyba brak życia, nie czynił jej urody wpadającej w oczy.

Tiggie zapragnął znowu całą siłą chwycić ją w ramiona i obudzić w niej to drzemiące życie, ale w jednej chwili stłumił w sobie z całą stanowczością tę tęsknotę. Ma przed sobą wielkie zadanie i nie ugnie się na samym wstępie.

Powtórzył znowu obojętnym niemal tonem.

— Dziękuję pani za tę sposobność i za liścik. Nie odwracając głowy odpowiedziała szeptem:

— Mam nadzieję, że pan zrozumiał.

— Tak, zrozumiałem — rzekł Tiggie. — Była pani bardzo łaskawa, bardziej niż na to zasługiwałem. Ja nie wiem, doprawdy, o czym myślałem. — Mówił żartobliwie, uważając, że trudno mu uderzyć we właściwy ton.

— Pani jest dobra, że się nie obraziła.

Drgnęła i wydało mu się, że stłumiła westchnienie. — Nie mogłabym się obrazić — rzekła, zaciskając dłonie. — Po... Przerwał jej gwałtownie. Nie zniósłby tego, gdyby usłyszał, że wykorzystał jej zobowiązanie.

— Cieszę się, że to słyszę — wyznał. — Chcę, aby pani wiedziała, że tylko na morzu tracę głowę, a teraz," gdy zbliżamy się do kresu podróży, skończyłem z tym wszystkim na dobre. Nie potrzebuje się więc pani obawiać już niczego...

Co w niej takiego było, że każda rzecz stawiała się tak trudna? Miał wrażenie, że jego tłumaczenie boli ją.

Viola w dalszym ciągu miała utkwiony wzrok w wodę i rzekła:

— Bardzo żałuję, że podróż się już skończyła. Zacząć na nowo. . . tak trudno.

Słowa jej odniosły dziwny skutek, chociaż spokojnie wypowiedziane, zawierały w sobie żalostną skargę. Tiggie zrozumiał, że nie chce, aby w dalszym ciągu mówił na poprzedni temat. Uległ więc jej niewypowiedzianemu życzeniu.

— Ja także żałuję z niektórych powodów — przyznał. — Ale mogę być pani bardziej pożytecznym na lądzie niż na morzu. I o tym chcę mówić.

Odwróciła się nieznacznie ku niemu nie podnosząc oczu.

— Sądzę, że dość już o tym powiedzieliśmy — odparła.

Coś w jej tonie zwróciło jego uwagę, coś, co trudno byłoby określić, a co podziałało na jego zmysły. Dotąd starał się zachować pozory obojętności, paląc fajkę. Teraz niespodzianie wyjął ją z ust i trzymał w ręce.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

Zobaczył, jak jej szczupła postać jakby zeszywniała i spostrzegł, że ona także uzbraja się w obojętność.

— Miałam na myśli... — rzekła bardzo spokojnie — nie chcę pana dotknąć, ale musi pan zrozumieć, że to, o czym mówiliśmy przed dwoma dniami, jest teraz zupełnie, zupełnie niemożliwe.

— Co pani chce powiedzieć?

— Zdaje mi się, że pan wie.

— Nie wiem — odparł.

— W takim razie, muszę jaśniej się wyrazić! Cenię pańską przyjaźń, ale nie mogę przyjąć pańskiej pomocy. Nie mogę.

Oczy jej na sekundę spotkały się z jego wzrokiem i znowu spostrzegł, że jest przestraszona i znowu odczuł dotkliwy ból.

— Niech pani posłucha. Nie mogę tego znieść. — Sam nie wiedział, jakich ma użyć słów. Pragnął jedynie, aby zmieniła swoje zachowanie, pragnął odegnać lęk z tych zamglonych, niebieskich oczu.

— Niech pani słucha — rzekł znowu — zrobię, co tylko pani zechce, słowo honoru dam, przysięgnę, byle tylko się pani znowu czuła ze mną bezpieczna. Doprawdy proszę mi wierzyć. Czy nie widzi pani, że traktuję to serio?

— O, tak — stwierdziła wzdychając. — Tak! Widzę, że mówi pan serio.

— A więc wie pani, że może mi zaufać, nie potrzebuje się pani niczego bać. Niech pani powie, że tak! Nie jestem brutalem. Mogę dowieść...

— Ach, to nie dlatego — rzekła Viola, przerywając. — Nie rozmawiajmy w ten sposób! Nie dałam panu widocznie dostatecznie do zrozumienia. I nie wiem czy potrafię to uczynić. Ale nie chciałabym za nic, aby pan czuł się dotknięty. To jest gorsze od wszystkiego.

— Muszę czuć się dotknięty — mówił, jak skrzywdzone dziecko. — Nie mogę znieść braku zaufania. Myślę, że może być pani na tyle szlachetna aby mnie jeszcze wypróbować.

— Szlachetna!

Nie zrozumiał położonego przez nią nacisku na to słowo.

— Nie można w ten sposób na to patrzeć — ciągnęła. — Dlatego właśnie, że staram się być szlachetna, czuję, że nie mogę niczego od pana przyjąć. Nie widzi pan tego?

Nie widział rzeczywiście i po chwili odezwał się znowu.

— Stara się pani mnie odepchnąć, odrzucić moją przyjaźń, wszystko, ponieważ... — urwał nagle. — To nie jest szlachetnie.

Viola westchnęła.

— Pan nie rozumie, zdaje mi się, bo jest pan za dobry, aby zrozumieć.

Powiedzenie jej zdziwiło Tiggiego, ale i rozweseliło także.

— Chodźmy stąd, już czas. Jeżeli nie zawsze byłem dobry dla pani, będę nim już teraz... na wieki. Zgoda?

Uśmiechnęła się przelotnie.

— To nie rozwiązuje trudności — rzekła.

— Ach, nonsens! Jestem pewny, że rozwiąże. Powinna być pani rozsądna. Za taką panią dotychczas uważałem.

Zaśmiała się mimo woli, a on nabrał znowu odwagi.

— Nieładnie wymierzać takie ciosy — dodał Tiggie. Podniosła wzrok.

— Nie mogłabym panu nigdy zrobić przykrości — odpowiedziała z prostotą.

I tych kilka prostych słów przekonało go o wygranej. Westchnął z ulgą i włożył znowu fajkę do ust. Zgasła już, ale mimo to, z nieświadomością dziecka, pykał z niej nerwowo.

— No, dzięki Bogu i za to — stwierdził. — Teraz przejdźmy do szczegółów, do środków i celów. Mam trochę pieniędzy dla pani, mogę je przynieść do pani kajuty?

Umilkła i spuściła głowę.

— Mogę? — pytał zaniepokojony.

Uczyniła delikatny ruch ręką, jak gdyby nie była w stanie więcej mówić.

— Proszę powiedzieć, tak!

— Ach, kapitanie Turner.

— Tiggie! — szepnął pospiesznie. Posłuchała, a on czuł, że wygrał.

— O, Tiggie! — rzekła. — Nie możesz powiedzieć, że nie starałam się, ale — westchnęła ciężko — życie jest takie trudne.

— Ani trochę — odparł Tiggie wesoło. — Nie wtedy, gdy pomagamy sobie wzajemnie. Postanowione więc. Przyjdę dziś wieczór przed obiadem. Dam ci mój adres także i wezmę twój. Jadę do siostry w Norfolk na pewien czas, ale nie zabawię tam długo. Będę mógł czuwać nad tobą.

Czuł, że wpadł w odpowiedni ton. Nigdy już nie powinna mu powiedzieć, że życie jest trudne. Doznał ulgi znowu, gdy zwróciła się do niego ze spokojnym wyrazem twarzy.

— Nie będę ci dziękować — rzekła — nie wiem, co mam powiedzieć, bo rzeczy tego rodzaju nie zdarzają się w rzeczywistości. Ale proszę cię, Tiggie, nie mogę wziąć dużo od ciebie. Ale co wezmę zwrócę, o ile będę jeszcze żyła.

— Uczynisz, co zechcesz — odpowiedział czując, że zwyciężył. — Tylko nie martw się tym. Niech to będzie prawdziwa pomoc, a nie kamień młyński u szyi!

Uśmiechnęła się enigmatycznie.

— Nie, nie będę go nosiła u szyi, za cenny jest.

Żałował później, że nie starał się wybadać, co przez to chciała powiedzieć, ale zanadto był zdenerwowany, więc pominął jej słowa.

— A daj mi znać, gdy będziesz potrzebowała więcej pieniędzy! Pozostanę w kontakcie z tobą.

— Naturalnie! — zapewniła. — Nie mogłabym ci inaczej zwrócić swego długu.

— Ach, nie myśl o tym. Postanowione więc, dzięki Bogu. Nie martw się niczym. Jedziesz więc z Rutherfordami?

— Tak. Obiecałam zająć się dziećmi, dopóki nie znajdą umeblowanego mieszkania gdzieś na wybrzeży. Matka doktora, która mieszka za Londynem, zaprasza nas tymczasem do siebie. Potem, gdy oni się osiedlą, będę musiała coś sobie znaleźć. Może wynajmę na pewien czas pokój obok nich, aż do...

— Dobrze — rzekł Tiggie — najbliższy plan wystarczy na razie. Zaproszę cię potem do Spota. Wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

— Tak, dobrze, dziękuję ci.

— Więc nie martw się niczym — powtórzył jeszcze raz.

Podróż dobiegała końca.

— Jakie to okropne żegnać się — rzekł Tiggie, który mógł zdobyć się jedynie na te słowa.

Dziwne bowiem, z jakim żalem spoglądało się na rozłąkę nawet z tymi, z którymi nie miałyby się ochoty widywać w zwykłych

warunkach. Ale nie ma znajomości bardziej serdecznych lub teibardziej przelotnych od tych, które nawiązuje się na pokładzie statku.

Nad tym zastanawiał się właśnie Tiggie, żegnając się po kolei ze wszystkimi, z którymi spędził długie godziny od chwili, gdy opuścili Bombaj. Dla niego podróż była cudowna. Czy potrafi ją wymazać ze swojej pamięci? I czy, gdyby nawet można było zatrzeć w swej pamięci te trzy tygodnie na morzu i znaleźć się znowu w Indiach, czy Wybrałby inny statek?

Nie leżało to w naturze Tiggiego, aby zadawał sobie tego rodzaju pytania, ale ostatnimi czasy podświadomie zaczął więcej wnikać w siebie i zdawać sobie sprawę z tego, że i dla niego życie posiada swoje problemy. Ponieważ zaś był z gruntu prawy, na obydwie teraz pytania odpowiedział negatywnie. Cokolwiek wyniknie z sytuacji, która wyglądała na beznadziejną, nie chciałby, za nic jej uniknąć. Bo co o n a zrobiłaby bez niego? Kto byłby jej przyszedł z pomocą? Nie Spot ze swoimi ograniczonymi środkami i niepewną przyszłością ani też nikt inny z podróźnych. Najwidoczniej więc było to jego zadaniem, a nie kogo innego, co zaś z tego wyniknie, nie da się na razie przewidzieć.

Do chwili rozstania z Violą, refleksje te pochłaniały jego myśli, przeszkadzając mu w pożegnaniach z innymi. Ale gdy nastąpiła Chwila rozłąki z nią, zapomniał o wszystkim innym prócz tego, że ich wspólna podróż kończy się i że nie zobaczy jej przez cały szereg tygodni.

— Masz mój adres — rzekł do Violi pośpiesznie. — Obiecałaś napisać do mnie.

— Naturalnie, że napiszę — odpowiedziała.

Jakaś rozpacz ogarnęła Tiggiego. Okropne, że niebawem będzie tak daleko od niej.

— Napiszesz wnet — nalegał. — Powiedz, że tak.

— Tak, tak — rzekła łagodnym tonem, jak gdyby przemawiała do któregoś z dzieci Spota.

Dłoń jego ścisnęła jej rękę.

— Doniesiesz mi o wszystkim — mówił — inaczej będę się szalenie niepokoił.

Uśmiechnęła się przelotnym uśmiechem, który długo potem w snach prześladował Tiggiego.

— O tak, opowiem ci wszystko, co będzie do powiedzenia—obiecała. — Mam nadzieję, że przyjemnie spędzisz urlop u swojej siostry.

— Chciałbym, abyśmy mieli zewnętrzne powiązania i abyśmy zaczynali dopiero podróż — rzekł Tiggie zupełnie niespodzianie.

Wiedział, że mówi głupstwa, ale zanadto czuł się nieszczęśliwym, aby ukryć swe uczucia. Czuł nieprzewycięzione pragnienie zatrzymania jej trochę dłużej przy sobie, bodaj na kilka sekund jeszcze.

Nie spodziewał się żadnej odpowiedzi ani nie zdawał sobie sprawy nawet z własnych słów i dopiero niski, cichy jej głos obudził go.

— Ach, ja także — rzekła — ja także pragnęłabym tego. Ręka jej delikatnie wysunęła się z jego dłoni. Viola odeszła. Z bólem serca patrzył na nią, gdy zbliżyła się do Rutherfordów, bo wiedział, że już nie będzie miał okazji do rozmowy z nią.

Dumał potem długo nad jej ostatnimi słowami. Nie mógł zrozumieć ich znaczenia i w Anglii już, gdy jechał do siostry, dźwięczały mu one w uszach. Ona więc także pragnęła, aby zaczynali dopiero podróż. Ale dla niej rozstanie nie mogło być tak okropne, jak dla niego. To niemożliwe.

Gdy dotarł do celu swej podróży późno wieczorem, szwagier jego, artysta, oczekiwał go na stacji.

W Harveyu Gilmore od czasu do czasu zapalała się iskierka geniuszu i wtedy tworzył obraz, który nawet najostrzejsza krytyka musiała uznać za dobry. Zdarzało się to jednak rzadko, co dwa, trzy lata, a w przerwach łowił ryby, polował lub jeździł na jachcie przyjaciela. Zależnie od pory roku i nastroju.

Żona jego, a siostra Tiggiego, miała farmę i całą swą energię włożyła w gospodarstwo. Tiggie odnosił się do niej z szacunkiem, ale nie obdarzał ją specjalną przyjaźnią. Coś więcej wspólnego miał z Harveyem, którego lenistwo nie było pozbawione pewnego uroku. Rzadkie wypadki, kiedy odzywał się w nim geniusz, podobne były do powracającej choroby. Tiggie nie rozumiał tego, ale wiedział, że Harvey staje się zupełnie innym człowiekiem; gdy ogarnia go jakiś nastrój.

— Jest niemożliwy — mawiała Janet i starała się wtedy jak najmniej go widywać, czekając, aż wróci do normalnego, obojętnego swego stanu. Geniusz Harveya domagał się samotności i odosobnienia pra-

cownia, w której tworzył swoje dzieła, stawała się jego pustelnią tak długo, dopóki tliła się w nim ta dziwna jakaś moc. Charakterystycznym było jego powitanie szwagra.

— Hallo, mój chłopcze! Nie jesteś taki okrągły, jak zwykle! Jaka pożądana zmiana! Twój tłuszcz był jedyną rzeczą u ciebie, z którą nie mogłem się pogodzić.

Harvey był zawsze szorstki i rubaszny wobec drugich, ale dostatecznie wyrozumiały, aby nie obrażać się za takie samo traktowanie wobec siebie.

Tiggie więc natychmiast odparował:

— Hallo, ty stary włóczęgo! Ta sama stara koszula, ta sama fajka, wszystko takie same. Nigdzie nie spotkałem kogoś podobnego do ciebie.

Harvey uściśnął mu rękę, przesywając go na wskroś swoim bystrym wzrokiem. ,

— Na Jowisza! Wyrosłeś! — zawołał. — Czy to twoja dusza czy co? Wymaluję cię jako archanioła, zanim się postarzejemy. Jestem podminowany i oczekuję lada dzień wybuchu.

— Zawsze byłeś szalony — odparł Tiggie. — Czemu nie zgolisz tej bródki?

Harvey potargał brodę.— Dobrze mi z nią, ale oto jesteśmy, wziąłem wózek. To twoje rzeczy? Kładźmy je.

Wózek był wehikułem tak antycznym, że trudno byłoby określić jego pochodzenie. Tiggie postawił kufierki w tyle i sam wskoczył na wysokie siedzenie obok Harveya, zastanawiając się w duszy czy wózek nie rozleci się pod jego ciężarem.

Jechali wśród wiejskich ścieżek, wśród takiego turkotu i hałasu, że dalsza rozmowa była niemożliwa. Lecz nie trzeba było rozmawiać. Od ostatniej jego wizyty nic się nie zmieniło i tylko we wnętrzu Tiggiego dokonała się delikatna przemiana.

Ale mężczyzna obok niego siedzący był widocznie niezdolny do jakiegokolwiek zmiany. Do końca życia zostanie taką samą nieodpowiedzialną, fantastyczną istotą, związaną tylko chwilowo ze światem, do którego w rzeczywistości nie należy, poganinem, dla którego życie z jego problemami jest jedynie barwnym kalejdoskopem stworzonym po to, aby tylko bawił, a częściej dręczył zmysły.

— Lubię patrzeć jak drudzy pogrążają się w bagnach — powiedział raz. — To takie zabawne. Ludzie nie zdają sobie nigdy sprawy, że grzęzną w nich, dopóki po uszy nie zatoną.

Ale mimo to człowiek ten miał dobre serce i kochał całą przyrodę namiętnie. Dzikie stworzenia nie bały się go, a ptaki czarował swoim gwizdaniem.

Nie chciał tylko patrzeć na drób żony.

— Nie cierpię tego — mówił. — Posiadają w sobie dostateczną dozę cywilizacji, aby być podobnymi do ludzi i przez to są wstrętne.

— W każdym razie są to stworzenia — odparowywała Janet spokojnie — nie trzeba nimi gardzić.

Janet zajęta była zamykaniem drobiu, gdy mąż z bratem zajechali przed dom. Wyszła na ich spotkanie w nietwarzowym fartuchu i z rozwianymi włosami przy swej przemęczonej twarzy.

Tak Janet, jak Harvey mieli tę samą wspólną cechę, nie zwracali żadnej uwagi na swój zewnętrzny wygląd, chociaż jedno wyśmiewało drugie z tego powodu.

— No, Tiggie! — brzmiało powitanie siostry. — Jesteś więc znowu! I dalej kawalerem jeszcze?

— Nieuchwytnym! — odpowiedział wesoło. — A jak ty się masz, Janet? Kurczęta zdrowe?

Nie próbował jej pocałować. Janet była jedną z tych osób, które nie uznają zewnętrznych objawów uczucia.

Poklepała go jedynie po ramieniu, co u niej było już dowodem wielkiej serdeczności.

— Nie bardzo dobrze wyglądasz — zauważyła. — „Tiggie” nie jest już odpowiednią nazwą dla ciebie. Będę cię nazywała „Mon-tague”.

— Tak — rzekł jej mąż, — Wygląda wprost eterycznie. Powiedziałem mu już to na wstępie. Nie wiem, co trzeba będzie z nim zrobić!

— Karmić go! — poradziła Janet zwięźle. — Weź go do pokoju i nakarm. Kolacja na stole. Ja już jadłam, nie mogłam czekać. Muszę te małe stworzonka pokłaskać do snu.

— Może będziemy mogli pomóc? — zapytał Tiggie.

— Ach, nie! Nie nadajecie się do tego — zaśmiała się jego siostra z dobrotliwą, kobiecą pobłażliwością. — Idźcie sobie, bo tylko mi przeszkadzacie.

— Chodź! — rzekł Harvey — Janet jak artystka nie znosi, gdy ją obserwują.
— Nie pleć! — zawołała Janet. — Jeśli chcesz już koniecznie pleść, to nie przy mnie, nie mam na to cierpliwości.
— Czy ona riie jest rozkoszna? — spytał Harvey z grymasem.
— Chodź, Montague! Pójdziemy na poszukiwanie szklanki wina i bochenka chleba, chociaż obawiam się, że nie znajdziesz tu nikogo, kto by ci zaśpiewał przy posiłku i stworzył raj na ziemi.
— Jestem dość głodny, aby się obejść bez śpiewu — oświadczył Tiggie.
Ale wiedział dobrze, że dawna, domowa atmosfera straciła zupełnie swój urok. Marzenie przysło i rzeczywistość zajęła jego miejsce.

** *

— Niewiele zrobiłem od ostatniego razu, kiedy cię widziałem
— rzekł Harvey. — Jeden kawałek tylko skończony i kilka szkiców. Możesz przyjść i zobaczyć, jeżeli chcesz; powiesz mi, co o tym myślisz.
— Ja? — zdziwił się Tiggie. Gospodarz roześmiał się.
— Czemu nie ty? Nie jesteś gorszy od przeciętnego śmiertelnika. Wyobrażam sobie nawet, że posiadasz w sobie nieznanne tereny, które warto by zbadać.
— Komplementy twoje są zawsze wartościowe — zauważył Tiggie z uśmiechem i napełnił fajeczkę.
— O, tak — przyznał Harvey — bardziej aniżeli przypuszczasz. Chciałbym, aby Janet miała połowę twojej wrażliwości, chociaż, gdyby tak było, nie zniosłaby mnie ani chwili dłużej — dodał w zamyśleniu.
Tiggie, który spędził niespokojną noc, szukając wśród marzeń jednej tylko istoty, uważał, że trudno mu będzie okazać jakiś entuzjazm dla artyzmu szwagra, bo wcale go nie odczuwał. Przyznawał jednak, że Harvey jest zawsze interesujący i wiele osób dałoby dużo, żeby móc zobaczyć jego dzieła, których Tiggie nie docenia.
Artysta jednak nie wpuszczał nikogo do swej pracowni. Znajdowała się ona w pewnym oddaleniu od domu i zawsze była zamknięta.

Tiggie więc wiedział, że spotkał go zaszczyt i nie wolno mu okazać tylko zwykłej, konwencjonalnej uprzejmości, gdyż zaproszenie może zostać cofnięte. Harvey nie lubił pochlebstw, reagował natomiast na każdą okazaną mu sympatię z prostotą dziecięcą.

Prostota, która cechowała tych obydwóch mężczyzn, połączyła ich nicią wspólnej sympatii i przyjaźni i pomimo że intelektualnie różnili się od siebie zasadniczo, odnosili się do siebie ze wzajemnym szacunkiem.

Raz tylko jeden Tiggie był w pracowni Harveya i wizyta ta była dla niego odkryciem przekraczającym jego rozum. Wielu ludzi, nie wyłączając Janet, której nie wolno było nigdy wejść do „Pokoju Sinobrodego”, jak to sama mówiła, nazwałoby właściciela umysłowo niezrównoważonym. Ale Tiggie zanadto był pokorny, aby tak zuchwały wydawać sąd. W oczy mógł Harveyowi nieraz powiedzieć, że jest szalonym, ale w duszy wiedział, że szaleństwo wznosi się ponad poziom przeciętności i nje można nim gardzić.

Gdy w słoneczny ranek szli przez zroszone pola do pustelni Harveya, Tiggie postanowił odegnać niespokojne swe myśli i ocenić należycie uprzejmość przyjaciela, który go zaprosił do swego sanktuarium.

Wkrótce znaleźli się w dziwnej jaskini. W rzeczywistości była to stara stodoła, z której dachu Harvey zrobił olbrzymie okno. Innych bocznych okien nie było. Na belkach leżał kurz od wielu lat nie ścierany, bo Harvey czyścił jedynie duże okno, przez które w tej chwili wyzierało bezchmurne niebo, gdyż płótno, którym czasem zasłaniał szyby, odsunięte było na bok.

W pracowni jednak odczuwało się jakąś chłodną, stęchłą atmosferę.

— Siadaj chłopcze — rzekł Harvey, posuwając stare, trzciniowe krzesło, na którym leżał kilim. — Masz jeszcze poduszkę! Te rupiecie kłują i są twarde! A teraz dam ci egipskiego zielska do fajki, które przeniesie cię do czasów Kleopatry!

Harvey zaczął przetrząsać zakurzoną półkę, a Tiggie tymczasem ze swego miejsca patrzył na niego zdziwiony.

Podłoga zasłana była kilimami, które artysta skupywał w czasie swoich wędrówek po świecie, a które Tiggie, znajdujący się trochę na wschodnich zabytkach, oceniał na wielkie sumy. Coś zmysłowego i malowniczego było w ich bogatych, ciepłych kolorach i to podziałało nawet na prozaiczną naturę Tiggiego.

Pracownia zastawiona była obrazami, ale wszystkie były zakryte, niektóre odwrócone stały oparte o ścianę, inne znów leżały na ziemi.

— Nie mogę znieść widoku mego bezowocnego wysiłku — bąknął Hervey, widząc zdumiony wzrok Tiggiego. — No! Napełnij fajkę, stary przyjacielu i na chwilę zrób się poganinem, razem ze mną!

Tiggie byłby wolał palić własny tytoń, ale za uprzejmy był, aby odmówić i wnet przekonał się, że zmysły jego zostały rozkosznie ukołysane narkotykiem.

— Zdaje mi się, że w tym jest opium — rzekł.

— Ani trochę — odparł Harvey — to tylko duch pustyni, esencja tysiąca wieków, filozofia stuleci.

Harvey usiadł w drugim krześle, bardziej jeszcze rozwalonym aniżeli to, które ofiarował Tiggiewi i w całej pełni rozkoszował się fajką. Zielone swoje oczy utkwiał w belki i coś klasycznego było, w jego pozie, tak, że robił wrażenie swą osobą, nie wiedząc wcale o tym.

— Świat jest zabawny — zauważył po chwili — i ciekawe, jak rzadko kiedy coś warte jest posiadania. Pragniemy głupstw i goniąc za nimi, dręczymy się sami.

— Wiem — rzekł krótko Tiggie.

Wzrok Harveya przeniósł się na wielką smugę światła, która padała przez duże, otwarte drzwi.

— Jesteśmy jedynie pyłkiem w słońcu—ciągnął dalej — unoszącym się tu i tam, czasami przyciągamy się wzajemnie, częściej odpychamy i zupełnie bezsilni jesteśmy, aby móc kierować swoim przeznaczeniem, które, pomimo wszystko, prędzej czy później przynosi zniszczenie.

— Wesołe credo! — szepnął Tiggie.

— Trzeba się mimo to pogodzić z nim, mój chłopcze — rzekł Harvey — wydobywać więc należy co można z życia tak długo, dopóki igra się w słońcu. Przy najlepszych warunkach niewiele da się wykorzystać. Przy najgorszych zaś nic.

— Sądzisz, że od tego coś zależy? — zaciekał się Tiggie.

— Ani trochę! — odparł Harvey wesoło. — Dlatego człowiek się kłopotuje! Czuję, że nawiedzi mnie wnet jeden z moich diabelskich tańców i będę pracował w gorączce a najgorsze z tego to, iż będzie mi się naprawdę zdawało, że coś wartościowego tworzę i nadzwyczajnie wielkiego. Tymczasem tak nie będzie. Nic na tym świecie nie jest wielkie.

Wszystko jest tylko złudą! Dlatego powiadam, że należy wydobyć, co się da z życia, robić, co się chce i nie dbać o konsekwencje.

— Czy zawsze robisz, co chcesz? — zapytał Tiggie.

— Zawsze — rzekł Harvey uprzejmie — prócz tych wypadków naturalnie, kiedy tego nie robię. Ale na szczęście dla mnie moje pragnienia są skromne i łatwe do zaspokojenia. Pokażę ci teraz coś, co kosztowało mnie wiele wysiłku niegdyś.

Wstał i podszedł do stosu płócien, leżących w odległym kącie pracowni.

— To było pięć lat temu lub więcej. Narkotyzowałem się sam, aby uciec przed demonem i wyjechałem za granicę. Janet pamięta to. Nie, ona nie pojechała. Zanadto przywiązana jest do swoich kogutów i kur. Pojechałem sam, w udreće.

Pochylił się nad płótnami i zaczął je przewracać jedno za drugim, widać było, że przez długie lata nikt ich nie dotykał.

— Gdy chcę doznać mocnych przeżyć — mówił Harvey — odwracam ten obraz i w niego się wpatruję. Jest to najbardziej przerażające dzieło, które ja, czy też może zły duch, w którego byłem mocy, stworzyłem. Może to geniusz we mnie się rozhułał, może działałem pod wpływem narkotyku. Nie wiem sam. — Harvey szedł ku Tiggiewi z wielkim obrazem w ręce, jednak zatrzymał się.

— Przygotuj się na niespodziankę — rzekł i wymachując płótnem, pokazał obraz zaciekawionym oczom Tiggiego.

— Wielkie nieba! — krzyknął Tiggie.

Wpatrzył się bowiem w coś, co na pierwszy rzut oka zdawało się być mieszaniną niewyraźnych form, barw i dopiero po dłuższej chwili nabierało kształtów, jak owa zmora w śpiącym umyśle.

— Mój Boże, człowieku! To chyba piekło, czy coś takiego?

— Tak, piekło — odparł Harvey ponuro — odcięte zupełnie od wody. Widzisz, wszyscy ci, to umarli. Niektórzy z nich nie żyją od dawna. Ale ciągle jeszcze cierpią. To stanowi istotę żartu! Kochali swoje ciała tak bardzo za życia, że są jeszcze ciągle do niob przykuci po śmierci, pomimo że one gniją. Ładna myśl, co?

— Zabierz to — rzekł Tiggie z widocznym obrzydzeniem. — To najwstrętniejsza rzecz, jaką widziałem.

Harvey roześmiał się lekko z pewnym triumfem.

— Wiedziałem, że cię to strapi. Ale to arcydzieło. Powiesiliby płótno w Salonie. Zrobiłbym majątek we Francji.

Tytuł tego: Rozpusta.

— Zabierz to — powtórzył Tiggie. — To zgnilizna. Jak możesz myśleć o tych bezwstydnym rzeczach?

— Ja nie myślę — rzekł Harvey — po prostu geniusz jest podobny do urodzin i śmierci. Gdy zjawia się, nie można go stłumić, bez względu na to, co mówi krytyka. Czy nie zauważyłeś, zresztą, jak niewielu z nich posiada bodaj słabą iskrę krytycyzmu.

Harvey powoli odwrócił obraz i postawił go w kącie z pewnym uszanowaniem.

— Stworzyłem to wtedy, gdy walczyłem z jakąś wewnętrzną siłą. Potem powrócił mi rozum i stałem się mniej lub więcej podobnym znowu do człowieka. Odłożyłem narkotyki i zabrałem się znowów do picia. Dopiero później, stopniowo, zacząłem powracać do normalnego stanu. Gdy przyjechałem do Janet, po pięciu miesiącach nieobecności, myślała, że strasznie chorowałem. Muszę przyznać, że znalazła się wobec mnie bardzo przyzwoicie. Dobra istota z niej, wiesz. Tylko naturalnie nie rozumie mnie ani trochę. To byłoby okropne, gdyby rozumiała. Traktuje zawsze człowieka, jak gdyby był dzieckiem, którego boli brzusek. Ale to dobre czasami. Nie zniósłbym w tego rodzaju okresach życia współczucia i zrozumienia.

— Aha! — rzekł Tiggie, któremu nagle rozświeciło się. Zupełna więc ślepotą Janet jest u niej zaletą! — Zabawny jesteś, Harveyu — rzekł krótko.

— Wiem o tym — odparł artysta ze swoim grymasem, który go czynił podobnym do satyra.

— Wyobraź sobie jednak kobietę intelektualistkę, mającą do czynienia z kimś takim, jak ja. Sama myśl jest okropna.

— Z pewnym zniecierpliwieniem wyciągnął znowu kilka płócien.

— Pokażę ci teraz, jakim głupcem byłem ostatnimi czasy, kiedy czekałem ciągle na natchnienie. Dopiero teraz widzę, że nadaremnie, chociaż, kto wie, czy natchnienie życia nie przyjdzie jeszcze. — Zbliżył się do Tiggiego i pochylając się nad nim, oparł obrazy o krzesło.

— To dopiero sam zarodek — ciągnął. — Sądziłem, że cię to zainteresuje. Jest to studium dziewczyny, którą widziałem wówczas tańczącą w kabarecie. Naturalnie bezwartościowy mały tłumok, ale pod

pewnym względem wzruszający. Ze szkicu można stworzyć arcydzieło... występki lub niewinność! Nie wiem jeszcze, co z tego zrobię. Czasami nazywam ten obraz „Nierządnicą”, czasami „Aąuamariną”.

— Dobrze nieba! — rzekł Tiggie i siedział tak długo w milczeniu, że Harvey, zaniepokojony tym, spojrzał na niego.

— Co ci się stało?

A Tiggie utkwił wzrok w szkice rozłożone przed nim. Były to same kolorowe kleksy, to zielone, to niebieskie, czasem cudowna mieszanina obydwóch barw. W każdym zaś ze szkiców widniał ten sam wizerunek kobiety, tancerki, pełnej wdzięku i gracji. W jednym ze szkiców podobną była do ptaka z rozpiętymi skrzydłami. W innym znów twarz jej wyzierała spod tafli lazurowych wód. I na tym szkicu skupiła się cała uwaga Tiggiego. Patrzył nań w zupełnym milczeniu.

— No? — rzekł nareszcie Harvey z pewnym zniecierpliwieniem. — Jaki wyrok? Czy to także bezwstydne?

— Nie — odparł Tiggie. Mówił powoli jak gdyby tłumił gwałtowne uczucie, które w nim wzbierało. — To... to... z tego musisz zrobić... porządną rzecz. Podobna jest do kogoś, kogo znam. Zrób ją taką, jaka jest... śliczną!

— Co? — zawołał Harvey — możesz mi ją dostarczyć?

Tiggie spojrzał na niego wzrokiem, w którym malowała się udręka.

— Ona jest nikim dla mnie — rzekł zrozpaczony. — Nikim, tylko znajomą. Może nawet nie dopatrzyłbyś się podobieństwa. Każdy inaczej widzi... Ale według mnie... według mnie... — urwał, szukając słów. — Słuchaj! Możesz mi wierzyć. Nie „Nierządnicą” lecz „Aąuamariną”!

— O, bogowie! — zgodził się Harvey zdziwiony i wdzięczny — mówisz, jak ktoś, kto wie.

Tiggie wstał z krzesła. Drżał, chociaż starał się ukryć zdenerwowanie pod płaszczkiem wesołości.

— Tak, wiem — rzekł. — Podróżowałem z nią całą drogę z Indii do kraju, muszę więc wiedzieć. Niech będzie zatem „Aąuamariną”, to jedno słowo opiniuje ją. Dziwię się, że nie przyszło mi to na myśl prędzej.

Harvey obserwował go ciągle przenikliwym wzrokiem.

— Dobrze, Tiggie — rzekł wreszcie — będzie „Aąuamariną” pod jednym warunkiem.

Uśmiechnął się, ale czuć było przymus w jego uśmiechu. Nie odzywał się chwilę. Wtem z nagłą decyzją dokończył:
— Pod warunkiem, abys mnie zaprowadził do niej, bym mógł ją zobaczyć.

Tiggie parsknął śmiechem, w którym brzmiała gorycz.

— Domagasz się księżycy — zakończył.

** *

W ciągu następnych dni Tiggie dotrzymywał towarzystwa Har-veyowi i razem z nim spełniał różne czynności tego rodzaju: łowił ryby i pływał łódką, czekając ciągle na wiadomość, która nie nadchodziła.

Obiecała napisać, ale dni przechodziły w tygodnie, a Tiggie ciągle nic o niej nie słyszał.

Mógł wprawdzie sam zgłosić się pod adres klubu Spota, ale nie czynił tego, bo na razie nie miał żadnego pretekstu, a Spot i tak prawdopodobnie zajęty był szukaniem mieszkania. Nieco później postanowił parę słów wysłać, a tymczasem uzbroił się w cierpliwość i, gdy Harveyowi nie udało się dla niego znaleźć innej rozrywki, włóczył się po wsi lub też udawał zainteresowanie drobiem Janet.

W Coltham nie było żadnego życia towarzyskiego. Domy rozrzucone były po wsi. Sędziwy proboszcz zjawiał się z wizytą raz w roku, inni sąsiedzi nawet nie tak często. Niedaleko nad morzem mieszkał na jachcie fcolega Harveya i artysta co roku spędzał u niego w lecie kilka tygodni.

Ale w tym roku, ponieważ czekał na jakieś tajemnicze natchnienie, nie spieszył się ze swoją zwykłą wizytą.

— Wątpię, czy w ogóle pojedę—odpowiedział żonie, gdy poruszyła ten temat. — W każdym razie to byłoby trochę okrutne zostawić Tiggiemu tylko ciebie i kury!

Janet zanadto była praktyczna, aby nie dostrzegła w tym słuszności, zauważyła jednak, że i towarzystwo Harveya nie jest dla brata zachęcające. Ale ponieważ Tiggie nie szukał towarzyskich rozrywek, nie warto się było tym przejmować. Janet pewna była tylko, że zmiana, którą spostrzegła u brata zaraz na wstępie, sięgała głębiej i nie

ograniczała się tylko do zewnętrznego wyglądu. Coś zmieniło go, ale co to było, o to nie pytała, bo posiadała wielki szacunek dla ludzkich tajemnic tak głęboki, że raczej odstręczała od zwierzeń, aniżeli do nich zachęcała.

— Człowiek musi sam wszystkiego doświadczyć — brzmiała jedna z jej zasad, którą kierowała się w życiu. Nie udzielała też drugim rad ani sama o nie nie prosiła. Jeżeli pytano ją o zdanie, wyrażała śmiało swe zapatrywania, ale nie narzucała ich nikomu. — Nie mam czasu — mówiła — na sprawy drugih, wystarczy, że swoje utrzymam w porządku.

Fakt więc, że Tiggie się zmienił, nie rozniecił jej ciekawości i nie zachęcił do zbadania przyczyny. — Możliwe, że skończył z młodością i zmiana jest naturalnym objawem dojrzałości. Nawet mężczyzna czasem dorasta — dumiała Janet — tylko nie tego typu, co Harvey, który do końca życia pozostanie dzieckiem.

Tiggiemu łatwiej byłoby zwierzyć się przyjacielowi niżeli siostrze, ale nie wywnętrzał się przed nikim i szedł swoją drogą w głuchym milczeniu. Tylko jakiś dziwny ogień trawił go w duszy i dręczyła tęsknota. Pragnął Violi z intensywnością, która go doprowadzała do szału. Nie przypuszczał, że do tego stopnia będzie mu jej brakowało. Były chwile, kiedy wstydził się, że tak szalenie jej pożąda i nie jest w stanie się opanować. Fizycznie i duchowo tęsknił za nią ponad wszelką miarę.

Kiedy w nocy po całodziennym wyteżonym ruchu pragnął wypoczynku, Viola stawała przed nim — blade, smutne zjawisko, niedościgłe dla niego. W snach, wśród ciemności, wzywał jej imię. ~

Gdy wstawał wcześniej rano i szedł na włóczęgę, był blady i wyczerpany, niepodobny do siebie, zdenerwowany i roztrzęsiony do ostatnich granic.

Dla udreżonego jego ducha jednak wydawało się to wprost niemożliwym, aby on sam tylko tak cierpiał.

Przekonany był, że gdziekolwiek ona się znajduje, odczuwa jego bezbrzeżną tęsknotę i jakaś ukryta struna w jej duszy musi na nią odpowiedzieć harmonijnym dźwiękiem.

Jest nie do uwierzenia, aby tego rodzaju uczucie zamknęło się tylko w jednej walczącej istocie! Ona przecież także potrzebowała go tak rozpaczliwie. Myśl o jej bezsilności nie opuszczała go ani na chwilę.

I gdyby nie to przekonanie, że on jest jej potrzebny, łatwiej może przyszłoby mu znieść swoją udrękę. Nie mógł się jednak oprzeć przeczuciu, że Viola chciałaby go mieć przy sobie, ale nie powie mu tego.

Pierwszego dnia w pracowni Harveya ufał, że za kilka dni otrzyma od niej wiadomość. Ale od tego czasu tygodnie mijały, a list nie nadchodził. Obiecała zaś napisać i chociaż nie wie, jak on bardzo tęskni za jej wiadomością, nie może przecież złamać obietnicy. Dzień po dniu tłumaczył sobie Tiggie jej milczenie, a tymczasem wiara i nadzieja stopniowo w nim gasły.

Wrażenie, jakie wywarły na nim nie skończone szkice Harveya, powoli zacierało się w jego wyobraźni i Tiggie nie starał się go ożywić. Wolał zachować o niej wspomnienie nie tknięte innym wpływem i zadowolony był, że Harvey zapomniał widocznie o swej prośbie. Nie byłby zniósł dalszej wzmianki o niej. — Obiecała napisać, obiecała napisać — powtarzał sobie ciągle i czekał listu, który nie nadchodził.

A tymczasem pewnego ranka Harvey zaskoczył go swoją propozycją:

— Jadę do Londynu — rzekł. — Chcesz mi towarzyszyć?

— Co! Na dzień? — zapytał Tiggie.

Na twarzy Harveya pojawił się diabelski uśmiech.

— I na noc także, może na dwie doby, może na trzy! Może na cały tydzień!

Tiggie zastanowił się. Propozycja była pociągająca.

— Gdzie się zatrzymamy? — zapytał. Harvey machnął ręką.

— W tanim hotelu, przy Fulham Road. Jeżeli ci się to nie spodoba, można zawsze przespać się nad Tamizą.

— A co Janet? — rzekł Tiggie. Harvey roześmiał się.

— Janet będzie dalej karmiła kury trzy razy dziennie aż do naszego powrotu.

To twierdzenie brzmiało zupełnie prawdopodobnie i Tiggie nic na nie nie odpowiedział. Bardziej żałowałby siostry, gdyby mniej była pochłonięta codziennymi obowiązkami, ale w tym stanie rzeczy czuł, że współczucie byłoby daremne.

— Dobrze — zgodził się po chwili — pojedę.

W każdym razie Tiggie wiedział, że spotkał go zaszczyt, iż Harvey pragnie jego towarzystwa. W jednej ze swoich wariackich wypraw, kiedy to, jak mówił, diabelski taniec zacznie nim miotać i kiedy nie znieś nikogo przy sobie, ciekawym będzie obserwować go. Wszystko zresztą lepsze od tych okropnych tygodni zastoju i bezowocnego czekania.

Harvey przyjął jego decyzję z widocznym zadowoleniem. Liczył właśnie pieniądze w kieszeni.

— Jadę więc dziś po obiedzie — rzekł — przygotuj się. Pociąg odchodzi o drugiej trzydzieści. Ach, prawda, jest list do ciebie! Zapomniałem o nim zupełnie. Przez pomyłkę dwa dni temu zmieszał się z moją korespondencją.

Bez ceremonii rzucił Tiggiemu kopertę i wyszedł z pokoju.

Tiggie, lekko oburzony, wziął list do ręki. Zaadresowany był wyraźnym pismem, ale list pisany był na maszynie. Do niego był przypięty załącznik w postaci czeku.

— Co znowu... — rzekł Tiggie i zaczął czytać.

Szanowny Panie! Pozwalam sobie odesłać czek na dwadzieścia funtów, która to suma została pożyczona przez W. Pana naszej, klientce, pani Violi Norman. Proszę uprzejmie potwierdzić odbiór takowej i uważać sprawę za załatwioną.

Z poważaniem O.P. Grierson j. Co notariusz

Podpis urzędnika widniał obok pieczęci notarialnej. Tiggie przeczytał list uważnie do końca, zbadał adres, po czym długą chwilę siedział bez ruchu z ręką zaciśniętą na papierze. Wreszcie odezwał się bardzo spokojnie do siebie:

— Nie! byłbym chyba idiotą, gdybym się tym zadowolił. — Schował list do kieszeni. — Idiotą przeklętym, gdybym na tym poprzestał — powtórzył.

Tiggie rzadko kiedy używał dosadnych słów, ale gdy to czynił, miały one już pewne znaczenie.

71

** *

Charakterystyczne było, z jaką obojętnością Janet przyjęła do wiadomości ich decyzję.

— Najlepsze co możecie zrobić! — oświadczyła. — Jestem teraz okropnie zajęta. Gdy wy pojedziecie, będę miała czas wszystko sobie załatwić. Tobie dobrze to robi także — zwróciła się do brata. — Nie ma sensu tu siedzieć i nudzić się.

Tiggie miał ochotę przyznać jej rację, bo rzeczywiście ostatnimi czasy nudził się zabójczo, chociaż nie winił o to ani siostry, ani otoczenia.

Janet więc odwiozła ich na kolej, ale nie czekała, aż odjedzie pociąg. Czas był dla niej zanadto cenny. Ruchem ręki tylko pożegnała ich i odjechała z powrotem do domu.

— Poczciwa Janet — rzekł Harvey.

— O, tak — zawtórował Tiggie pomimo, iż miał uczucie, że powinien się oburzyć jej postępowaniem.

Harvey uśmiechnął się nieznacznie.

— Ma dosyć zdrowe pojęcie o mężczyznach — rzekł znowu — takie, które wiele kobiet przez całe życie stara się zdobyć i na próżno.

Tiggie nie próbował się sprzeczać, bo widocznie Janet umiała utrzymać swego męża, a to najważniejsze. Pociąg wkrótce nadjechał i kapitan Turner z pewną ulgą wszedł do przedziału. Rad był w każdym razie, że wyjeżdża z Coltham.

Podróż do Londynu urozmaicona była dwukrotnym przesiadaniem, które Harvey przeklinał.

— Są chwile — narzekał — kiedy wieś doprowadza mnie do rozpacz, to ich zupełne zadowolenie miernotą. Ale naturalnie kiedy indziej określa się braki czarującą prostotą. Zauważyłem, że ty jesteś uzbrojony w cierpliwość.

— Widzisz, przyjechałem z Indii — rzekł Tiggie. — Tam musi się ją mieć.

— Powiedziałbym, że ona jest u ciebie wrodzoną zaletą — zauważył Harvey.

Ale gdy dotarli do końca swej podróży, Tiggie objawił niespodzianą aktywność.

— Nie czekaj na mnie! Muszę zatelefonować — informowała
— Jedź sam, przyjdę później.
— Po co ci, do czarta, telefon? — pytał Harvey zdumiony.
— Interes — odparł niezręcznie Tiggie, chwytając swój nesoser.
— Mogę się nie pokazać wcale. Nie niepokój się wtedy! Dam ci znać. Chciał odejść, ale Harvey przytrzymał go za rękę.
— Do pioruna, człowieku! Nie wywiniesz się w ten sposób. Głównie dla ciebie przyjechaliśmy tutaj, choć może nie zdajesz sobie z tego sprawy. Gdy zwiejesz[^] upiję się i chyba skończę na Vine street.
Tiggie zatrzymał się. W głosie Harveya brzmiała szczerza nuta, którą trudno było zbagatelizować.
— Ach, więc przybyliśmy tu dla mnie, tak?... — rzekł. — Zgoda, możesz więc pójść ze mną i poczekać. Ale muszę natychmiast zatelefonować.
— Jesteś zabawnym chłopakiem — odparł Harvey z ulgą. — Nigdy nie przypuszczałem, że potrafisz być tak energiczny.
— Życie wszystkiego uczy — odpowiedział banalnie Tiggie i wszedł do budki telefonicznej, a Harveya zostawił na ulicy.
Czekał chwilę na rozmowę, aż wreszcie na zapytanie czy pan Grierson jest przy aparacie, jakiś głos poprosił o jego nazwisko , i oznajmił, że pan Grierson natychmiast przyjdzie.
Po chwili rzeczywiście inny głos przemówił:
— Czy to kapitan Turner?
— Tak — rzek Tiggie. — Czy to pan Grierson?
— Tak - Czym mogę służyć? — głos brzmiał niesympatycznie i niemiłe zrobił na Tiggim wrażenie.
Odpowiedział dobitnie:
— Chcę z panem kilka słów zamienić, czy mogę przyjść zaraz do kancelarii?
Tiggie spodziewał się tego, co usłyszał, chociaż nie wiedział sam dlaczego.
— Przykro mi, ale wychodzę, biuro będzie zamknięte — brzmiała sucha odpowiedź.
— Mogę być za kilka minut — zapewnił Tiggie.
— Niemożliwe — brzmiała ponownie stanowcza odpowiedź. — Muszę zdążyć na pociąg.

— Proszę więc posłuchać — rzekł Tiggie — otrzymałem pański list i chcę dowiedzieć się o adresie pani Norman. To pańska klientka.

— Przykro mi, ale nie zdradzamy żadnych adresów. — Odpowiedź i tym razem była krótka i prawie niegrzeczna. — To wszystko, już zamknięte. '

— Nie, to nie wszystko. Proszę poczekać chwilę. Chcę się dowiedzieć, kiedy jutro będę mógł się z panem zobaczyć?

— Nie mogę z nikim roztrząsać spraw pani Norman — odpowiedziano mu znowu.

— Nie może mi pan przecież odmówić urzędowej wizyty. Może mnie pan także uważać za swego klienta, jeżeli pan chce.

Tiggie usłyszał jakby cyniczny śmiech i nastąpiła chwila przerwy, po czym ten sam głos odezwał się:

— Dobrze, będę więc czekał na pana jutro o dziesiątej. Do widzenia. Tiggie powiesił słuchawkę.

— Czemu jesteś taki ponury? — zapytał go Harvey chwilę później.

— Zły jestem — odparł Tiggie. Harvey wyszczerzył zęby.

— Dlaczego?

— Mniejsza o to dlaczego! — odburknął Tiggie starając się opanować. — Co z tym twoim hotelem?

— Chodźmy!

Harvey wskazał kierunek i wkrótce znaleźli się w przepełnionym autobusie zdyżającym w stronę południowo-zachodnią.

Hotel, do którego Harvey zaprowadził Tiggiego, był po prostu karczmą nad brzegiem rzeki przy Fulham Road. Czuć w nim było stęchliznę, ale nie był jeszcze najgorszy.

Tiggie stłumił więc pierwsze wrażenie i zgodził się bez szemrania na pokój, który wybrał mu szwagier. Tak jak powiedział, był zły i chciał być sam.

Harvey jednak był w towarzyskim nastroju, a ponieważ zaliczał się do egoistów, nie chciał mu się usunąć z drogi.

Nalegał, aby Tiggie towarzyszył mu do małej restauracji w Soho, potem do teatru, który znudził ich obydwóm, i do kabaretu, aż wreszcie oznajmił, że gwałtownie pragnie się upić.

Ale Tiggie w tym wypadku okazał się znowu stanowczy.

— To możesz uczynić sam, a ja wracam do hotelu.

Harvey próbował upierać się, ale Tiggie nie dał się przekonać i zanim północ wybiła, wrócili obaj do gospody, gdzie Harvey jawnie niezadowolony musiał na trzeźwo położyć się spać.

— Chwała Bogu — rzekł Tiggie — nic dziwnego, że Janet rada była się go pozbyć.

Później jednak przyszło mu na myśl, że może jego posądzenie było niesłuszne. Uznanie bowiem Harveya dla żony jasno świadczyło, że ona jedna przynajmniej rozumiała go, uczuć zaś swoich nie lubiła wystawiać na publiczny widok.

Tiggie zaczął od tej chwili spoglądać mTsiostre, jak na godną podziwu. Jakieś uczucie szacunku poruszyło go i kazało mu skreślić do niej kilka słów, zanim się odda własnym sprawom.

Gdy skończył list, usiadł przy oknie i zapalił fajkę. Ale nie rozmyślał długo. Poczł senność i udał się na spoczynek, zostawiając wszelkie kłopoty na dzień jutrzejszy.

Gdy zbudził się nazajutrz, ze wstrętem spoglądał na swoje otoczenie i postanowił stąd uciec przy najbliższej okazji. Ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że i Harvey jest tego samego zapatrywania.

— To po prostu chlew! — oznajmił Tiggiemu wyciągając się na łóżku, gdy ten się golił. — Jeżeli coś wzbudza we mnie tęsknotę za domem, to widok tego niechlujstwa. No, twoją rzeczą teraz, postarać się o jakąś rozrywkę. Jaki program na dzisiaj?

— Żadnego nie mam — odpowiedział krótko. Nie znosił rozmawiać w czasie golenia.

Ale Harvey wyciągnął się tylko lepiej na łóżku i pytał go dalej, czemu wstał tak wcześnie.

Gdy Tiggie skończył się golić, oznajmił mu krótko, że ma się z kimś widzieć w ważnej sprawie o dziesiątej godzinie.

— Oho! — rzekł Harvey siadając. — Nareszcie doszliśmy do celu. Czy mogę pójść z tobą i poczekać na ulicy?

— Możesz robić, co chcesz — odpowiedział Tiggie dobrodusznie. Sen zrobił mu dobrze i odzyskał zwykły swój spokój.

— Jesteś dla mnie wielką pociechą — szepnął Harvey. — Taki rozsądny i wesoły. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że trzymam się ciebie po prostu dlatego, że sam bym oszalał.

— Wiem, że zawsze byłeś szalony — odparł Tiggie szcztokując włosy.
— Co to za wstrętna dziura! Może zapłacimy, weźmiemy walizki i więcej tu nie wrócimy — zawołał Harvey.
— Mam zamiar to uczynić — odpowiedział Tiggie. Harvey podniósł się z łóżka.
— Znowu praktyczny! Ty i Jenet jesteście nadzwyczajni. Zawsze wiecie, czego chcecie, nie myśląc nawet o tym. Nie potrzebujesz czekać na mnie ze śniadaniem. Nie jestem w nastroju.
Harvey wrócił do swego pokoju, a Tiggie zaczął pakować rzeczy, przygotowując się do wyjścia. Dzisiejszego ranka patrzył filozoficznie na świat i bardzo był pewny siebie, jak to zauważył już Harvey.
Niewiele osób wiedziało o tym, że Tiggie Turner posiada tego niezłomnego brytyjskiego ducha, który potrafi pozornie przegrana walkę zamienić w zupełne zwycięstwo. Nic też nie byłoby w stanie powstrzymać go w dzisiejszym jego przedsięwzięciu.

**** ***

W godzinę później Tiggie uparty lecz nie napastliwy przedstawił się w biurze pana Griersona. Gniew jego złagodniał, ale natomiast zawładnęła nim stanowcza decyzja, pomimo że wyraz jego twarzy świadczył o zwykłej uprzejmości. Na twarzy zaś mężczyzny, który wstał, aby go powitać, odmalowało się chwilowe zdziwienie.
— Czy mam przyjemność mówić z kapitanem Turnerem? — zapytał sztywno.
— Tak — odpowiedział Tiggie.
— Jestem Grierson — rzekł tamten wskazując na krzesło. Tiggie usiadł, patrząc badawczo na niego.
— Uważałem, że lepiej będzie rozmówić się ustnie — rozpoczął — nie ma sensu bawić się telefonem. Okropne urządzenie.
— Ma swoje zastosowanie — zauważył pan Grierson.
— Przystąpmy jednak do pańskiego listu. Adwokat przerwał mu.

— Musi pan zrozumieć, kapitanie Turner, że jeżeli pan ma jeszcze pretensje do mojej klientki, nie będę dalej dyskutował na ten temat.

— W każdym razie nie może mnie pan odprawić zanim nie dowie się pan, co chciałbym powiedzieć — rzekł Tiggie.

— Ten pański list był trochę oryginalny. Począwszy od czeku, do którego nie miałem żadnych pretensji.

— Żadnych pretensji? — zimny wzrok pana Griersona przeszył go z pewną złością. — Czy mam rozumieć, że pan nie pożyczył tej sumy mojej klientce? — zapytał po chwili.

— Czy powiedziała panu, że jej pożyczyłem? - pytał teraz Tiggie.

Pan Grierson zamilkł zastanawiając się nad jego odpowiedzią. Jego wydłużona, ponura twarz i blisko siebie osadzone oczy miały przebiegły wyraz.

— No — odparł wreszcie — nie jestem zobowiązany podawać panu szczegółów dotyczących się interesów mojej klientki, ale w każdym razie danami do zrozumienia, że kwota, którą pan otrzymał od nas, należała się panu. Inaczej nie bylibyśmy wysyłali tych pieniędzy.

— Aha — rzekł Tiggie. — A jeżeli pana zapewnię, że tak nie jest, co pan uczyni z tym czekiem?

Pan Grierson wyciągnął się na krześle.

— Będę musiał się porozumieć z moją klientką — odpowiedział po chwili.

— Lub mnie pan ułatwi porozumienie się z nią — zaproponował Tiggie.

Szpakowate brwi pana Griersona ściągnęły się groźnie.

— Tego nie jestem w stanie uczynić — odparł.

— Dlaczego?

— Sądzę, że to jasne.

— Nie dla mnie.

— Dla każdego z przeciętną inteligencją — dociał pan Grierson.

— Widocznie więc nie posiadam jej — rzekł Tiggie.

— Bardzo mi przykro — odparł adwokat wyciągając rękę w stronę dzwonek, który leżał na biurku — ale nie widzę celu w przeciąganiu naszej rozmowy. Niczego się przez to nie zyska.

— Myli się pan — mówił Tiggie, zakrywając swoją dłońią dzwonek. Uśmiechał się wprawdzie ciągle, ale uśmiech jego był nieco

wymuszony. — Dużo można zyskać, a niczego nie stracić, zapewniam pana. Nie jestem specjalnie bogatym człowiekiem, ale potrafię wyszukać panią Norman, która pomimo wszystko nie ma powodu do ukrywania się przede mną. Czy dojdziemy więc do porozumienia? Albo pan ułatwi mi widzenie się z nią i określi swoją cenę, albo udam się wprost do prywatnego detektywa, który niezawodnie wywiąże się dobrze ze swego zadania.

Brzydki uśmiech przemknął po twarzy pana Griersona. Po raz pierwszy spojrzął na Tiggiego z wyraźną niechęcią.

— Więc pan sądzi, że można mnie przekupić?

— Jeżeli pan chce to w ten sposób ująć — rzekł Tiggie, trzymając ciągle dzwonek — chodzi o to, że jeżeli nie uda mi się pana nakłonić, nakłonię kogo innego.

— Aha — rzekł pan Grierson. — Celem pana więc?

— Omówić sprawę czeku — odparł Tiggie.

— Taak — wtrącił znowu powoli pan Grierson. — Jeżeli pan życzy sobie, wezmę więc z powrotem pański czek i spytam, co moja klientka sądzi o tym.

— Nic podobnego! — Uśmiechnął się Tiggie. — Weźmie go pan od niej, nie ode mnie.

Adwokat wyciągnął się ponownie w fotelu i zamyślony obserwował gościa.

— Mcfże — rzekł wreszcie — prostsza będzie droga, gdy opowiem panu coś, skoro ją pan zna, o pani Norman, o czym pan nie wie. Naturalnie nie twierdzę tego, że jestem powiadomiony o pańskich stosunkach z nią, domyślam się tylko, że są tego rodzaju, iż ona chce je zerwać. Jej zachowanie na to wskazuje.

— Niech pan jednak uważa na swój sposób wyrażania się — odezwał się Tiggie bardzo spokojnie. — I niech pan pamięta o tym, że istnieją jeszcze takie rzeczy, jak bezinteresowna przyjaźń.

Pan Grierson uśmiechnął się cynicznie.

— Rzadko kiedy, zdaje mi się, ale to w każdym razie nie jest tematem dyskusji. Powie pan może, zupełnie słusznie zresztą, że mówię panu o tym, do czego nie mam żadnego prawa, ale uważam, że to będzie jedyna droga do spełnienia życzenia mojej klientki, które polega na tym, aby zostawił ją pan w spokoju.

Urwał spoglądając na Tiggiego badawczo.

— Proszę mówić dalej — zachęcił kapitan.

Pan Grierson wziął ołówek i spuszczać wzrok na bibułę leżącą przed nim, zaczął kreślić coś po niej z wielkim przejęciem.

— Moją klientkę — rzekł — poznał pan, jako panią Norman. Zdaje mi się, że się nie mylę pod tym względem.

— Tak — odparł Tiggie.

Wbrew woli niemal śledził także ołówek wędrujący po papierze, jak gdyby spodziewał się coś wyczytać.

— Więc — pan Grierson cedził dziwnie powoli swoje słowa — mogę panu tylko powiedzieć z żalem, że moja klientka nie ma prawa do tego nazwiska. Nie jest mężatką i, wyobrażam sobie, nigdy nią nie będzie.

— Co? — pytanie mimo woli wyrwało się z ust Tiggiego, lecz w jednej chwili stłumił wszelkie objawy wzruszenia.

— Czy mogę wiedzieć, co pan przez to rozumie? — rzekł dobitnie.

Spokojna ręka pana Griersona zatrzymała się na brzegu papieru. On spoglądał z surową powagą na równy rząd kropek, które nakreślił, po czym przeniósł wzrok na Tiggiego.

— Chcę powiedzieć — ciągnął — że chociaż w różnych okresach jej kariery różni mężczyźni rościli sobie do niej prawo, przez dłuższy czas wyłącznie do jednego nie należała nigdy.

Słowa te wypowiedział bardzo powoli z zupełną pewnością siebie. Podobne one były do wyroku śmierci, jakaś śmiertelna powaga zapanowała w cichym pokoju.

Tiggie siedział, jak skamieniały. Oczy jego automatycznie się podniosły i spotkały się ze wzrokiem mężczyzny, który naprzeciw niego siedział. Ani słowa jednak nie mógł z ust wydobyć.

Pan Grierson dopiero przerwał milczenie.

— Ponieważ sprawa tak się przedstawia, mam rację chyba przypuszczać, że nie odmówi pan przyjęcia zwrotu pieniędzy, skoro widocznie tym sposobem ona chce się uwolnić od zobowiązań wobec pana.

Tiggie odzyskiwał stopniowo równowagę, patrzył jednak ciągle jeszcze jakby zahipnotyzowany na zupełnie spokojną twarz adwokata.

— Czy mam słuszność? — zapytał pan Grierson.

Tiggie otworzył usta, chciał przemówić, ale nie mógł. Przełknął kilkakrotnie ślinę, zanim zdołał wydobyć z siebie, głos.

— Nie! — rzekł wreszcie. — Jest pan łotrem, aby coś podobnego mi mówić. Jak śmie pan twierdzić tego rodzaju rzeczy? Czego pan chce przez to? Czego?

Tiggie uniósł się mimo woli, a pan Grierson zrobił raptowny ruch ręką, przerywając mu bez ceremonii.

— Zdaję sobie dobrze sprawę, że to był wstrząs dla pana i wobec tego jestem wyrozumiały. Ale proszę się łaskawie hamować tak długo, jak długo przebywa pan w moim biurze. I może także zechce pan pamiętać, że to, co mu powiedziałem, było dla jego własnego dobra i... poufne. Nie wolno mi odpowiadać na żadne dalsze pytania i mogę panu tylko jedno poradzić, proszę schować czek i zapomnieć o wszystkim.

— Swoją radę może pan zatrzymać dla siebie, chyba, że o nią poproszę! — odpowiedział Tiggie z wściekłością. — A swoje przekłete kłamstwa także! Co do pańskiego czeku zaś — sięgnął gwałtownie ręką do kieszeni, ale zatrzymał się. — Nie, zwrócę go jej osobiście, albo zadowolę się tym, że się przekonam, iż pani Norman go już nie potrzebuje.

— To ostatnie może pan uczynić, zanim pan stąd wyjdzie — zauważył pan Grierson chłodno. — Może byłoby to nawet wskazane dla pana. Dana osoba nie potrzebuje już pańskiej pomocy, ponieważ jest pod moją opieką... na własne żądanie. — Urwał, spoglądając na Tiggiego z zimnym triumfem, który nie zawierał w sobie radości.

— Pod pańską opieką?! — powtórzył Tiggie oburzony i zdumiony. Odczuł nagle swoją klęskę i czekał na następny cios.

Tymczasem pan Grierson z najwyższym spokojem ciągnął dalej opowiadanie.

— Nazwałem ją swoją klientką, zasadniczo była moją wychowanką. Uciekła ode mnie w czasie jednego ze swoich dziewczęcych napadów humoru przed paru laty i zmarnowała się. Teraz wróciła do mnie, prosząc o pomoc. Będąc jej przyrodnim bratem, nie odmówiłem. Oto dlaczego, kapitanie Turner, jest teraz pod moją opieką. Mam nadzieję, że jest pan teraz uspokojony, ona nie potrzebuje od nikogo pomocy.

— Dobre nieba! — rzekł Tiggie powoli.

Wydało mu się bowiem, że ktoś go uderzył i powalił na ziemię, ale pomimo to starał się zapanować nad wzruszeniem.

— Pan mi to wszystko mówi? — pytał. — Pan? Skądże jednak mogę wiedzieć, że to jest prawda?

Adwokat odpowiedział dźwiękiem podobnym do tłumionego śmiechu.

— A jakim sposobem mogę ja wiedzieć, że pan otrzymał mój czek? — odparł. — Nie dostałem formalnego potwierdzenia.

— Ach, tak — mruknął Tiggie ponuro.

Wiedział już, że nie otrzyma odpowiedzi i wiedział, że ten człowiek nie jest tym, który by chciał dźwigać ciężary drugich jedynie z altruizmu. A Viola — znał Violę, wiedział, że jest bez grosza i zrozpaczona. Siedząc tak i spoglądając tępo przed siebie odczuł jej rozpacz. I znowu ogarnęła go okropna litość. Jak bardzo musiała cierpieć i jak ogromnie rozpaczać, zanim zdecydowała się na ten krok! Może słusznie postąpiła? Ale jak cierpiała, jak dalej jeszcze cierpi?

Zdał sobie sprawę, że towarzysz jego czyni spokojny ruch ręką i Tiggie budząc się z zadumy spostrzegł, że pan Grierson nacisnął dzwonek, po czym zimnym głosem zwrócił się do niego:

— Zdaje mi się, że to już wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia, kapitanie Turner. To nieszczęsna historia, ale może mi pan wierzyć, najlepiej będzie, gdy pan zapomni o tym. Ach, Barness, pokaż drogę temu panu.

Wejście lokaja natychmiast zmusiło Tiggiego do powstania. Wziął kapelusz. Czuł się dziwnie roztrzęsiony i niepewny siebie. Świadomy kompletnej klęski, a jednak myślący jedynie o smutku Violi, o jej rozpacz. Czy była może chora? Chciał jeszcze o to zapytać, gdy zadzwonił telefon.

— Przepraszam — rzekł pan Grierson, biorąc słuchawkę. Tiggie wyszedł w milczeniu.

** *

— Co teraz robimy? — zapytał Harvey, wstając.

W czasie nieobecności Tiggiego leżał wyciągnięty pod drzewem i palił fajkę.

— Hallo! Co się stało? — zaniepokoił się.

Na wesołej bowiem twarzy kapitana malował się zatroskany wyraz. Przez chwilę patrzył na artystę, jak gdyby go nie poznawał. Wreszcie niespodzianie się roześmiał.

— Hallo, Harvey! Zapomniałem o tobie. Długo czekałeś?

— No, tak długo, jak ty tam siedziałeś — odparł Harvey. — Zacząłem już myśleć, że postanowiłeś pozbyć się mnie i wyszedłeś innymi drzwiami.

— Ach, paskudniku! — rzekł Tiggie i odetchnął głęboko. — Cieszę się, że cię widzę znowu.

— Czy miałeś jakąś potyczkę? — pytał Harvey zaciekawiony. — Jeżeli tak, to jestem w nastroju służyć ci pomocą.

— Ach, nie — odparł Tiggie i wyjmując chustkę do nosa, wytarł twarz, potem wyciągnął papierośnicę i zapalił papierosa.

— Dobry pomysł — rzekł Harvey — a ja przejadę się po ogrodach. '

Odszedł z tymi słowami. Tiggie zaś zajął pod drzewem zwolnione miejsce i zrozumiał, że zachowanie Harveya wyrażało takt, który u niego nazywał się przyjaźnią.

Tiggie początkowo palił z wściekłością, potem stopniowo z większym spokojem, aż wreszcie pierwszy chaos sprzecznych wzruszeń minął i kapitan spokojniejszym już wzrokiem potrafił objąć sytuację. Powtórzył sobie w myśli ostatnią rozmowę z Griersonem słowo po słowie. I znowu doszedł do przekonania, jak niegdyś, że normalny mężczyzna wyrugowałby całą tę historię ze swego życia i wykreślił ją kompletnie ze swej pamięci. Cóż bowiem zyska, upierając się przy swoim. Ścigał dotąd błędny ogień i powinien być jedynie zadowolony, że ten go nie wywiódł na manowce.

Zwykły zdrowy rozsądek nakazywał mu zapomnieć o tym wszystkim. Jeżeli bowiem opowiadanie Griersona było prawdziwe, jedno tylko wynikało, że tak lęk jej, jak i rozpacz były jedynie częścią z góry ułożonego planu, który miał na celu wykorzystać jego osobę. Teraz zaś postanowiła go odtrącić. To jasne. Jeżeli więc Grierson nie kłamał, czemu on pragnie zniweczyć jej wysiłki? Czemu nie chce pogodzić się z sytuacją i być wdzięcznym za to, że może uciec?

Czemu? Co go powstrzymuje? Czemu pamięta Violę nadal łagodną, uległą, patetyczną, żegnającą go niemal ze łzami?

— Nie mogę znaleźć odpowiedzi — mówił Tiggie do siebie. — Czy jestem większym głupcem od innych mężczyzn? Może, właściwie z pewnością! Który bowiem inny mężczyzna zgodziłby się na takie traktowanie przez kobietę i nie dałby się ponieść wściekłości? A ja nie jestem zły nawet, a w każdym razie nie jestem zły na nią. Jedyne tego Griersona miałem ochotę chwycić za gardło i potrząsnąć porządnie. A dlaczego? Po prostu dlatego, że powiedział mi prawdę. Ciekaw jestem, czy to była prawda? Ta świnia jest zdolna do wszystkiego. Jestem głupcem, że mu wierzę.

Gdy Harvey w kwadrans później zjawił się, Tiggie był już zupełnie spokojny.

— No, dzięki Bogu! — rzekł. — Zaczynałem się obawiać, że będzie dwóch kandydatów, zamiast jednego, do Beldham. Teraz zaś, mój przyjacielu, gdy odzyskałeś równowagę, jaki będzie następny numer programu? v Tiggie podniósł się z miejsca z całym spokojem, który miał świadczyć o jego opanowaniu.

— No, ja udaję się do klubu na Prague street — rzekł — gdzieś w stronie Soho. Chcesz iść ze mną?

— Gdzie ty pójdziesz tam i ja pójdę — odparł Harvey. — I tam prawdopodobnie zostanę pogrzebany. Jesteś pewnie członkiem i będę miał sposobność wchłonąć kilka kieliszków.

— Nie jestem członkiem — odrzekł Tiggie stanowczo — i nie będzie żadnej okazji do picia. Chcę tylko dostać adres znajomego. Harvey burknął coś, że to pielgrzymka na pustynię.

— W każdym razie pójde z tobą, aż padnę po drodze — dodał. — Robi się diabelnie gorąco!

— Tak, jak na pustyni — zauważył Tiggie. Mówił mało podczas jazdy taksówką do klubu Spota i siedział pogrążony w zadumie, której Harvey nie odważył się przerywać.

— Czy mam czekać na ulicy? — zapytał artysta, gdy przybyli na miejsce.

— Nie — odpowiedział Tigie, ciągnąc go za sobą. — Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie mam szukać mego znajomego.

Gdy zapytał jednak o adres doktora Rutherforda, zupełnie nieoczekiwaną otrzymał od portiera odpowiedź:

— Dr Rutherford? Jest tutaj. Przed kilku minutami przyszedł. Proszę mi podać swoje nazwisko, a powiadomię go o pańskiej wizycie.

— Na Jowisza! Jakie szczęście! — wykrzyknął kapitan Turner i podał portierowi swój bilet wizytowy.

— Teraz pewnie nie chcesz mnie. Będę więc czekał na ulicy — rzekł Harvey i znikł **W** jednej chwili, zanim jeszcze Tiggie zdołał zaprzeczyć. Podziwiał więc znowu delikatność przyjaciela, dopóki nie nadszedł Rutherford, a potem zapomniał o swoim towarzyszu, mając na myśli jedynie cel swojej wizyty.

— Hallo! — dłoń kapitana uścisnęła serdecznie rękę Spota.

— Jak to ładnie z twojej strony, że się pokazałeś. Chodź, porozmawiamy.

I lekarz zaprowadził Tiggiego do klubowego pokoju, gdzie w zacisznym kącie posadził go w fotelu i zaczął opowiadać jednym ciągiem ostatnie zdarzenia.

— Mam szczęście, doprawdy, na dzień, dwa, wpadłem do miasta i widzę ciebie. Zajęty byłem szukaniem mieszkania i nareszcie znalazłem „cottage” w miejscowości Farne, na brzegu Atlantyku. Powinno tam dzieciom być dobrze, prawda? Trochę prymitywnie naturalnie, ale to nie szkodzi. Rodzina więc tam cała osiedlona i bardzo jest zadowolona. Ja dopiero wczoraj skoczyłem do miasta za interesami. Musisz przyjechać odwiedzić nas. Nie możemy ulokować cię u nas, ale opodal jest zajazd, gdzie dostaniesz łóżko. Jak się miewasz, stary? Wyglądasz źle, ale powietrze morskie dobrze ci zrobi.

— Ach, ja właśnie przyjechałem ze wsi — rzekł Tiggie. — Odkąd wylądowaliśmy, wegetuję ciągle. Jesteście więc ulokowani. A pani Norman jest jeszcze z wami?

Wyrwał się z tym pytaniem swoim prostolinijnym sposobem. Nie umiał zbliżyć się do jakiegoś tematu okrężną drogą. Obecnie zaś znajdował się w tym usposobieniu, że było mu obojętne, czy Spot podejrzewał go o coś, czy też nie.

Ale Spot zanadto był przejęty swoimi sprawami, aby zwrócić uwagę na coś innego.

— Nie, biedaczka! To druga właśnie sprawa, dla której przyjechałem. Chcę panią Norman schwycić, ale nie wiem jak.- Wymknęła się w tydzień po wylądowaniu. Jakieś nieporozumienie z moją matką.

Nic poważnego, ale ona udała się do brata w dzielnicy Putney. Nie zostawiła swego adresu. Mnie z Heleną nie było w domu i gdy wróciliśmy, od kilku dni już jej nie było. Dzieci nie mogą się pocieszyć i proszą mnie ciągle, aby ją odnaleźć. Ponieważ nie znam jednak nazwiska jej brata, nie mam pojęcia, jak mi się to uda zrobić.

— W stronie Putney, powiedziałaś? — rzekł Tiggie.

— Tak objaśniała moja matka. Naturalnie nie powinna jej była puścić — mówił Spot. — Biedna dziewczyna, tak się bała być czyimś ciężarem.

— I będzie w tym mniemaniu trwała dalej — dodał Tiggie. — Jaki masz plan, gdy ją znajdziesz?

— Nakłonić ją, aby przyjechała do Farne natychmiast — odparł Spot. — Chyba że ma inne projekty. Tuż obok nas jest domek rybaka, gdzie może dostać pokój, a ja zaopiekuję się nią tak, jak obiecałem. Helena ma dziewczynę do dzieci, będzie więc mogła także podać jej rękę. Nic ją to prawie nie będzie kosztowało, a wiem, że pieniądze miała na względzie.

Spojrzał na Tiggiego, którego wyraz twarzy nie zdradzał specjalnego zainteresowania.

— Jeżeli poszła do swego brata — zauważył — prawdopodobnie poczyniła już inne plany. W każdym razie nie rozumiem, jakim sposobem ją znajdziesz, jeżeli nie posiadasz żadnych ku temu danych.

— Nie wiem, ale nie wiem także, jak wrócę do mojej rodziny bez niej.

— Najlepiej więc będzie, gdy mnie użyjesz do tego celu, nie mam i tak co robić.

— Świetnie! — zawołał Spot. — Gdy ją odnajdziesz, bez zwłoki przywieź ją do nas! Naprawdę, zawdzięczamy jej wiele i chcę być spokojnym, że wszystko u niej dobrze się ułoży.

— Tak, rozumiem — rzekł Tiggie. — Doznaję tego samego uczucia. Nie znoszę zresztą tracić z oczu znajomych.

Cieszę się, że u ciebie wszystko dobrze, Joyce zupełnie zdrowa?

— Doskonale się ma, lepiej niż kiedykolwiek. Musisz na serio przyjechać nas odwiedzić. Kiedy mógłbyś przybyć?

— Nie teraz jeszcze — odparł Tiggie. — Mam najpierw kilka rzeczy do załatwienia i jestem tu ze swoim szwagrem, artystą. Chce namalować obraz, ale brak mu natchnienia.

— Weź go ze sobą! — zawołał Spot. — Nic piękniejszego w całej Anglii nie zobaczy od Farne.
— Może więc później — rzekł Tiggie. — Ale teraz muszę wracać do niego, czeka na ulicy.
— Ach, przyprowadź go tu, napijemy się czegoś.
— Dziękuję — niezwykle stanowczo odpowiedział Tiggie. — Mam rendez-vous. Czy możesz mi dać przewodnik na chwilę?
— Naturalnie, jest w hallu. Czy musisz jednak naprawdę iść? Aha
— nagle zniżył głos — co do pani Norman jeszcze, czy sądzisz, że wszystko było z nią w porządku? Moja matka trochę ją podejrzewała, ale wiesz, jakie są starsze kobiety.
Tiggie miał swój zwykły wyraz spokoju na twarzy, tylko oczy patrzyły surowiej niż zwykle, gdy odpowiedział:
— Mój drogi, nie jestem sędzią żadnych kobiet ani starych, ani dobrych, ani złych. Zapytaj kogo innego.
— Zawsze byłeś oryginałem. Ale znałeś jej męża, w każdym razie, prawda? Możesz więc za nią mówić.
— Za nikogo nie mówię — odparł Tiggie, odchodząc. — Do widzenia? Nie idź ze mną! Sam przegładnę przewodnik po drodze. Jaki jest twój adres w Farne?
— Cliff cottage, na samym brzegu. Przyjedź wnet! — nalegał Spot.
— Będziemy łowić ryby.
— Dobrze — odpowiedział Tiggie.
Ale widać było, że ledwie słyszy, co się do niego mówi i Spot obserwując go, teraz dopiero zauważył coś, na co przez cały czas rozmowy nie zwrócił uwagi.
— Co mu się stało? — dumał. — Jest jakiś inny. Ciekaw jestem, co skłoniło go do przyjścia tutaj? — Aż wreszcie błysnęła mu pewna myśl:
— Naturalnie, ta kobieta go zajęła! Zawsze mi się zdawało, że coś się między nimi kroi. Ale Tiggie, Tiggie... z mężatką! — doktor potrząsł głową w zadumie. — Nie, to ani trochę nie podobne do niego.
Lecz Tiggie owego dnia nie był rzeczywiście wcale podobny do siebie.

* **

— I dokąd teraz? — spytał Harvey.

Tiggie włożył kartkę papieru do portfela, po czym uśmiechnął się do Harveya z pewnym grymasem.

— Mój drogi przyjacielu, jesteś niesłychanie cierpliwy. Pójdziemy się teraz napić czegoś, a potem udam się w kierunku Putney.

— Na twoim miejscu czekałbym do lunchu z tą wyprawą — rzekł Harvey szorstko. — Chodź, wstąpimy do Burlington House. Jest tam kilka obrazów, wartych widzenia.

— Nie wiedziałem, że wystawiłeś coś w tym roku — powiedział Tiggie.

Harvey skrzywił się.

— Nie ma tam nic mojego. Ale na przyszły rok wystawię.

— Dobrze, zaczekam więc do przyszłego roku — odparł Tiggie.

— Ale ty idź i spotkamy się później. Czy robisz czasem morskie pejzaże? Mam zaproszenie dla ciebie do miejscowości zwanej Farne, gdzie dużo skał i wielkie fale.

— Ty jedziesz tam? — zapytał Harvey.

— Możliwe — Tiggie zachował ostrożność.

— No, to może i ja się wybiorę, lecz później. Powiedz mi tylko, gdy zechcesz się mnie pozbyć... to znaczy, gdy zaczniesz się miodowy miesiąc!

— rzucił zagadkowe spojrzenie na Tiggiego. — Postaram się wtedy zniknąć.

— Prawdopodobnie będziesz musiał długo czekać na to — rzekł Tiggie.

— Więc mam nie jechać z tobą do Putney? — pytał Harvey. Tiggie zatrzymał się, aby zapalić drugiego papierosa.

— Jeżeli chcesz, to jedź, ale znowu będziesz czekał na ulicy. O ile ci to jednak nie szkodzi, proszę.

— Nie, przyzwyczajony jestem do tego — zapewnił go Harvey.

— I bawi mnie to. Mam czas na myślenie.

— Chodź więc! — rzekł Tiggie.

— Siądę na polu wrzosowym i będę pilnował, naszych nesaserów

— mówił Harvey, gdy znowu jechali przez duszne ulice. — Będzie tam w każdym razie jakieś powietrze, nawet jeśli zabraknie napoju.

— Ach, najpierw napijemy się czegoś — odpowiedział Tiggie.

Dzień był bardzo upalny i niebo miało wygląd groźny, zwiastujący burzę. Tiggie kazał taksówkarzowi jechać na Victorię i tam napili się w bufecie, gdzie panował taki hałas i pisk, że wszelka rozmowa była niemożliwa. Potem przez gwarne ulice dotarli do rzeki.

— Zdaje mi się, że spędzimy dzisiaj noc nad brzegiem — zauważył znowu Harvey, gdy mijali most.

Tiggie nic nie odpowiedział. Nie myślał w tej chwili o swoim towarzyszu.

I gdy znaleźli się wreszcie na polu wrzosowym, zostawił go z rzeczami w cieniu brzozy, a sam się oddalił.

Tiggie był już niedaleko tego miejsca, którego adres miał w kieszeni i po chwili stanął przed bramą ogrodową, wiodącą do dużego budynku, który Harvey ze swego miejsca widział także jak na dłoni.

Kapitan Turner wszedł do ładnie utrzymanego podmiejskiego ogrodu. Wszystkie kwiaty na grządkach były cieplarniane, a duża oranżeria przylegała do domu od strony długich, białych schodów, które prowadziły do frontowych drzwi. Dom sam był wstrętny, ale w jak najlepszym stanie. Nie było nigdzie pnącej rośliny, która by zakrywała jakieś braki i zniszczenie. Łukowe okna patrzyły pytająco. Otwarte były na tym samym piętrze i story pospuszczane w jednym rzędzie.

Gdy Tiggie wszedł na schody, poczuł się jak podróżnik w nieznanym kraju. Atmosfera miejsca była mu zupełnie* obca, wydawała się nawet wroga. A jednak tak niedaleko stały przyjazne brzozy i Harvey czekał w ich cieniu.

Tiggie dotarł do frontowych, wysokich drzwi, zielono malowanych, niedostępnych. Miały mosiężny młotek, mosiężną klamkę i mosiężny dzwonek, wszystko błyszczące. Nacisnął dzwonek i usłyszał jego dźwięk w dolnych pokojach.

Przez dłuższy okres w domu panowała cisza. Słońce prażyło niemiłosiernie. Wreszcie rozległy się kroki od wewnątrz i drzwi się otworzyły. Stała przed nim wysoka, chuda pokojówka, która patrzyła na gościa podejrzliwym okiem.

Tiggie instynktownie zebrał siły, aby pozyskać sympatię dziewczyny.

— Czy pan Grierson jest w domu? — zapytał śmiało.

— Nie, proszę pana. Jest w mieście ->- oświadczyła służąca pospiesznie, robiąc wrażenie, że chce zamknąć drzwi.

Ale Tiggie nie czekając, przypuścił drugi atak:

— Jego siostra przebywa tutaj — rzekł. — Proszę oddać jej mój bilet. Jestem jej dawnym znajomym.

Słuchała tych słów bez najłżejszego zdziwienia.

— Zdaje mi się, że źle pana poinformowano — rzekła sztywno. — Nie ma tutaj żadnej pani. Pan Grierson mieszka sam.

— Ach! — westchnął Tiggie i nagle wskutek jej nieprzejednanej miny, z jaką na niego patrzyła, zdał sobie sprawę, że spodziewano się tutaj jego przybycia.

— A czy siostra go nie odwiedziła po powrocie do Anglii?

— Nic o tym nie wiem—brzmiała znowu szybka odpowiedź.—Nie wiedziałam nawet, że ma siostrę.

— Ach, tak — zamyślił się Tiggie. Stał chwilę patrząc na nią badawczo, aż wreszcie zdecydował się. — W każdym razie dam swój bilet wizytowy — i wyciągnął portfel. — Może się mylę, możliwe, że jest tylko jego przyrodnią siostrą. — Wyciągnął banknot funtowy i spojrzał znowu na pokojówkę. — Słyszała może panienka o niej? — rzekł uprzejmie.

Lecz dziewczyna nie zmieniła nawet miny i z tym samym stoickim spokojem, odpowiedziała:

— Nigdy nie słyszałam o żadnej przyrodniej siostrze pana.

— Na pewno? — Tiggie wyciągnął drugi banknot, ale nie miał rutyny w dawaniu łapówek i zdał sobie zresztą sprawę, że nie zdoła przekupić służącej.

Zrobiła się jeszcze bardziej sztywna i nieprzystępna.

— Jestem zupełnie tego pewna — odparła stanowczo. Tiggie zamknął więc portfel.

— Wobec tego nie zostaje nic więcej do powiedzenia — zauważył, zabierając się do odejścia.

— Pański bilet wizytowy — przypomniała dziewczyna. Zatrzymał się momentalnie, po czym zszedł po schodach.

— Wątpię, czy to potrzebne — rzekł i usłyszał, jak drzwi za nim się zamknęły.

Dotarł do bramy ogrodowej z uczuciem klęski.

— Na Jowisza, jakim idealnym dozorcą więziennym byłaby ta kobieta — szepnął do siebie.

Zgrzany i przygnębiony wyszedł na drogę, a potem skierował się w stronę cienistych drzew. Harveya nie dostrzegł nigdzie, widząc więc jakiś cichy zakątek, usiadł na parę minut, aby zebrać myśli.

— Po co zadawałem sobie tyle trudu? — pytał znowu siebie. — Jaki inny wynik tego wszystkiego może być prócz goryczy i zawodu? Możliwość służenia jej skończyła się i Viola szczerą, czy fałszywą, nie może być teraz nikim dla mnie. Przerwała węzeł przyjaźni i nic nie zostało. Czemu gonię więc za tym uciekającym cieniem, który prowadzi tylko do rozczarowania i do zguby. Na miłość Boską, dlaczego?

Starał się odpowiedzieć na to pytanie, ale nie mógł. Wiedział tylko, że jakaś siła go ciągnie, pcha wbrew rozumowi, wbrew woli, a on nie jest w stanie się jej oprzeć.

Mógł się chwilę tu zatrzymać, ale nie wolno mu odpocząć tak długo, dopóki nie dowie się całej prawdy dotyczącej Violi.

Leżąc na wygrzanej przez słońce trawie, zastanawiał się, jaki będzie jego następny krok. Po kwadransie jednak zdał sobie sprawę, że chwila odpoczynku minęła i powinien iść dalej. Uważał, że musi wrócić do Harveya i zastanawiał się, jak opowiedzieć mu całą historię. Artysta musiał już domyśleć się czegoś, bystry jego umysł może mu być nawet pomocny. Ale czy on zrozumie, że tego wszystkiego nie da się uniknąć. Czy też wyśmieje jego upór?

Twarz Tiggiego zaczęła pałać, wydało mu się, że słyszy już chichot szwagra. Nie, nie zniósłby tego w obecnym stanie. Gdyby Harvey śmiał się, uderzyłby go prawdopodobnie, pomimo że nie był gwałtowny z natury. Za daleko bowiem posunął się, aby można się śmiać lub cofnąć. Cokolwiek Harvey lub kto inny powiedziałby, lub uczynił, on pójdzie dalej.

Tiggie podniósł się z miękkiego posłania i rozglądął wokoło. Do tej pory w podnieceniu swym mało zwracał uwagi na upał, ale w tej chwili odczuł go dotkliwie. Stał chwilę otumaniony i w myślach, przyćmionych lekkim zawrotem głowy, zobaczył nagle obraz: stoi na tle arabskiej pustyni w blaskach pomarańczowoczerwonego słońca i czuje delikatną, podobną do gołębicy istotę, przytuloną do niego, jakby szukającą schronienia.

Obraz znikł za chwilę, ale on pozostał dziwnie niespokojny. Oparła się więc na nim, przylgnęła do niego, a teraz...

Tiggie stanowczym krokiem podążył przed siebie i wnet zbliżył się do miejsca, otoczonego drzewami, gdzie zostawił Harveya, teraz jednak szwagra tam nie było.

— Gdzież do diabła poszedł? — rzekł Tiggie z irytacją.

Czuł, że utrata Harveya w obecnym jego stanie będzie ostatnią kroplą gorzkości. Chociaż nie liczył na jego pomoc, świadomość, że zostanie jej pozbawiony, wydała mu się nową klęską, na którą nie był przygotowany. Mruknął coś pod nosem, idąc wzdłuż wrzosowego pola. Wytrzymałość jego zdawała się być na wyczerpaniu.

Tiggie zostawił Harveya na ławce, która była teraz wolna i gdy zbliżył się do niej, spostrzegł dwa leżące nesesery. Widocznie więc Harvey nie jest daleko stąd — to go pocieszyło. Usiadł i wytarł twarz. Teraz jego kolej, aby czekał...

**** ***

W pobliżu nie było nikogo, bo była to pora lunchu, tylko w oddali panował ruch kołowy.

Gdy Tiggie czekał tak samotnie, wszystkie zdarzenia tego poranku wydały mu się snem. Uczucie doznanego wstrząsu zaczęło blednąć, a własny jego zdrowy rozsądek brał górę nad wrażeniami.

— Byłbym głupcem — dumiał Tiggie — gdybym uwierzył Grier-sonowi lub komukolwiek innemu, zanim sam nie przekonam się o całej prawdzie. Przecież twierdzenie Griersona nie może być miarodajne. Jeżeli chodziłoby o kogo innego, mógłbym w to uwierzyć, ale co do Violi nigdy! Jasne jest tylko to, że ona jest w mocy tego człowieka.

Na tym problemie Tiggie postanowił skupić swoją uwagę. Postanowił odszukać Violę i powiedzieć jej, jak rzecz się ma. Potem może znajdzie sposób, aby jej dopomóc, przekonany był bowiem ciągle w głębi duszy, że ona potrzebuje pomocy.

Ale jaki będzie jego następny krok na drodze do osiągnięcia celu, tego nie wiedział. Może Harvey, gdy powróci, będzie mu mógł coś poradzić. Tiggie postanowił się zwierzyć do pewnych granic swemu szwagrowi i zasięgnąć jego rady. Tymczasem nie gardził wycieczką; zapalił fajkę, pograżył się w zadumie i czekał powrotu Harveya.

Wnet głowa zaczęła mu opadać na piersi w tej ospałej atmosferze. Zaniechał też wszelkich starań, aby przewyciężyć tę senność i osuwając się na miękką trawę, fajkę schował do kieszeni, pod głowę podłożył neser i przymknął oczy.

W godzinę później zbudził go tupot czyichś nóg i podnosząc głowę spostrzegł zdrajcę ku niemu Harveya.

— Ach, nie biegnij tak! — zawołał Tiggie. — Gorąco mi, gdy na ciebie patrzę. Co takiego się stało? Pożar?

Morderstwo? Czy tylko zbójcki napad?

Harvey upadł obok niego wyczerpany i zgrzany.

— O, człowieku! Okropne miałem chwile! — westchnął — ale mam ją! Idź prędko do tego domu, gdzie byłeś dziś rano i postaraj się ją ubiec. Czekać na nią, mówię ci! Czekać na rogu w ukryciu! Tylko prędko, człowieku! Teraz masz okazję, aby jej nie stracić.

— O kim mówisz? — rzekł Tiggie zdumiony i podniósł się mechanicznie z ziemi.

Harvey zrobił ręką zniecierpliwiony ruch.

— Ta dziewczyna, ta, której szukasz... Aquamarina, idzie wzdłuż drogi po przeciwnej stronie tego płotu. Zmierza do tego domu, w którym byłeś przed godziną. Śpiesz się człowieku, jeżeli chcesz ją schwycić, bo wymknie ci się znowu.

Tiggie nie czekał już na dalsze wyjaśnienia.

Nie obchodziło go teraz nic, jakich środków Harvey użył, aby dotrzeć do celu. Chwycił kapelusz do ręki i pospiesznie się oddalił.

Biegł po suchej trawie z niezwykłą szybkością. Sen go pokrzepił, był gotowy do walki. Spojrzał ponownie na duży dom stojący na rogu i zauważył to, czego nie dostrzegł przedtem, że wzdłuż ogrodu ciągnie się boczna droga...

Tiggie przypomniał sobie o wskazówkach Harveya, który mu nakazywał, aby czekał na rogu. W płocie muszą być z pewnością drzwi i jeżeli ona mieszka tutaj rzeczywiście i zechce wejść niepostrzeżenie, to nie będzie szła tymi frontowymi, błyszczącymi schodami. Omijając więc pojazdy Tiggie zatrzymał się na rogu gościńca, aby nabrać tchu i spojrzał na boczną drogę.

Po obydwóch jej stronach rosły drzewa. Obok niego stanął jakiś rzemieślnik, a ktoś inny z koszykiem w ręce wchodził właśnie przez

małe drzwi ukryte w płocie i prowadzące widocznie do pomieszczeń kuchennych tego opustoszałego domu.

W odległości kilku metrów jakiś starszy mężczyzna zmierzał powoli ku niemu, za nim zaś szła bardzo szybko, niemal biegnąc, postać dziewczęca.

Ledwie zdołał ją rozpoznać, skręciła szybko na boczną ścieżkę i znikła za płotem, przez podobne widocznie drzwi do tych, przy których stał Tiggie.

Jemu to wystarczyło. Bez chwili namysłu wszedł za rzemieślnikiem do ogrodu. Chłopak był już w połowie drogi, która prowadziła między krzewami do tylnych drzwi domu. Gwizdał najnowszą miłosną piosenkę z całą werwą, po czym znikł w zabudowaniach, a Tiggie skręcił w prawo na ścieżkę wiodącą w głąb ogrodu.

Ufał teraz ślepo szczęściu. Tego rodzaju postępowanie nie było w jego guście, ale konieczność zmuszała go do tego. Jeżeli jest na złym tropie i natknie się na kogoś zupełnie obcego, ogarnie go wstyd. Na razie jednak nie chciał zatrzymywać się i zastanawiać, jak się zachowa w odnośnej sytuacji.

Ścieżka, którą kroczył, prowadziła w dobrym kierunku, biegła równoległe z drogą, aż wpadała na rozległą murawę, która, jak wnet spostrzegł, widoczna była z okien domu. Zatrzymał się więc chwilę i w tym samym momencie spostrzegł znowu w oddali kobiecą postać poruszającą się wśród drzew. Postanowienie jego wzmocniło się. Musi zaryzykować, pomimo wszystko, nawet jeżeli ośmieszy się. Najgorsze, co może go spotkać, to utrata własnej godności.

Z zuchwałym więc spokojem postąpił naprzód i wszedł na otwartą murawę.

Zanim dotarł do cienistych drzew, stracił już z oczu dziewczęcą postać, lecz nie wahając się szedł dalej w tym samym kierunku i zatrzymał się dopiero na końcu łąki.

Spojrzał na dom i uśmiechnął się, bo zobaczył, że we wszystkich oknach pospuszczane są story tak, że nikt teraz nie może go widzieć, jak po kryjomu się skrada do cudzego ogrodu.

Wśród orzechowych drzew prowadziła kręta ścieżka, którą Tiggie postanowił pójść, ale ponieważ nikogo nie było widać w pobliżu, zastanawiał się, czy Viola nie znikła zupełnie z ogrodu. Na wszelki

wypadek postanowił przeszukać każdy kącik. Teraz nie zrezygnuje już ze swej pogoni, dopóki nie przekona się, że jest daremna.

Wszedł więc w zielone zarośla ciągnące się z tyłu murawy.

Pusto tam było i tylko drozd współzawodniczył z chłopakiem, który gwizdząc wesoło wychodził znowu z ogrodu. Druga ścieżka przecinała teraz drogę i Tiggie zastanawiał się, którądy ma pójść, ale z prawej strony widok bluszczem obrośniętej altany rozstrzygnął jego wahanie. Chociaż stracił już wszelką nadzieję znalezienia Violi, postanowił tu jeszcze zaglądnąć.

Przecież ona nie powinna się ukrywać w pustym, podmiejskim ogrodzie, ona, która razem z nim podziwiała ognistą jutrzenkę — wschodzące nad pustynią słońce...

Tiggie przybliżył się do altany, chociaż tłumaczył sobie ciągle, że to śmieszne, aby tam jej szukać. Zobaczy tu pewnie tylko ogrodnika, który rozkoszuje się drzemką. Na tę myśl zwolnił kroku. Nie miał zamiaru przeszkadzać nikomu. Pragnął tylko i tutaj rzucić okiem, zanim uda się na dalsze poszukiwania w ogrodzie.

Jak mógł więc najciszej podszedł jeszcze bliżej altany i zatrzymując się przed gęstwiną bluszczu, zajrzał do środka. Stał chwilę, jakby oczom własnym nie wierząc, wreszcie odetchnął głęboko i powoli wyprostował się. Poszukiwanie jego skończyło się.

Część III

Siedziała w głębokim cieniu altany; blada z oczami spuszczoneymi, z dłońmi mocno zaciśniętymi. Widocznym było, że nie zauważyła wcale jego obecności i że pogrążona jest w kompletnej rozpacz. Poruszenie tylko od czasu do czasu spuszczonej powiek, świadczyło o jej cierpieniu. A Tiggie obserwując ją milcząco poczuł, jak dawny ogień zapłonął w nim na nowo.

Przedstawiała obraz rozpacz i niepokoju. Tiggie przerażony był jej chorowitym wyglądem. Policzki Violi nie miały najlepszego rumieńca, a oczy jej, te zamglone oczy, były silnie podkrążone. Robiła na nim wrażenie wygłodzonej, zagubionej, bliskiej śmierci.

Nie był w stanie dłużej tak stać w ukryciu. Zdał sobie sprawę, że patrzy na to, co nie jest przeznaczone dla jego oczu i postanowił ukazać się nie narażając jej na przestach.

Gdy rozważał właśnie nad tym wszystkim, bojąc się odezwać, ona poruszyła się, powoli odwróciła głowę i zobaczyła go.

Cała jej postać wyprostowała się w jednej sekundzie, oczy jej rozszerzyły się i nabrały wyrazu takiego, jakim patrzy ten, kto nie widzi nic przed sobą. Nie odezwała się ani słowem, nie próbowała przemówić, wydało mu się tylko, że ogarnia ją bezgraniczny Jęk.

W odpowiedzi na ten lęk Tiggie wykrztusił z siebie pierwsze uspokajające słowa:

— Strasznie mi przykro, że wtargnąłem w pani zacisze. Proszę mi wybaczyć, jeżeli to możliwe. Musiałem przyjść.

Patrzyła na niego w dalszym ciągu, jak gdyby usprawiedliwiając się, że nie ma siły prosić go, by wszedł do środka i coś było w jej wzroku, co raniło jego serce. Wiedział dobrze, że się go boi.

Ale to nie z jego winy tym razem, nie uczynił nic takiego; co by ją mogło przestraszyć i to go ośmieliło zbliżyć się do niej.

— Nie martwi panią chyba moje wtargnięcie w ten sposób i to, że mnie widzi znowu?

Zrobiła sztywny, machinalny ruch i Tiggie z ulgą spostrzegł, że spuściła oczy przed jego wzrokiem. Jak gdyby przymknęła je na chwilę, po czym dziwny uśmiech przeleciał po jej twarzy. Odezwała się miękko szeptem, który tak dobrze pamiętał, głosem niemal dziecinnym.

— Dlaczego pan przyszedł? — zarzuciła mu.

— Dlaczego? — powtórzył Tiggie i podszedł do niej cały drżący, wszystko co zniósł dla niej obudziło się w nim nagle, popychając go do czynu. Pochylił się nad nią. — Dlaczego przyszedłem? Aby cię zobaczyć, bo musiałem cię widzieć, oto dlaczego! Czy sądzisz, że dam się odtrącić listem adwokata... i czekiem? Violo! — głos jego załamał się dziwnie, gdy wymówił jej imię, powtórzył je więc jeszcze raz z siłą, która miała pokonać jego słabość. — Violo!

Czemu to zrobiłaś? Czemu nie napisałaś do mnie sama?

Stał teraz tuż obok niej. Mógł ją dotknąć, ale nie czynił tego. Ona bowiem wzdrygnęła się i cofnęła.

— Nie warto zadawać mi pytań — rzekła. — List Filipa objaśnił pana.

— Sądzisz, że uwierzę czemukolwiek, co Filip mówi? — zapytał Tiggie. — Lub ktokolwiek inny? Ty jesteś jedyną osobą, której bym słuchał w sprawach dotyczących się ciebie. Dlatego do ciebie przyszedłem. Czy nie rozumiesz?

— O tak, rozumiem — odparła. I znowu dziwny uśmiech pojawił się na jej twarzy, uśmiech męczennicy. — Miałam nadzieję, że pan nie przyjdzie. Staralam się usilnie przeszkodzić temu. Ale... o tak... rozumiem.

— Czy na pewno spodziewałaś się, iż nie przyjdę? — powątpiewał Tiggie.

Zrobiła potakujący ruch głową nie patrząc w jego stronę. Nie miała już zaciśniętych rąk, dłonie jej spoczywały na kolanach.

— Tak, miałam nadzieję — rzekła. — Widzi pan, to może tylko zaszkodzić panu, a mnie nie może w niczym pomóc.
— To się dopiero okaże — odrzekł Tiggie z pewnym uporem. — Nie wiem naturalnie, ale mam wrażenie, że mogę pani pomóc.

— To dlatego, że pan nie rozumie — mówiła zmartwiona.

— Pozwól mi więc zrozumieć — odparł Tiggie. Zatrzymał się na chwilę, ale teraz był panem siebie. Może to jej spokój pozwolił mu odzyskać równowagę. — Naturalnie może nie zechcesz mi wytłumaczyć, wtedy sam dowiem się wszystkiego.

— To takie podobne do pana — rzekła. — Nie uczyni pan jednak nic dobrego dla siebie.

— Mniejsza o to! — odpowiedział. — Zrobiłaś już, co mogłaś, aby mnie odstraszyć. I nie udało ci się. Co się tyczy mnie, jesteśmy akuratnie w tym samyjn miesjcu, gdzieśmy byli.

— Nie warto tak mówić, bo nigdzie nie byliśmy, prawda?

— Nie wiem — rzekł Tiggie z tą dziwną pewnością siebie i władczością, która była mu właściwa. — Zdaje mi się w każdym razie, że byliśmy przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi na pokładzie statku — rzekła z uśmiechem. — Taka przyjaźń nie trwa długo.

— Ach, tak? Potrzęsnęła głową.

— Nie liczy się w każdym razie. Powiedział pan sam, że robi głupstwa tylko na morzu. Miał już pan możliwość oprzytomnieć do tego czasu.

— Możliwe. Ale przecież odzyskanie przytomności, jak to nazywasz, nie zmusza koniecznie do tego, aby zostawiać swych przyjaciół. Mogę ci powiedzieć, Violo — wymawiał jej imię swobodnie, może dlatego, że w myślach swoich od czasu ich rozstania nigdy nie nazywał jej inaczej — jeżeli w ten sposób myślisz, masz zupełnie złe mniemanie o mnie.

— Ależ nie — odparła. Podniosła oczy ku niepiu i coś w jej wzroku wzruszyło go głęboko. — Znam pana tak dobrze. Pan należy do tych ludzi, którzy nigdy nie liczą się ze stratą. Dlatego...

Tiggie zaprzeczył jej gwałtownie.

— O nie! Mylisz się, nie jestem takim głupcem!

— Nie powiedziałam, że pan jest głupcem — rzekła — jestem pewna, że pan nim nie jest. Ale nikt nie jest mądrym, jeżeli działa na ślepo. A pan tak czyni, kapitanie Turner, chociaż...

Przerwał jej znowu.

— Nie nazywaj mnie tak! Jestem Tiggie dla ciebie. Przyjęła poprawkę potulnie.

— Dobrze więc, Tiggie, czy nie lepiej będzie, gdy teraz odejdiesz. Gdyby Filip nadszedł...

— Nie potrzebujesz mnie straszyć Filipem — rzekł Tiggie ponuro.

— Powiem ci szczerze, że nie mam zamiaru odejść, dopóki tego nie omówimy.

— Czego? — zapytała.

— Twojej sytuacji — Tiggie odpowiedział z naciskiem, zdając sobie sprawę, że nie może teraz w żaden sposób ustąpić. — Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Szkoda tego próbować? Zresztą po co? Z pewnością mam prawo wiedzieć tyle samo o tobie, co ten przekłety adwokat, którego widziałem dziś rano.

— Filip?

— Tak, przypuszczam, że Filip! — ton Tiggiego był agresywny.

— Próbował mnie nafaszerować różnymi kłamstwami, ale one wpłynęły jedynie silniej na moją decyzję, aby się z tobą zobaczyć i samemu dowiedzieć się wszystkiego.

— Co za szkoda! — rzekła z westchnieniem.

— Żadna szkoda! — niemal gniewnie jej zaprzeczył. — Znacznie gorzej byłoby, gdybym odszedł uwierzywszy, że to prawda. Zresztą...

— urwał spoglądając na nią.

— Czy tak? — spytała po chwili, a twarz jej oblała się delikatnym rumieńcem.

Tiggie ciągnął dalej bardziej już ostrożnie.

— Uważam, że świetnie się stało, iż ciebie znalazłem. Wyglądasz bardzo źle. Wiesz o tym.

— Nic nie poradzę — odparła, odwracając twarz.

— Naturalnie! — w głosie Tiggiego brzmiało oburzenie i litość.

— Cóż możesz poradzić skoro jesteś nieszczęśliwa, znużona i wygłodzona.

— Ach, nie jestem wygłodzona — rzekła. — Chcę powiedzieć, że mogłabym jeść, gdybym tylko chciała.

— To wszystko jedno — oznajmił Tiggie. — Gdy nie ma kogoś, kto by się tobą opiekował, chorujesz naturalnie. U nikogo jeszcze nie widziałem takiej zmiany w przeciągu tak krótkiego czasu; a przedtem także nie byłaś zdrowa i silna.

— Nie?

Coś w jej tonie powiedziało mu jasno to, czego nie miałyby nigdy odwagi ująć w słowa. Pochylił się i po raz pierwszy położył rękę na jej ramieniu.

— Violo! — rzekł i znowu głos mu zadrżał. — Chyba nie próbujesz! Nie starała się mu zaprzeczyć, siedziała biernie, jak niewolnica. Po

chwili dopiero przemówiła, a głos jej był dziwnie obojętny.

— Gdy czyjeś życie nie odgrywa już żadnej roli, nie ma sensu się męczyć!

— Ale twoje odgrywa! — zapewnił gwałtownie Tiggie. — Czy przypuszczasz, że zadałbym sobie tyle trudu, gdyby nie to, że... — urwał, dysząc ciężko. Ona zaś, chociaż nie patrzyła na niego, poczuła lekki dreszcz.

— Nie powinienesz być tego robić — orzekła.

— Ale w każdym razie uczyniłem. I nie żałuję, widzisz, to śmieszne, co mówisz. Nie damy ci dłużej być samej. Jest Helena i Spot, i wszystkie dzieci w Kornwalii czekają na ciebie.

Potrząsała głową.

— Nie mogę jechać.

— Ale dlaczego nie. Co cię wstrzymuje? Zawahała się, po czym znowu potrząsała głową.

— To do niczego nie prowadzi, Tiggie. Nie mogę. Za dobry byłeś dla mnie, znacznie lepszy, niż na to zasługuję.

Wierz mi i żegnaj!

— Nie uwierzę — zażartował Tiggie. — Jakże można nie być dobrym dla takiej biednej, samotnej istotki. — Potos jej ścisnął go za serce. — Dopiero cię znalazłem, nie możesz żądać, abym tak prędko odszedł.

Nie odpowiedziała mu nic, a jego dłoń spoczywała ciągle na jej ramieniu.

— Słuchaj! — rzekł Tiggie — nie odejdę, bo to jasne, że popełniasz wielki błąd. Matka Spota jest winna w pierwszym rzędzie. Żałuję tylko, że nie byłem w pobliżu.

— Nie byłoby żadnej różnicy — stwierdziła.

— Byłaby — oświadczył. — Byłbym ci przeszkodził w ucieczce. Ten Grierson... czy on naprawdę jest twoim przyrodnim bratem?

Schyliła głowę.

— Tak.

Jedyna osoba na świecie do której możesz się zwrócić?

— Tak — rzekła znowu.

— Ty, biedaczko! — wzruszył się Tiggie i nagle ręka jego zaczęła głaskać jej ramię tak, jak gdyby pocieszał dziecko w strapieniu.

Dreszcz ją przeniknął. Zrobiła delikatny ruch.

— Widziałeś się więc z nim? — zapytała.

— Naturalnie! Czy sądziłaś, że oficjalny list i czek wystarczą?

— Powinny były.

— Nie wystarczyły jednak. Nie tak łatwo także mnie przestraszyć. Ale jeżeli nie chcesz, abym dowiedział się prawdy, zadowolę się nieświadomością. Tylko nie zostawię cię na łasce tyrana, ażebyś zginęła z nędzy. To może nie moja sprawa, jak to zaznaczyłaś, ale zrobię tak, aby stała się moją. W rzeczywistości, o ile chodzi o mnie, zawsze uważałem ją za swoją od chwili, gdy pierwszy raz zobaczyłem cię na pokładzie „Pioniera”, czekającą na męża.

— Ach! — wzdrygnęła się znowu, odwracając zupełnie twarz od niego. — Ten okropny dzień! Jak dobrym byłeś! I wierzyłeś mi!

— Zawsze ci wierzę — rzekł Tiggie po prostu. Widział, jak pierś jej faluje.

— To dlatego, że sam jesteś tak szlachetny i szczery.

— Wcale nie... dlatego, że znam ciebie! Uczyniła ruch rozpaczliwy.

— A jeżeli mnie nie znasz? Tiggie, jeżeli nie jestem taka, jak myślisz? Co będzie, jeżeli to, co Filip powiedział, jest prawdą? — Nie wiesz, co mi powiedział — rzekł Tiggie.

— Wiem, — mówiła z wysiłkiem. — I chociaż on jest twardy i bardzo srogi, to nie jest kłamcą. — Zaczęła szlochać, łkanie wstrząsało nią całą. — Powiedział ci prawdę taką, jaką widzi. Ty, ty nie uwierzyłeś mu, ale mimo to, to nie jest kłamstwem. Ukryła twarz w dłoniach. Tiggie czuł się głęboko wzruszony.

— Cicho, dziecko, cicho! Będziesz chora — szeptał nad jej głową.

— Słuchaj! Mniejsza o terażniejszość. Trzeba myśleć o przyszłości, a przeszłość zostawić. — Mówił pośpiesznie i z naciskiem, bo sprawa była nagląca i nie mógł patrzeć na jej udękę. — Słuchaj! Jestem tutaj po to, aby ci pomóc. Będę przy tobie. Nie zostaniesz. Wszystko mi jedno czy to prawda, czy nie. Pomogę ci.

Otoczył ją ramieniem. Przygarnął do siebie i drugą ręką gładził jej włosy. Stłumił w tej chwili w sobie wszelką namiętność. Ofiarował jej jedynie swą siłę i opiekę, jak niegdyś, owej nocy, na statku.

Może wspomnienie tego żyło w tej chwili w pamięci ich obojga, bo w sytuacji obecnej nie widzieli nic nowego i gdy ona opanowała się powoli i podniosła głowę, która spoczywała na jego ramieniu, nie próbowała się wcale usprawiedliwiać.

— Nie możesz mi pomóc — powiedziała jedynie.

— Mogę i pomogę — odparł Tiggie.

Podniosła oczy, a on przerażony był znowu jej bladością i głębokimi cieniami pod oczyma.

— Tiggie — rzekła — mówisz, że wierzysz w to, co ci mówię. Muszę więc powiedzieć ci wszystko, a potem chcę tylko, abyś odszedł. Nie zniosę tego dłużej.

— Nie, nie, nie potrzebujesz mi mówić — uspokajał ją Tiggie.

— Wiem, jak to było. Ten człowiek, Norman, oszukał cię. Nie ożenił się z tobą. — Wzdrygnęła się przy tych słowach, ale Tiggie trzymał ciągle swą dłoń na jej ramieniu i mówił z całym spokojem.

— A teraz słuchaj mnie! Tak, jak powiedziałem, chodzi o przyszłość. Przeszłości nie możemy zmienić. Możemy ją tylko przekreślić. To zrobię z tobą, Violo. Czy pamiętasz, jak powiedziałaś, że jesteś rozbitkiem i szukasz schronienia na mojej tratwie? Widzisz, zostałaś już na dobre na niej. Ty i wszystko co twoje należy do mnie. Nie potrzebujesz się lękać niczego ze mną. Nie jestem świnią, wiesz dobrze.

— O, tak, wiem — rozpacz brzmiała w jej głosie i delikatnie starała się odsunąć jego rękę. — Dlatego właśnie, nie mogę ci pozwolić na to. Proszę cię, Tiggie, nie utrudniaj mi zadania.

— Uczynię je niemożliwym — odpowiedział stanowczo. — Po 1» tu przyszedłem, nie widzisz tego? Gdybym ustąpił ci teraz, wiem, co by się stało. Ty także wiesz. Żyłabyś z dnia na dzień nieszczęśliwa, jak wię-

zień aż wreszcie... — urwał. — No, nie będziemy o tym mówić, bo do tego nie dojdzie. Nie, słuchaj Violo! Teraz moja kolej coś postanowić, nie jestem głupcem, nie potrzebujesz się więc bać. Zostaw mi wolną rękę! Wiem dobrze, co uczynię. A ty będziesz rozsądna i pomożesz mi. Niekoniecznie ze względu na siebie. Tutaj także nie przyszłaś z własnej ochoty, lecz przez wzgląd na dziecko, które przyjdzie na świat. Czy nie tak? Nic mu nie odpowiedziała, ale nie próbowała już odsunąć go od siebie. On zaś odczuwał w niej stanowczy opór, ale postanowił go za wszelką cenę przewyciężyć.

— Czy mam rację? — zapytał znowu. — Czy to nie był ten powód?

— Może — odparła szeptem. — Ale... ale, Tiggie... Nie pozwolił jej dokończyć zdania.

— Nie potrzebujesz już sprzeciwiać się, bo i ja mam przede wszystkim to na myśli w tej chwili. Proszę cię, abyś oddała się pod moją opiekę, abyś zaufała mi. Violo, czy nie możesz tego uczynić?

— Jakim sposobem? — szepnęła, jakby przestraszona. — Nie mam żadnych praw do pana.

— Masz — oświadczył. — Takie prawo, jak każdy rozbitek, który widzi nadpływający statek. Nie godzę się po prostu na to, aby dać ci tutaj utonąć, nie warto więc dłużej mówić o tym.

Westchnęła jak gdyby nie miała siły już walczyć.

— Nie wiem, co mam ci powiedzieć — rzekła.

— Nie potrzebujesz nic mówić — zapewniał Tiggie. — Tylko zaufaj mi. To wszystko, czego żądam i pozwól mi, abym cię wyciągnął z burzliwych fal. Czy jest coś złego w tym?

Westchnęła znowu.

— Staralam się tak usilnie trzymać się z dala od ciebie. Ale wszystko na darmo. Dziś rano, gdy widziałam cię, jak przyszedłeś tutaj, po prostu uciekłam. Nie przypuszczałam, że mnie widziałeś, nie myślałam nigdy, że będziesz czekał na mnie, bo nie wróciłabym.

— To dowodzi, jak nie warto było chować się — mówił Tiggie. — Teraz obiecaj mi, że nie uciekniesz już nigdy. Spuściła głowę na piersi.

— Nie mam gdzie uciec, chyba do rzeki.

— Nie mów w ten sposób — odezwał się Tiggie. — Jesteś teraz pod moją opieką, pamiętaj.

Starał się zajrzeć w jej spuszczone oczy.

— Violo, obiecujesz mi?

Zacisnęła dłonie ruchem zdradzającym rozpacz.

— Dobrze — oznajmiła.

— No, pamiętaj więc, żeś przyrzekła — odezwał się bardzo łagodnie widząc jej wyczerpanie. — A teraz powiedz mi, kiedy cię będę mógł zobaczyć?

— Ach, nie wiem, nie powinnam nikogo widywać bez pozwolenia Filipa.

— Przyjdę więc dziś wieczorem i powiem mu to — rzekł Tiggie. Poruszyła się zaniepokojona.

— Ach nie... nie... proszę tego nie robić! Proszę cię, Tiggie.

— Dobrze więc, moja droga, nie bój się. Niczego nie uczynię wbrew twojej woli. Ale czemu nie mogę się z nim zobaczyć? Czy to nie byłoby najlepsze wyjście z sytuacji? '

— Nie — prosiła — nie! — Przyłożyła rękę do ust, jakby chciała stłumić ich drżenie. — Nie myśl o tym! Nie mogłabym znieść tego. Nie! Jeżeli naprawdę chcesz mnie jeszcze widzieć, pomimo wszystko, spotkam się z tobą na polu wrzosowym każdego wieczora, gdy się ściemni.

— Weź więc ze sobą od razu neseser — proponował Tiggie — zabiorę cię stąd.

Spojrzała na niego przerażonymi oczyma.

— Ach, jeżeli stąd pójdę, nie będę mogła nigdy, nigdy wrócić.

— Wezmę cię stąd — powtórzył stanowczo. — Pojedziemy do Spota, do Farne. Potrzebna im jesteś. Będzie ci tam dobrze.

— Nie wiem, czy mogę — rzekła poważnie.

— Tak — mówił Tiggie energicznie — możesz. I wyruszymy zaraz, dziś wieczór.

— Ach, nie wiem — patrzyła na niego z powątpiewaniem. — Czy nie popełniasz wielkiego błędu? — zapytała.

— Moja droga — odparł — to moja sprawa, nie twoja. Ciebie proszę tylko, abyś mi ufała. I nie spotkamy się w polu. Będę przy bramie tego ogrodu z taksówką o dziesiątej wieczór, a jeżeli tam cię nie będzie, przyjdę prosto do domu i zabiorę cię. Filip czy nie Filip. Czy tb zrozumiane?

— Ach, cóż mam odpowiedzieć? — rzekła, jak ktoś zanadto już przyciśnięty do muru, aby mógł dłużej walczyć.
— Powiedz po prostu, że będziesz czekała. Odchodzę teraz. Ale zrobię tak, jak powiedziałem. A ty... mogę liczyć na ciebie, prawda? Chodź Violo, nie boisz się mnie?
— Ciebie? — I nagle jak gdyby nie mogąc się powstrzymać wyciągnęła obydwie dłonie ku niemu. — Ach, czyż nie widzisz, że ciebie chcę ocalić, nie siebie! — Łzy zabłyśły w jej oczach. Tiggie ujął drżące dłonie i zamknął je w gorącym uścisku.
— No, dobrze... rozumiem... wiem. Ale nie martw się! Potrafię lepiej o sobie myśleć aniżeli sądzisz. Nie będziemy się więc więcej tym troszczyć. Wszystko już postanowione? Będziesz przy bramie o dziesiątej wieczorem. Mogę na to liczyć?
— O, tak — uległość jej była teraz zupełna. Jasne było, że nie jest w stanie walczyć dłużej. — Zrobię, jak chcesz. Nie warto się było sprzeciwiać.
— Masz rację — zawołał Tiggie wesoło. — Najmądrzejsza uwaga, jaką dotąd zrobiłaś. Bądź więc zdrowa na razie! A nie upadnij na duchu zaraz, gdy tylko odwrócę plecy.
Uśmiechnęła się.
— Może... kiedyś... będę mogła uczynić coś dla ciebie — rzekła. Tiggie odpowiedział jej również uśmiechem.
— Kto wie! Może będziesz mogła.

**** ***

— Zaczynam teraz jasno myśleć — rzekł Harvey, siedząc w cichej, małej restauracji. Oparł się o poręcz krzesła i patrzył na Tiggiego z ukosa. — No, nie byłbyś jej nigdy złapał, gdyby nie ja. Nie chciała się z tobą spotkać.
— Wiem o tym — odparł Tiggie.
— Uciekała na twój widok wówczas, gdy dochodziłeś do bramy — ciągnął Harvey. — Byłaby z pewnością uciekła, gdybym nie był dość przezorny. Szedłem jednak za nią cały czas aż do rzeki, gdzie usiadła na ławce i siedziała bardzo długo, rozglądając się od czasu do czasu czy

nie ma cię gdzieś w pobliżu. Na szczęście uważała, że ja nie jestem godny uwagi. Naturalnie nie podchodziłem za blisko. Ale to ta sama dziewczyna — dziwny błysk pojawił się w oczach artysty — miała słuszość, Tiggie, to ta sama, którą widziałeś u mnie na płótnach. „Nierządnicą” czy „Aquamarina”? Myślę, że Aquamarina.

— Ja także tak sędzę — stwierdził Tiggie spokojnie. Mówił znowu z powściągliwością, która go ogarnęła ostatnimi czasy.

— Czy jesteś pewny jednak, że teraz ją już schwyciłeś? — pytał Harvey.

— Tak.

— A co z nią zrobisz? — rzekł Harvey, szczerze zaciekawiony. Wyraz twarzy Tiggiego nie uległ zmianie.

Odpowiadał tak, jakby mówił do siebie.

— Ożenię się z nią.

Harvey uczynił ruch pełen zdziwienia.

— Mój drogi chłopcze, czy to konieczne?

Ze wzroku Tiggiego zdawały się nagle sypać iskry, ale gdy przypomniał sobie, że Harvey jest inny, niżeli wszyscy, uśmiechnął się tylko.

— Tak, ty stary poganinie, to jest konieczne! Czy dlatego bowiem, że jeden mężczyzna przyczynił się do upadku kobiety, drugi ma postąpić w ten sam sposób?

— Jesteś pewny, że tylko jeden? — przerwał Harvey. — Nie, posłuchaj, zanim mnie spoliczkujesz. Pamiętaj, że poznałem ją dawno temu przed tobą. Widziałem.

Tiggie pochylał się naprzód, ogarnęły go wspomnienia. — Ani trochę mnie nie martwi to, co widziałeś — odpowiedział. — Po prostu wcale mnie to nie interesuje.

Harvey zaśmiał się mimo woli.

— Widzę, że szczerota przyjaciela jest zbyt duża, nic więc już nie powiem. Uważam tylko, że małżeństwo jest ryzykowną rzeczą! Czy nie możesz się zabawić na pewien czas w dobrego wujaszka?

— Nie — odrzekł Tiggie ponuro. — Próbowałem już tej roli ostatnimi czasy.

Pograżał się w milczeniu, a Harvey obserwował go nadal przenikliwym wzrokiem. Przed rozstaniem się z Violą, Tiggie powziął to postanowienie, ale czuł, że podświadomie istniało ono u niego jeszcze

przed wizytą u Griersona, może nawet wcześniej. Obojętne mu było, co kto na to powie — Grierson, Harvey czy ktokolwiek inny, wszystko to było bez znaczenia. Nie pytał nawet siebie, czy to próżne gadanie

o przeszłości mogło być prawdziwe. Wydało mu się ono bezowocne

i niepotrzebne. Główną rzeczą było teraz, jak ją ocalić i całą myśl na tym skupił. Widok jej bladej, wygłodzonej twarzy i oczu pełnych rozpaczony poruszył go do żywego.

Przypomniały mu się znowu jej słowa: — Nie mam gdzie uciec, chyba do rzeki.

Rozmyślenia jego przerwał głos Harveya:

— Co robimy teraz?

Tiggie spojrział na niego wzrokiem marzyciela, którego[^] nagle budzą.

— Tak, uczynię to — rzekł do siebie. A potem: — Wybacz mój drogi! Co? Ach, tak, zapłacę. Idź sprowadź taksówkę. Wrócimy do miasta.

— Majątek cały tracisz dzisiaj — zauważył Harvey. — Czy nie byłoby mądrzej...

Tiggie machnął ręką.

— Nie, nie byłoby. Mało jest czasu. Zresztą nic nie wydawałem przez ostatnie sześć tygodni.

Tiggie nie wiedział dobrze[^] dlaczego tak pragnął usprawiedliwić swoje czyny wobec Harveya, ale nie chciał, aby ten uważał go za szaleńca. Prawdą zresztą było, że nie ma czasu do stracenia. Ta blada, zmęczona twarz, zamglone, wyrażające ból oczy — ten smutny wyraz tonącej! Idiotą był, że czekał tak długo. Czemu nie odszukał jej wcześniej?

Przyrzekał sobie teraz czekając na rachunek, że nigdy więcej nie będzie już takim idiotą.

— Czy pomożesz mi? — zapytał Harveya, gdy spotkali się na ulicy. Harvey uśmiechnął się.

— Jedź mój Don Kiszocie — rzekł. — Twoim jestem do śmierci i rad jestem z tego.

Kto inny zwróciłby może uwagę na lekki ton tej odpowiedzi, ale Tiggie nawet nie spostrzegł tego. Wiedział, że Harvey w ostatniej chwili życia żartowałby jeszcze, gdyby miał siły. Wiedział także, że żarty Harveya miały w sobie często więcej znaczenia, niż poważne słowa rozsądniejszych ludzi, zresztą szanował szwagra. Odczuwał jego sym-

patię dla siebie i był mu za nią wdzięczny. Cieszył się więc, że ma go przy sobie w swoim strapieniu. Harvey doda mu otuchy tam, gdzie rozsądniejszy człowiek taki, jak Spot, mógłby się starać go powstrzymać. Tiggie zaś z chwilą, gdy powziął decyzję, postanowił nie cofnąć się przed niczym. Obrął sobie drogę i nią pójdzie. Wszystko na świecie jest ryzykiem. Wygra więc lub przegra to, na czym mu jedynie w życiu zależy. Czuł, że nie kieruje nim żadna namiętność. Tę potrafiłby stłumić i niemal już stłumił jeszcze silniejszym pragnieniem wyratowania ukochanej. Zdawał sobie sprawę także z tego, że może nigdy jej zupełnie nie posiadać. O tym wszystkim jednak nawet nie myślał, a odczuwał tylko gwałtowne pragnienie uwolnienia i chronienia tej, której pragnął służyć do ostatnich granic, za wszelką ceną, nie licząc się z żadną ofiarą ze swojej strony. Po prostu ofiarowywał jej wszystko, co miał, a jeżeli później to będzie wymagało jeszcze większego poświęcenia, chętnie poniesie je także — nawet życie odda.

** *

Słoneczny dzień przeszedł w cichy, jasny wieczór. Srebrne pnie brzoź na wrzosowym polu mieniły się różowo w świetle zachodzącego słońca, a balsamiczna woń unosiła się wokół wraz z powiewem wiatru wśród gałęzi, puszczejących pąki.

W oddali słychać było turkot kół i trąbki automobilowe. Odgłosy te mieszały się ze śpiewem ptasząt, który rozbrzmiewał w przestworzu. Opoдал zaś dźwięczały dzwony kościelne, głosząc światu pokój. Od czasu do czasu przebiegł drogę jakiś pies i zaszczekał radośnie nie mącąc w niczym ogólnej harmonii.

A gdy znikło słońce i bladoróżowe niebo przybrało ciemną barwę, daleko za zachodzie ukazał się księżyc, pomimo że światło dzienne zaczęło dopiero ledwie blednąć.

Tiggie spacerując przy furtce w płocie, tam i z powrotem pragnął zmierzchu. Nie dlatego, że wstydził się swego postępowania, ale dlatego, że chciał, by Viola miała najkorzystniejszą sytuację. Pragnął ułatwić jej wszystko z tą chwilą, gdy przyjdzie do niego. Taksówce

kazał czekać na bocznej ulicy przy zakręcie, gdzie ciemniej było i zaciszniej.

Wiedział dobrze, że wielu uznałoby jego czyn za dziwaczny i ekscentryczny. Ale Tiggie obecnie podobny był do Harveya, który, gdy geniusz nim zawładnął, przestawał być panem siebie.

Nie zastanawiał się więc teraz nad sobą. Możliwe, że nastąpiła u niego reakcja a wstrząs, którego doznał rano, przyczynił się do tego, aby z jeszcze większym uporem trwał w swoim zamiarze. Nie zastanawiał się też wcale nad kłamstwem, usłyszanym od Griersona. W zanadto brutalny sposób zostało mu ono podane, aby zdołało go przekonać. Nawet smutek Violi nie potrafił go przekonać.

Tiggie zdawał sobie tylko z jednej rzeczy sprawę, że Viola gwałtownie potrzebuje jego pomocy. Poza tym nie chciał o niczym wiedzieć.

W dalszym więc ciągu spacerował tam i na powrót z tą uporczywą cierpliwością, która stanowi dziedzictwo brytyjskiej rasy.

Tymczasem powoli zapadał zmierzch. W oddali umilkły dzwony i zegar kościelny wybił umówioną godzinę. Ale po przeciwnej stronie płotu nie słychać było zbliżających się kroków.

Droga była opustoszała, Tiggie przestał spacerować i stanął przy bramie. Zapanowała głucha cicha. Gdzieś z daleka tylko dolatywały głosy dziecięce, które mieszały się z warczeniem psów. Ale te dźwięki płynęły z oddali, jak gdyby z innego świata. Wokoło zaś niego w pobliżu panowało milczenie, którego nie zdołało nic przeniknąć.

Powoli zmrok przeszedł w noc, która opadła na ziemię jak aksamitna zasłona. Chłód — niewidoczny zwiastun rosy — dawał się odczuć. Coś jednak kojącego i balsamicznego było w powietrzu. Dla człowieka, który znał pełne tortury, upalne, indyjskie noce, coś świętego i błogiego było w całej atmosferze.

Tiggie niemal z czcią patrzył przed siebie. Czuł, że puls mu silniej tętni i że wyobraźnia jego jest niezwykle podniecona. Po raz pierwszy rad był z tego, że jest znowu w Anglii. Wydało mu się dziwne, że przedtem nie odczuwał tęsknoty do kraju.

Nagle dał się słyszeć pewien odgłos — powolne kroki — po drugiej stronie muru i Tiggie wyprostował się, nad słuchując bacznie. Równocześnie poczuł woń inną od zapachu rosy — dym cygara. O kilka kroków od niego szedł ścieżką mężczyzna. Tiggie stał, wyciągając słuch.

Tam i z powrotem ktoś spacerował. Do diabła z nim! Co on tam robi, pełni jakąś straż? Myśli Tiggiego pobiegły do rannej wizyty i szara maska Griersona stanęła mu przed oczyma. Nerwy mu zadrgały na myśl

o powtórnym spotkaniu z tym człowiekiem, ale pozostał niewzruszony, nie dający znaku swej obecności.

Minuty mijały i zmrok się spotęgował: Blady księżyc znikł, a jedna gwiazda jak srebrna lampa błyszczała na granatowofioletowym niebie. Głosy dzieci ucichły i tylko od czasu do czasu pies jeszcze zaszczekał. Zewnętrzny spokój wokoło, jakby koił wewnętrzne zaburzenie w duszy Tiggiego.

Tam i z powrotem, równomiernym krokiem ktoś się przechadzał

i jakby na tym samym miejscu zawsze zawracał. Cierpliwość Tiggiego zaczęła się trochę załamywać. Przypomniał sobie swoją przestrogę daną Violi: że o ile ona nie przyjdzie na umówione miejsce, on uda się po nią prosto do domu.

Ale i wspomnienie jej prośby obudziło się w nim i pohamowało go. Przyjął już upokorzenie z miłości dla niej dziś rano i większa doza nie podziła już na niego. Zacisnął zęby i czekał dalej...

Zegar kościelny wybił cicho kwadrans, a kroki spacerującego po przeciwnej stronie płotu nagle ucichły. Tiggie znowu wyteżył słuch. Możliwe, że ten ktoś zmęczył się czuwaniem i wrócił do domu. W tej chwili, gdy ta myśl przysła mu do głowy, usłyszał hałas, furka obok niego gwałtownie się otworzyła i przed Tiggiem stanęła ciemna postać we fraku.

— Hallo! — rzekł Tiggie zmuszony mimo woli do słów. Zimny, sardoniczny głos odpowiedział mu:

— Ach, kapitan Turner znowu! Czy szuka pan frontowych drzwi może?

— Nie — odparł Tiggie.

— Więc — uprzejmy ton miał w sobie szyderską nutę — może wskazać panu inny kierunek?

— Dziękuję — rzekł Tiggie zaciskając dłonie — nie potrzebuję żadnego kierunku. /

— O! W takim razie — Grierson cofnął się — życzę panu dobrej nocy. Przyszedłem właśnie zamknąć bramę.

Tiggie zrozumiał, że za chwilę wrota zostaną przed nim zatrzaśnięte. Więc złość go ogarnęła i zniknął dawny spokój.

— Skoro pan wiedział, że czekam tutaj, wie pan także prawdopodobnie i dlaczego — odezwał się. Grierson zatrzymał się nagle.

— Jest pan zanadto wszystkiego pewny.

— Czasem trzeba — Tiggie rozmyślnie postanowił być zuchwałym. — Ale w razie, gdyby pan nie wiedział — dodał — powiem panu. Czekam na panią Norman. Mam z nią umówione spotkanie, które, zapewni pan, dojdzie do skutku.

— Doprawdy? — komiczne zdziwienie dzwięczało w głosie Griersona. — W tym miejscu, chce pan powiedzieć? — zapytał hardo.

— Właśnie. W tym miejscu — odrzekł Tiggie stanowczo.

— A kiedy pan się umówił, można zapytać? — badał adwokat z zimną ironią.

— Dziś — odparł krótko Tiggie.

— Dziś, po wizycie w mojej kancelarii? — nuta cynicznego rozbawienia brzmiała w obojętnym pytaniu.

— Naturalnie — wrzasnął Tiggie ze złością, tracąc panowanie nad sobą. — Nie znałem jej adresu przedtem.

— Ach, tak! Przyszedł więc pan prosto tutaj! Widział się pan z nią i doszedł do porozumienia.

— Może pan to nazwać, jak pan chce — oznajmił Tiggie, kładąc nagle dłoń na bramie i pchając ją do środka — wejść jednak, aby teraz się z nią zobaczyć... z pańskim pozwoleniem lub bez pozwolenia.

Ku zdziwieniu Tiggiego Grierson ustąpił natychmiast i roześmiał się drwiąco.

— Proszę wejść w każdym razie! — rzekł. — Ale zdaje mi się, że jej pan nie zobaczy. Wyjechała na wieś, dziś po obiedzie.

— Co? — Tiggie stał spokojnie. — Co? — powtórzył znowu, patrząc bezmyślnie przed siebie. — Odjechała, czy to prawda?

— Powiedziałem już panu, że nie chciała mieć nic więcej do czynienia z panem — mówił Grierson prawie łagodnie.

— Byłoby lepiej, gdyby pan uwierzył w to od razu.

Dłoń Tiggiego, którą trzymał na furtce, opadła. Stał milcząco wpatrzony przed siebie i przypomniał sobie, z jaką niechęcią Viola przyjęła jego propozycję. Zdołał ją potem nakłonić i przewyciężyć jej

opór, bo nie miała dość sił do walki, ale widocznie było to tylko pozorne jego zwycięstwo i znowu mu się teraz wymknęła.

Jakaś litość, wydawać by się mogło, poruszyła Griersona. Może uważał, że należy być hojnym wobec wroga, którego zgnębił zupełnie. Otworzył szerzej furtkę.

— Czy zechce się pan napić czegoś przed odejściem — zapraszał słodko, choć nie zdołał ukryć triumfu, który brzmiał w jego głosie.

Dla Tiggiego tego było za wiele. Duma jego, tak boleśnie raniona przez cały dzień, nagle się odezwała.

Wyprostował się. Nie będzie znosił dalszych upokorzeń od tego człowieka.

— Dziękuję — rzekł krótko — i dobranoc.

Gdy szedł wzdłuż cichej drogi słyszał, jak zatrzasnęła się brama i rygiel zaskoczył. Ogarnął go szalony gniew tłumiący chwilowo wszelkie inne uczucia.

— Przeklęty cywil zaklął po cichu. — Żeby taki nikczemny adwokat śmiał mnie pognać. — Ciężko dysząc, Tiggie przyśpieszył kroku. — I cały dzień straciłem na darmo, gorzej jeszcze, bo usiłowania moje przyniosły mi klęskę. Przystanął niespodziewanie.

— Co czynię jednak przyjmując w ten sposób porażkę? Chyba czary odciągnęły ją po raz drugi ode mnie?

Przypomniawszy sobie swoją ranną wizytę i odprawę z niczym. Spodziewano się go widocznie i przygotowano do tego odpowiednio. Pokojówka otrzymała informacje i kazano jej zaprzeczyć nawet istnieniu Violi. Wtedy starał się obalić to kłamstwo, a teraz dał się pobić jednym słowem.

Czemu nie zaatakował tego człowieka na miejscu we własnym jego ogrodzie i nie wy dobył od niego wszystkich potrzebnych informacji, co do jej pobytu? Co mu się stało, że dał się tak łatwo zbić z tropu, jednym twierdzeniem, które mogło być fałszywe? To prawda, że Viola starała mu się wymknąć, opierać, ale na końcu uległa jego namowom. Dała mu nawet przyrzeczenie. Obecnie więc musiała działać pod naciskiem. Nie miała z pewnością zamiaru sprawić mu na nowo zawodu, zgnębić go do reszty. Tak, działała pod przymusem, nie mając widocznie innego wyjścia. I dlatego on postępuje jak idiota zostawiając ją na pastwę losu. Viola z pewnością potrzebuje jego pomocy tak teraz jak i przed-

tem, a on nie ma do niej przystępu. A może tym razem Viola odeszła na zawsze...?

Tiggie stał bez ruchu w ciemności, rozglądając się wokoło z uczuciem wzrastającej niemocy. A może wrócić? Nie wpuszczą go do środka. Jedyne co pozostało, to czekać do jutra.

Rano wybierze się ponownie na poszukiwania. Rano postara się o lepsze natchnienie. Żeby tak blisko być wygranej i tak zupełną ponieść klęskę, to nie do uwierzenia. Rano zmieni się wszystko. Ale dziś — dzisiejszej, cudownej nocy, pełnej różnych możliwości — nic więcej nie da się zrobić. '

Z zasobem więc nowej energii do dalszej walki doszedł do rogu, gdzie czekała taksówka.

Nie, znacznie więcej mu trzeba, aby stracił odwagę.

Dostrzegł w mroku stojące auto. Pojedzie do najbliższego hotelu i tam spędzi noc. A rano znajdzie się znowu tutaj, gotów do czynu.

Zbliżył się do taksówki. Szofer siedział na kole, zmęczony czekaniem. Gdy Tiggie zwrócił się do niego, zerwał się z miejsca, jakby zbudzony ze snu.

— Przepraszam pana. Pani jest w aucie. Czeką już dobre pół godziny. — Otworzył drzwi limuzyny.

— Co? — zawołał Tiggie.

Jakiś głos na pół z ulgą, na pół ze strachem powitał go.

— Ach, nareszcie jesteś! Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz.

— Dobrze nieba! — wykrzyknął Tiggie. — Jakim sposobem... Przerwała mu zaniepokojona.

— O, mniejsza o to teraz! Jedźmy, jedźmy prędko! Tiggie wskoczył do wozu i drzwiczki się zatrzasnęły.

— Dokąd? — spytał szofer przez otwarte okienko.

— Do Londynu! — rzucił Tiggie. — Wszystko jedno gdzie! Powiem później.

Taksówka pomknęła po spokojnej drodze. Przed nimi rozścielała się ciemna noc.

Tiggie zdjął kapelusz, aby wytrzeć czoło.

— Jestem godzinę potępienia! — rzekł.

**** ***

— Ach, nie! — szepnął niespokojny głos obok niego. — Nie chciałam cię nastraszyć, ale Filip, Filip domyślał się czegoś i czatował. Nie mogłam wyjść na spotkanie, sądziłam więc, że najlepiej będzie, gdy pójde inną drogą i wejde wprost do taksówki, gdzie mnie znajdziesz.

Wyrzucała z siebie słowa usprawiedliwienia wśród krótkich westchnień, podczas gdy auto na ciemnej drodze podskakiwało i huczało. Tiggie zrozumiał, że trzeba ja uspokoić i zapewnić, że dobrze postąpiła. Natychmiast więc wyciągnął swą silną dłoń, która po omacku trafiła na jej drobną rękę.

— Świetnie zrobiłaś, lepiej nie mogłaś. Uśmiechnęła się smutno.

— Ale czy jesteś pewny, że nie byłoby lepiej, gdybym wróciła? Chciałam się o to spytać, zanim ruszyliśmy, ale...

— Nie bądź dziecinna! — rzekł Tiggie. — Nic lepszego nie mogło się zdarzyć. Aż trudno mi uwierzyć, że to prawda. W głosie jej brzmiała nuta powątpiewania, a ręka, którą trzymał, zimna była jak lód.

— Mnie także trudno w to uwierzyć. Ale nie jestem pewna, czy postąpiłam dobrze. Może wrócimy? Uda mi się wejść tak, by Filip nie zauważył.

Tiggie zwrócił się do niej.

— Moja droga — przemówił ojcowskim tonem — nie ma nic na świecie, czego byś się mogła lękać i będzie ci znacznie lepiej ze mną, niż z Filipem. Zaufaj mi więc, dobrze?

Ręka jej zadrżała w jego dłoni, poczuł jej uścisk pełen wdzięczności.

— O, wiem o tym — rzekła.

— Nie powinnaś się więc bać niczego, gdy jestem przy tobie. Jechali teraz głównym gościńcem, wśród zamkniętych sklepów.

Małe grupki mężczyzn dążyły z szynku do swych domów, ale na ogół ulica była opustoszała. Przed nimi z dala wynurzał się most na rzece. W ciemnej taksówce siedzieli w milczeniu, trzymając się za ręce.

Często później wspomnienie tej nocy nawiedzało Tiggiego. Może teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak Viola jest osamotniona i zależna

od niego i jak wiele ją to musiało kosztować, zdać się całkowicie na jego łaskę.

Ale na razie ufała mu, gotowa była przyjąć takie okruchy pociechy, jakie miał jej do ofiarowania i starała się stłumić w jego obecności wszelki lęk.

Tym bardziej utwierdzało go to w pragnieniu zdobycia jej zaufania. Obecnie, gdy była tak blisko niego, gorączka tęsknoty, która go pożerała, opadła. Zbierał tylko wszystkie siły, aby chronić ją nawet przed sobą samym.

Dotarli do mostu, który dudnił pod kołami taksówki, innych bowiem pojazdów nie było widać. Po obydwóch stronach płynęła rzeka ciemna i tajemnicza. Tiggie doświadczył znowu dawnego uczucia, że jest sam z nią na ponurym morzu, że oni tylko sami, we dwoje płyną.

Mimo woli odezwał się niespodzianie:

— Nie troszcz się o mnie! Zostaw to wszystko mnie!

Nic nie odpowiedziała, tylko palce jej zacisnęły się na jego dłoni, po czym delikatnie, ale stariowczo, uwolniła swą rękę.

Gdy zbliżali się do końca mostu, Tiggie wstał i wychylając się przez okno, odezwał się do szofera:

— Great Western Hotel, Paddington. A szofer odpowiedział grzecznie:

— Do usług wielmożnego pana.

I opadając znowu na poduszki, Tiggie zdał sobie sprawę, że chwila na czułości i zwierzenia, o ile w ogóle kiedy istniała, przeszła. Viola siedziała wsunięta w kąt, zostawiając co najmniej trzy ćwierci siedzenia dla niego.

Instynktownie więc poszedł za jej przykładem i cała przestrzeń wolnego miejsca pozostała między nimi.

Doszedł do przekonania, że może tym sposobem ona będzie się czuła bezpieczniejsza i postanowił żadnym słowem ani ruchem nie spłoszyć jej.

Nie odzywał się więc wcale, zresztą nie było już nic więcej do powiedzenia. Do niego należało tylko wypełnić zobowiązania, których się podjął. Ogarnęło go dziwne zmieszanie, czuł, że zdrętwiał mu język i nie był w stanie przerwać milczenia.

Był bezsilny, jakiś mur wzniósł się między nimi i skoro go nie mógł obalić, postanowił czekać cierpliwie. Nie poznawał tylko siebie w tym wszystkim, co czynił. Ten trzeźwy, realny Tiggie Turner ucieka z ko-

bieta, o której nic prawie nie wie, z kobietą o podejrzanym opinii. Jak złodziej wykrada ją w nocy. Ulice Londynu bardziej były ożywione, niż przedmieście, które zostawili za sobą, musieli więc zwolnić. W czasie jazdy, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, przebiegały mu przez głowę szalone myśli. Ufał jednak, pomimo wszystko, że prędzej czy później dotrze do bezpiecznej przystani dla nich obojga. Na lepiej oświetlonych ulicach Tiggie rzucał od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia na cichą, milczącą postać, skuloną w kącie, ale nie mógł jej dojrzeć, bo głowę miała opuszczoną i twarz ukrytą w dużym, stojącym kołnierzu ciemnego płaszcza, którym była otulona. Nareszcie taksówka zatrzymała się przed hotelem. Tiggie przemówił, ukrywając swoje zmieszanie: — Otóż jesteśmy. Nie uciekaj mi tylko. Zaczekaj na mnie, dopóki nie załatwię z szoferem. Podniosła głowę nieco zdziwionym ruchem, ale nic nie odpowiedziała. On otworzył drzwiczki i wyszedł, a ona podążyła za nim, zakrywając się płaszczem jeszcze szczelniej. Tiggie zapłacił szoferowi i odebrał od niej mały, skromny neseser, który ze sobą wzięła. Robiła na nim ciągle wrażenie czegoś nierealnego tak, że nawet zastanawiał się, czy ktoś inny prócz niego zdaje sobie sprawę z jej obecności. Jowialny głos szofera, który im życzył dobrej, spokojnej nocy przerwał mu zadumę. Tiggie odezwał się do Violi ze zwykłą swoją uprzejmością: — Chodź! Wynajmę dla ciebie pokój. — Pokój? — zdziwiona powtórzyła jak echo. Odpowiedział mrukliwie: — Tak. Dzisiaj zostaniemy w Londynie, ale nie martw się niczym. Wszystko będzie dobrze. Nie okazywała, że coś ją gnębi, a jednak doznał uczucia, że jeszcze bardziej zamknęła się w sobie, unikając wszelkiej dyskusji. W milczeniu weszła obok niego do dużego hotelu. Tiggie skierował się prosto do kancelarii, zostawiając ją na chwilę samą.

Zaledwie jednak odszedł kilka kroków, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Odwracając się spostrzegł Harveya.
— Hallo! — rzekł zdumiony. Zapomniał bowiem o Harveyu. Artysta uśmiechnął się z lekka, ze zrozumieniem.
— Wszystko w porządku — rzekł. — Zamelduję cię. Weź ją na górę, pokoje są na trzecim piętrze. Portier ci pokaże.
Tiggie zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel wszystko przygotował i ogarnęło go uczucie ulgi. Harvey był człowiekiem praktycznym pomimo ekscentryczności. Świadomość, że on stoi obok, czyniło ryzyko mniej niedorzecznym.

Wrócił więc do swej protegowanej z lżejszym sercem.

— Chodź! — oznajmił — zmęczona jesteś. I będziesz rada znaleźć się w swoim pokoju.

Słowa te zostały konwencjonalnie wypowiedziane, a ona przyjęła je bez żadnego sprzeciwu.

Jakaś dziwna, tajemnicza atmosfera ich otaczała i gdy jechali windą Tiggie zastanawiał się, czy Viola lada chwila nie zniknie mu z oczu.

Udali się potem wzdłuż długiego korytarza, aż wreszcie portier otworzył szeroko jedne drzwi i wprowadził ich do pokoju, gdzie położył nesoser Violi.

— Rzeczy wielmożnego pana — zwrócił się do Turnera — są w sąsiednim pokoju, przy końcu korytarza.

Powiedziawszy to oddalił się, a oni zostali sami.

Tiggie odetchnął głęboko i spojrzał na towarzyszkę. Ciągle jeszcze stała, ale tak blada, tak obca, tak uduchowiona, że mogła być równie dobrze jakąś daleką chmurą na zamglonym horyzoncie, jak realną istotą.

— Więc! — rzekł.

Odwróciła się do niego z uległością, jak gdyby czekając rozkazu. Oczy miała spuszczone. Milczała. Tiggie rozejrzał się dokoła.

— Będzie ci tu wygodnie? — zapytał.

Dławiło ją coś w gardle. Odpowiedziała po chwili z widocznym wysiłkiem.

— O, tak, naturalnie!

Tiggie badając w dalszym ciągu pokój spostrzegł drzwi, które widocznie prowadziły do jego sypialni. Patrzył z powątpiewaniem, jak gdyby niepewny czegoś.

— Czy ci one nie przeszkadzają?

Znowu znać było u Violi wahanie, podszedł więc szybko do niej i na szlachetnej jego twarzy odbiło się zadowolenie.

— Powtarzam, nie smuć się. Wszystko dobrze będzie. Wierz mi. Zrobiła ruch taki, jak gdyby chciała, aby przestał mówić. Śmiertelna

jej bladość rzuciła mu się w oczy. Chwycił krzesło i podsunął jej.

— Usiądź — rzekł. — Przyniosę ci coś do picia.

Upadła osłabiona, ale w tej samej chwili wyciągnęła drżąca rękę, żeby go zatrzymać.

— Proszę cię, zaczekaj! Nie odchodź jeszcze! Pochylił się nad nią.

— Dobrze. — Oprzyj się na mnie, dopóki nie będziesz się czuła lepiej! Zaszlochała cicho. Oczy miała niemal zamknięte, lecz wnet je

otworzyła i podniosła ku niemu. Bolesny ich smutek przeszył na wskroś jego serce. Viola zaś westchnąwszy lekko, zaczęła mówić szeptem.

— Tiggie, chcę ci coś powiedzieć, coś w co trudno uwierzyć. Powinnam powiedzieć ci to wcześniej, ale ty mówiłeś, że przeszłość nie gra roli... a ja... prawie... uwierzyłam w to.

— I teraz powtarzam to samo — stwierdził Tiggie.

Dłonie jej dotknęły jego ramienia. Przyłgnęła do niego teraz, jak zalęknione dziecko.

— Nie! Słuchaj! — rzekła. — Jeżeli ja ci nie powiem tego, ktoś inny to uczyni. Ten pan, który rozmawiał z tobą przed chwilą na dole, on wie.

— Kto? Harvey? O! — nagle Tiggie zrozumiał. — Tak naturalnie. Powiedział mi. Ale on się nie liczy. Nikt na jego słowa nie uważa.

— Co ci powiedział? — blade jej usta zeszywniały. Tiggie odpowiedział uspokajająco.

— Doprawdy nie pamiętam. Nie zwracam uwagi na jego słowa. Widział cię kiedyś tańczącą gdzieś na estradzie. To wszystko, co mi powiedział. Nie słuchałbym zresztą, gdyby chciał mówić coś więcej. Nie smuć się tak! Nie ma powodu.

— Ukryła twarz na jego ramieniu z cichym westchnieniem. Słowa jej były przytłumione tak, że musiał się nisko pochylić, aby je usłyszeć.

— Nie, on by ci nie powiedział. Znadto jest dobry. Starał się dopomóc mi, wydobyć mnie stamtąd. Chciał mnie wziąć na modelkę, ale bałam się go. Był taki dziwny. Nigdy mu zupełnie nie ufałam. Potem... potem... żałowałam tego.

— Mniejsza ó to — rzekł Tiggie łagodnie. — Mniejsza o to! Zrobiła gwałtowny ruch, jak gdyby odsuwając pomoc, którą jej

ofiarowywał. Głos jej miał dźwięk przytłumionego płaczu.

— Nie. Powiem ci teraz. Lepiej abys wiedział. Może słyszałeś o tancerce zwanej „Le Reve”. Tak mnie nazywano. Nie miałam jeszcze osiemnastu lat, gdy odniosłam pierwszy sukces. Uciekłam od Filipa. Tyranizował mnie, chciałam być niezależna. Wszystko szło mi łatwo... z początku. Znadto łatwo i przewróciło mi w głowie. Nie byłam długo dzieckiem. — Urwała na chwilę, spuszczać głowę niżej, wnet jednak z nowym wysiłkiem ciągnęła dalej. — Nie wiem, jak ci to opowiedzieć, ale chcę abys wiedział. Dostałam się w pułapkę, wpadłam w jaskinię zła przez własną głupotę. Nareszcie uratowałam się ucieczką. Naturalnie to była moja, własna wina, ale byłam młoda i nie wiedziałam, jak strasznie zepsuty jest świat. Gdy zdałam sobie z tego sprawę już prawie umierałam. — Dłonie jej zacisnęły się mocniej na ramieniu Tiggiego. Głos zaś przeszedł w zupełny szept, ale mimo to on słyszał każde jej słowo. — Byłam chora, złamana, przymierałam głodem. Wtedy to on, John Norman, przyszedł. Ofiarował mi uwolnienie... małżeństwo. Wydało mi się to jedynym ratunkiem. Zgodziłam się więc. Zaprowadził mnie do urzędu i wzięliśmy ślub. Pojechaliśmy prosto do Indii. Bardzo był dobry dla mnie. Myślałam, że będziemy szczęśliwi. Ale wtedy przekonałam się, że jest..., pijakiem.

— Biedne dziecko — współczuł jej Tiggie. Podniosła lekko głowę.

— Jak to ładnie powiedziałaś. Czy nie uważasz jednak, że na to zasłużyłam? Bo ja jestem tego pewna. To wszystko było... zapłatą. Gdy raz się postąpi źle, trzeba za to zapłacić. Płaciłam więc, aż raz, dwa lata później, gdy był pijany, rzucił mi w twarz, że... nasze małżeństwo było tylko sfingowane i... i... — słowa jej przeszły w jakieś nieokreślone dźwięki.

Tiggie pochylił się nad nią.

— Dziecko, nie mów mi więcej! Po co? Znam resztę.

Potrząsnęła głową nie podnosząc jej wcale, z trudnością przychodziły jej dalsze zwierzenia.

— Nie wiesz wszystkiego. To było wtedy, gdy zaczęłam zdawać sobie sprawę z... dziecką. Naturalnie, powinnam była go zostawić, ale byłam taka zgnębiona. Nie miałam pieniędzy, ani też dokąd się udać, nie miałam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Zostałam więc. Wydawało mi się, że on czasami jeszcze mnie potrzebuje i myślałam, że może... — Głos jej znowu się załamał. — To wszystko. Wiesz teraz, jak jestem zepsuta — zakończyła.

— Mam ci powiedzieć, co wiem? — odparł Tiggie. Ton jego był głęboki i bardzo stanowczy. Pochylał się nad nią, podtrzymując ją lekko i szepcząc na ucho. — Wiem, że to wszystko się skończyło i że będę się tobą opiekował tak, że nie będziesz cierpieć więcej.

— O, Tiggie! — podniosła nagle głowę i spojrzała na niego wielkimi czarnymi oczyma.

— Ty nie rozumiesz — ciągnęła z beznadzieją — ja starałam się tak usilnie przekonać cię, że jestem zła, jestem zła! Zwróciłam się do ciebie owego dnia na pokładzie „Pioniera”, ponieważ byłeś taki dobry i tak łatwo dałeś się oszukać.

— W głosie jej dźwięczała teraz żałosna skarga.

— I odtąd starałam się tak bardzo to naprawić. Czy nie widzisz tego, że nie chodzi o moje cierpienie.

Przyzwyczajona jestem do niego. Ale o ciebie, o twoje szczęście, twój honor.

Tiggie przerwał jej nagle bardzo stanowczo.

— Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie potrzebujesz mi tłumaczyć więcej. Wszystko postanowione dawno temu.

Nic nie może tego zmienić teraz. To, co mnie dotyczy, jest bez znaczenia. Rozumiesz?

— O! — wydała cichy okrzyk, wpatrzona w niego. Po czym spuściła oczy przed jego wzrokiem. Cała jej postać zdawała się kurczyć z bólu. Położyła twarz na jego dłoniach. — O, Tiggie... Tiggie!

— szepnęła urywanym głosem. — Czy był ktoś kiedy podobny do ciebie?.

Odsunął pospiesznie jej rękę. Chciał znaleźć dla niej słowa pociechy, ale coś ścisnęło go za gardło i nie pozwoliło wydobyć głosu. Bezsilny jej smutek wzruszył go do ostatnich granic.

Gdy spoglądał na nią, przyszedł mu na myśl biały kwiat zdeptyany bezmyślnie w błocie. Pragnął pochylić się i unieść ją w swych ramionach,

ale coś go powstrzymywało. Usłyszał jakiś wewnętrzny głos, który nakazywał mu odejść.

Dotknął więc jej dłoni niezręcznie i rzekł:

— Idź teraz położyć się, dziecko! Jesteś wyczerpana. Porozmawiamy jeszcze rano.

Pogładził potem nieśmiało jej włosy i odszedł.

Przy drzwiach jednak zatrzymał się, spoglądając raz jeszcze na szczupłą, pochyloną postać. Nie poruszyła się. Nie płakała, ale w jej skulonej pozycji przypominała mu znowu biały kwiat zgnieciony i złamany, brutalnie zdeptany nogami.

Serce zabiło mu gwałtownie tak, że zatrzymał oddech i jakaś moc, której nie znał poruszyła głębiej jego duszy. Przez chwilę stał niepewny, jak człowiek, który nagle zobaczył siebie po raz pierwszy. Coś błyskawicznie zrozumiał i oddalił się, rzucając ostatnie przewlekłe spojrzenie w stronę Violi.

A u siebie w pokoju ze wzrokiem utkwionym w dal i zaciśniętymi dłońmi, rzekł:

— Mój Boże, jakże ja ją kocham!...

** *

Nie wrócił do Harveya. Nie zniósłby tej nocy żadnej już rozmowy nawet najbardziej obojętnej.

Pozostał więc w swoim pokoju w jej sąsiedztwie i otworzywszy okno usiadł przy nim oparty o framugę.

Wpatrzony w tajemniczą, niezbadaną, letnią noc dłuższy czas pozostał bez ruchu. — Więc to była prawda, to była prawda! — Myśl ta powinna go była oburzyć, a tymczasem wydało mu się, że był już z nią oswojony i nic nowego nie dowiedział się ze słów Violi. Zrozumiał tylko, że wpadła w pułapkę i że ten dziwny urok, który go od samego początku pociągał — to jej uduchowanie.

Za młoda jednak była, aby tyle przejść, za młoda, aby mieć tak smutne doświadczenie, które przychodzi z wiekiem. Tiggie zmęczony i wyczerpany całodziennym wysiłkiem, udał się wreszcie na spoczynek, z jasno już określonym planem.

Nazajutrz Viola zostanie jego, prawnie poślubioną żoną tak, by wolno mu było jawnie się nią opiekować i usuwać z drogi jej życia najdrobniejsze kamyki.

Przekona ją, że to będzie najlepsze wyjście z sytuacji i że ona nie potrzebuje się niczego z jego strony obawiać, bo nigdy nie nadużyje swych praw i będzie jej tylko wiernie służył. Pojadą jutro prosto do Farne, gdzie ona musi odzyskać siły, zdrowie i w spokoju oczekiwać przyjścia na świat dzieciątka, którego dobro powinna mieć przede wszystkim na względzie.

Może dlatego, że Viola czuła, iż nie ma już sił do dalszej walki, z taką uległością przyjęła propozycję Tiggiego. Ceremoniał ich ślubny w urzędzie cywilnym trwał zaledwie kilka minut, a jedynym jego świadkiem był... Harvey. W drodze do Farne, Viola czuła się już tak źle, że zrozpaczony Tiggie przywiózł ją na miejsce ciężko chorą i rozgorączkowaną. Oddał ją pod opiekę Helenie.

* **

Tego samego wieczoru Tiggie napisał list krótki, ale uprzejmy.

Kapitan Turner powiadamiał Filipa Griersona o swoim ślubie z jego przyrodnią siostrą i o ich wyjeździe do Farne. O zdrowiu Violi nic nie wspominał, donosząc tylko zwięźle o tych dwóch faktach i zostawiając adwokatowi możliwość wyciągnięcia dalszych wniosków.

— Nie rozumiem, że chce ci się do niego pisać. Będzie cię uważać za głupca — rzekł Harvey.

— Niech myśli, co chce — brzmiała odpowiedź Tiggiego — uważam jednak za swój obowiązek donieść mu o tym.

Jeżeli zechce przekonać się o prawdzie moich słów, niech zgłosi się do urzędu.

— Założę się, że nie będzie chciał zadać sobie tyle trudu — odparł Harvey.

Gdy list był skończony, wyszli obaj rzucić go do skrzynki, po czym udali się spacerem na brzeg.

Czerwona kula zachodzącego słońca zanurzała się już w wodzie. Podniosły spokój panował na wybrzeżu. Z dala na zachodzie nierucho-

ma, niby lśniąca zasłona, wisiała różowa chmurka, a nad nią błyszczała drżąca, jak srebrna lampa, na tle ciemnego nieba, wieczorna gwiazda.

Morze było spokojne i przezroczyście. Ustał wiatr i żadnego szmeru nie było w powietrzu. Wokoło zarysowywały się wyraźnie skały, na których błyszczały strumyki, mieniające się różowo w blasku zachodzącego słońca.

Tylko nad brzegiem panował ruch, rybacy wyciągali swe łodzie, a ich głosy przerywały milczenie, które wisiało nad zatoką.

Obaj mężczyźni usiedli na kamieniu i zapalili fajki. Tiggie jednak swoją wnet zgasił.

— Będziesz używał tutaj? — zapytał Harveya.

Artysta rozejrzał się wokoło. Spojrzał na ciche morze, na marsowe skały i czarowne wybrzeże, po czym odpowiedział:

— Nie ma wcale tak wielkiej różnicy, jak ci się zdaje, między pustynią, a rajem. I ty także będziesz używał, mam nadzieję.

Tiggie westchnął i wyjął z ust zgaszoną fajkę.

— Jestem szalenie niespokojny.

— Tak. Przeszedłeś dosyć — rzekł Harvey z nieoczekiwanym współczuciem. — Ale kierunek wiatru się zmieni.

Zawsze tak bywa.

Tiggie patrzył na morze.

— Dzień mego ślubu! — zaakcentował. Współczucie Harveya gdzieś się ulotniło i roześmiał się.

— Nie chciałeś chyba ryżu i listków róży, co?

— Nie. Ale chciałem żony — rzekł Tiggie i wstał. — Pójdę tam powiedzieć dobranoc.

Wskazał na mały domek, położony wysoko, na skalistym wzgórzu. W jednym oknie błyszczało światło.

— Dobrze, ja tu zaczekam — odpowiedział Harvey. Tiggie oddalił się ciężkim krokiem, z głową spuszczoną.

Gdy piął się w górę, małą, krętą ścieżką, szum morza zagłuszał jego kroki.

Zatrzymał się wreszcie przed drzwiami domku, jak gdyby bojąc się zapukać. W powietrzu unosiła się woń jałowca i mieszała ze słonym zapachem morskich zielsk. Tiggie odczuł niezwykle wzruszenie, którego nie starał się analizować. Odwrócił się nagłym ruchem i zobaczył, że drzwi są otwarte.

— Czy to ty, wujciu Tiggie? — odezwał się głos dziecięcy i mała, drobna postać w białej sukience, stanęła na progu. Tiggie spojrzął na dziewczynkę i uściśnił jej rączkę. Dziwne wzruszenie nie pozwoliło mu przemówić. Joyce przytuliła się do niego.

— Mamusia powiedziała, żebyś się nie martwił! — szczebiotała miękko. — Czekałam więc, aby ci to powtórzyć. Ciocia Viola śpi teraz i myślę, że wnet będzie zdrowa.

Tiggie z wysiłkiem zdobył się na słowa.

— Dziękuję ci za wiadomości, przyszedłem właśnie po nie.

— Naturalnie — rzekła Joyce. — Kochasz ją tak samo, jak my. Jak to dobrze, że mamy ją z powrotem, chociaż chorą. Wnet wyzdrowieje u nas. Gdzie ją znalazłeś, wujciu Tiggie?

Tiggie usiadł na ławce przed drzwiami. Czuł, że daleką dziś odbył drogę. Delikatnie posadził dziewczynkę na swych kolanach.

— Tak, kocham ją tak samo, jak ty — wyznał. — Czy pamiętasz tę noc na Morzu Czerwonym, gdy byłaś tak chora, prawie umierająca... i ona cię uratowała.

— Pamiętam — odpowiedziała Joyce, kładąc główkę na jego ramieniu. — I pamiętam ciebie także, wujciu Tiggie, jak mnie podniosłeś wtedy, gdy mi się zdawało, że tonę na dnie morza. Ciekawa jestem, czy myślisz, że ciocia Viola doznaje teraz podobnego uczucia? .

— Jeżeli śpi, to nie — rzekł Tiggie.

— Śpi — odparła Joyce — w pokoju mamusi. Ja opiekuję się dzisiaj Jenny Wren. Ona także już śpi. Chłopcy są z Jessy, boną, w sąsiednim domku. Mamusia uważała, że w ten sposób będzie spokojniej.

Umilkła, wyjaśnwszy wszystkie zarządzenia, a Tiggie szepnął:

— Bardzo ładnie — lecz nie wiedział właściwie, co mówi. Delikatność dziecka i niesłychany spokój letniej nocy zaczęły działać na niego kojąco.

Joyce przytulona do kapitana dziecinnym instynktem wyczuwała, że potrzebuje pociechy, ale przez chwilę nic się nie odzywała.

Wkrótce jednak zaczęła mu stawiać szereg pytań na różne tematy.

— Wujciu Tiggie, czy myślisz, że gdy człowiek umiera, to tylko zasypia?

Tiggie drgnął, bo dziwnym zbiegiem okoliczności, chociaż nie potrafiłby określić swych myśli, biegły one w tym samym kierunku. Odpowiedział jej smutno:

— Nie wiem.

— Biblia tak mówi — rzekła Joyce.

— Niestety, nie czytam Biblii — rzekł Tiggie z całą prostotą.

— Ach, tak? — podniosła główkę i popatrzyła mu w oczy. — Czy nie wiesz nic o Bogu, wujciu Tiggie? — zapytała.

— Bardzo mało, prawie nic. — Urwał na chwilę, po czym z dziwną nadzieją w sercu, dodał: — A ty wiesz?

— Tak! — zaczęła powoli Joyce. — Wiem, że Bóg nas stworzył i nami się codziennie opiekuje i patrzy na nas, aby wiedzieć, czy jesteśmy tak dobrzy, jak tego pragnie. I, i słucha, wujciu Tiggie, gdy z czymś specjalnym się do Niego zwracamy.

— Doprawdy? — rzekł Tiggie.

— Możesz więc wszystko otrzymać, o co prosisz — ciągnęła dalej Joyce — jeżeli tylko wierzysz, że zostaniesz wysłuchany. Czy kiedy to próbowałeś, wujciu Tiggie?

— Nigdy.

— A ja próbowałam. I spełniło się.

— Co takiego? — zapytał Tiggie.

— Chodziło o Jenny Wren — wyjaśniła po prostu. — Tak chciałam siostrzyczkę. Smutno mi było z samymi braciszkami. Powiedziałam to mamusi, a ona rzekła: — Czemu się nie modlisz o siostrzyczkę? Zaczęłam się więc modlić, wujciu Tiggie, zupełnie sama, codziennie rano i wieczór, prócz mego zwykłego pacierza, który się prawie nie liczy, mówiłam Panu Bogu o swej prośbie i całe dni modliłam się, aż straciłam nadzieję, że zostanę wysłuchana, chociaż mamusia mi mówiła, abym dalej ufała. I rzeczywiście urodziła się Jenny. Naturalnie była bardzo malutka. Jeszcze jest dalej mała. Ale będzie odpowiednią siostrą, gdy trochę podrośnie. Nawet teraz bardzo przyjemnie jest bawić się z nią. I taka byłam zadowolona, że wytrzymałam — zakończyła Joyce z westchnieniem.

— To świadczy, że Pan Bóg słucha — dodała jeszcze — nawet czasem zanadto jest zajęty, aby móc zaraz załatwić naszą prośbę?

— Tak, naturalnie — przyznał Tiggie.

Patrzyła na niego ciągle w mroku, ślicznymi oczami dziecka pełnego wiary.

— I jeszcze coś innego Biblia mówi — rzekła łagodnie. — Gdy dwoje ludzi prosi o jedno i to samo, prędzej otrzymają, niż, gdy jedna osoba się modli. Uczyńmy więc to, wujciu Tiggie. Oboje, gdy zmówimy swój pacierz, prośmy Boga o zdrowie dla cioci Violi!

— Dobrze — zgodził się Tiggie. Głęboko był wzruszony, ale nie mógł zdobyć się na żadne inne słowa. Gdyby nawet ukazała się teraz przed nimi jasna droga do nieba, a dziewczynka zaproponowała, żeby razem na nią weszli, prawdopodobnie powiedziałby tylko: dobrze.

Joyce zeskoczyła z jego kolan. Twarzyczkę miała bardzo skupioną, tajemniczą i ufną.

— Musisz tylko cały czas pamiętać o tym, że zostaniesz wysłuchany, to bardzo ważne. Nie zapomnisz o tym, wujciu Tiggie?

— Nie zapomnę — rzekł. Podniosła główkę, aby go pocałować.

— Idę już. Czas się kłaść. Dobranoc, drogi wujciu Tiggie! Nie zapomnisz więc modlić się, prawda?

Uścisnął ją serdecznie, tuląc do niej swą twarz.

— Dobranoc, kochanie! — szepnął. — Tak, będę prosił Boga. Nie zapomnę o tym.

— W takim razie wszystko będzie dobrze — rzekła mała Joyce z pełną wiarą i ufnością.

— Jedno dmuchnięcie i koniec — mówił Spot.

Stał w małym pokoju, skąd roztaczał się widok na wybrzeże z wiecznymi skałami i bez końca uderzającymi falami. Doktor patrzył na znękaną twarz Tiggiego, który przyprowadził go przed kilkoma godzinami do chorej. Zwykła jego wesołość znikła, bardzo był poważny.

— Chcesz powiedzieć, iż myślisz, że umrze? — spytał Tiggie. Doktor zrobił przeczący gest.

— Nie powiedziałem tego. Ale trzeba się z wielu rzeczami liczyć, z jej wielkim przede wszystkim osłabieniem.

Wygląda, jak gdyby była

wygłodzona. Dosyć już była szczupła na „Pionierze”, ale teraz sama skóra i kości.

— Wiem, wiem. Spostrzegłem to od razu, gdy ją odnalazłem. Ale słuchaj Spot! Musisz ją uratować, skoro tu jesteś. Tak się naszukałem ciebie... — Urwał nagle i odwrócił się chcąc odejść.

Dłoń Spota spoczęła na jego ramieniu.

— Drogi przyjacielu, zaufaj mi, uczynię, co tylko w mej mocy

— rzekł. — Ale wiesz, że nie zawsze wszystko zależy od nas, lekarzy. Pacjent musi współdziałać. Mam zaś uczucie, może się mylę, że ona nie sprzeciwia się śmierci. I nie bardzo chce walczyć i żyć.

— Musisz ją ocalić — Tiggie powtórzył bezdźwięcznie.

Czuł już także zanik sił do walki i ogromne wyczerpanie. Patrzył bezmyślnie na morze, nie dbając o to, co Spot pomyśli widząc jego zdenerwowanie. Od czwartej rano nie spał dziś, a i w nocy ledwie oczy zmrużył.

Spot przemówił bardzo łagodnie.

— Uczynię wszystko, co możliwe. Obiecuję ci to, Tiggie. Tiggie uściśnął serdecznie rękę, która spoczywała na jego ramieniu.

— Dzięki. Nię będę ci przeszkadzał. Daj mi znać, gdy będę potrzebny, to wszystko, co chciałem jeszcze powiedzieć.

— Zjedzmy teraz śniadanie — namawiał Spot. — Helena powiadomi mnie, gdy będę potrzebny, a ta pielęgniarka, którą tu sprowadziłem, jest doskonała. Uważałem, że lepiej ją mieć, nie będzie bardzo kosztowna.

— Ach, zapłacę wszystko — zapewnił Tiggie niemal gniewnie.

— Zapomniałem o śniadaniu. Jedz sam, nie chcę niczego.

— Nie bądź niemądry! — rzekł Spot pobłaźliwie. — Nalej sobie grzecznie kawy i nie porozlewaj na obrus.

Wbrew woli, Tiggie usłuchał doktora i usiedli razem do stołu. Tiggie jadł mechanicznie, nie widząc nawet, co do ust wkłada. Po skończonym posiłku Spot odezwał się:

— Ładnie byłoby z twojej strony, gdybyś poszedł zobaczyć, co robią moi chłopcy. Ta bona jest dobra, ale nie bardzo mądra, a Helena dziś jest zanadto zajęta. Naturalnie nie daj się im nudzić — dodał usprawiedliwiając się. — Ale jeżeli możesz, to wypal w ich pobliżu fajkę, a ja dam ci znać, co się tu dzieje.

— Naturalnie, że pójdę — rzekł Tiggie.

Nabił i zapalił fajkę, chociaż nie miał na nią ochoty i wkrótce wybrał się na poszukiwanie malców.

Zastał ich na brzegu szukających z zapalem raków.

Łapali je i wpuszczali do dużego dołu zrobionego w piasku i otoczonego fortami.

Tiggie powitany został okrzykami radości i proszony, aby przyłączył się do zabawy. Czuł się moralnie zobowiązany do przyjęcia propozycji dzieci i wkrótce razem z nimi raczkował w pogoni za wymykającymi się rakami.

Harvey tymczasem siedział w oddali na skałach i obserwował przyjaciela wzrokiem pełnym litości.

Była godzina dwunasta, gdy zjawił się Spot.

Tiggie pierwszy go dostrzegł i porzucając zabawę pobiegł na spotkanie doktora. Dzieci chciały za nim podążyć, ale on stanowczo, choć łagodnie, zabronił im tego.

— Nie, nie was, lecz mnie szuka ojciec.

Spotkał się ze Spotem w połowie drogi między domkiem a wybrzeżem.

— Co więc? — spytał.

Spot spojrział na niego i wziął go za rękę.

— Nie jest dobrze — rzekł. — Wszystko jest rozpaczliwe, to czego się obawiałem... konieczna jest natychmiastowa operacja lub grozi zakażenie krwi.

— Co więc mam zrobić? — zapytał Tiggie śmiertelnie blady. — Czy chcesz drugiego lekarza?

Spot był także blady, ale spokojny i pewny siebie.

— Nie ma czasu na to. Telefonowałem, ale miejscowy doktor daleko stąd wyjechał, nie mam odwagi czekać.

Chciałbym, aby jej mąż był tutaj. Jest jednak brat, prawda? Czy mógłbyś go powiadomić?

— Mógłbym, ale nie ,zrobię tego.

— Nie zrobisz? — Spot spojrział na niego ,z niezadowoleniem.

— Słuchaj, to kwestia życia i śmierci. Powiedziałem ci.

— Tak, powiedziałaś mi. — Tiggie mówił przez zaciśnięte zęby.

— To ostatnia jednak rzecz, której by ona chciała, więc i ja nie chcę. Rozumiesz?

Spot zrozumiał dostatecznie, aby nie nalegać dłużej.

— Brutal z niego, co? Dobrze więc. Ty wiesz lepiej. Chodź na chwilę zobaczyć się z nią. Chce tego i wzywa cię. Tiggie nagle poczerwieniał.

— Czemu nie powiedziałaś mi tego przedtem? — zżymał się i pobiegł co tchu, nie czekając na odpowiedź.

Gdy parę chwil później Tiggie pochylał się nad łóżkiem Violi, był śmiertelnie blady, ale silił się na uśmiech.

— Co, moja maleńka dziewczynko? — pytając ujął jej drobną dłoń. Spojrzała na niego ogromnymi oczami.

— O, Tiggie — rzekła cicho. — Jestem taka szczęśliwa, że przyszedłeś. Chciałam cię zobaczyć. Zdaje mi się, że umrę i nie smucę się, naprawdę. Ale chciałam cię jeszcze zobaczyć, aby ci podziękować i prosić, żebyś... mnie pocałował na pożegnanie.

Ukląkł obok łóżka. Przytulił jej zimną dłoń do swej twarzy i pieścił ją gorąco starając się, by ją ogrzać.

— Nie bój się niczego moja maleńka — szeptał niewyraźnie

— jestem tutaj, przy tobie.

Oczy jej uśmiechały się do niego, spokojne i obce.

— Zawsze będę pamiętała o tobie — rzekła — wspomnisz o mnie także czasami?

— Zawsze będę myślał! — wybuchnął Tiggie gwałtownie. Viola wydała mimowolne westchnienie.

— Dobry byłeś, że wzięłeś mnie na swoją tratwę — szepnęła.

— Mam nadzieję, że nie za daleko odciągnęłam cię od wytkniętej drogi.

Głos jej załamał się i blade powieki, poprzecinane niebieskimi żyłkami, zasłoniły jej oczy. Tiggie spostrzegł, że atak bólu powrócił. Ściągnęła brwi panując nad cierpieniem.

— O, Boże — modlił się w myśli — nie pozwól, aby tak cierpiała! Ale atak wzmógł się. Klęczał bezsilny i widział, jak ona wije się

z bólu. Drugą rękę wyciągnęła do niego ściskając go bezwiednie.

Dostała drgawek, ale żaden krzyk nie wydobył się z jej piersi. Przyłożyła tylko twarz do poduszki, jak gdyby tłumiąc ból. Tiggie z rozpaczą rozglądał się wokoło. W sąsiednim pokoju robiono szybkie przygotowania do operacji. Drzwi były otwarte, ale oni byli sami.

Przybliżył swoją głowę do niej i z bólem, który przewyższał niemal jej cierpienie, wyrwały mu się słowa, z których nie zdawał sobie nawet sprawy:

— Nie mogę nic, nic zrobić — szeptał. — Ale tak cię Kocham. O, Boże! Tak cię Kocham!

Ściskające jej palce poruszyły się w jego dłoni; przez wiele okropnych minut oddychała ciężko w milczeniu.

Wreszcie po paroksyzmie bólów, który jemu wydawał się wiecznością, poruszyła lekko głowę tak, że mógł dojrzeć częściowo jej twarz. Oddech jej stał się spokojniejszy i uścisk rąk słabszy. Mówiła bardzo cicho, tak, że ledwie słyszał jej szept.

— Tak mi przykro!

— Przykro! — szepnął Tiggie. — Przykro! O, ty biedna, mała dziewczynko!

Poruszyła się znowu na poduszkach tak, że jej białe czoło dotknęło niemal jego ust. Nie powiedziała nic, ale jemu wydało się, że chciałaby, aby uczynił to, czego nie miała siły wyrazić. Pocałował więc delikatnie jej skroń...

Palce jej zacisnęły się ponownie na jego dłoni. Paroksyzm minął, ale od czasu do czasu wydawała jeszcze ciche westchnienia.

Tiggie mu wydawało się, że oddech jej jest coraz wolniejszy i ogarnął go okropny lęk. Siedział nieruchomo, wsłuchany w rytmiczne uderzenia morskich fal o brzeg, które jak uroczysty jakiś śpiew zdawały się napełniać słoneczną przestrzeń muzyką z innego świata.

I Tiggie znowu odniósł wrażenie, że sami we dwoje płyną po burzliwych wodach do nieznanego brzegu.

Tulił ciągle jej dłoń do swego policzka pełen lęku przed nowym atakiem.

I kiedy tak klęczał nieruchomo, wpatrzony w ukochaną, ona poruszyła się lekko i otworzyła oczy. Spojrzała na niego w milczeniu zamglonym wzrokiem, który starał mu się coś powiedzieć, czego nie mogła wyrazić słowami.

Aż wreszcie on przerwał milczenie, głaszcząc czule szczupłą, dziecinną niemal dłoń.

— Czujesz się trochę lepiej teraz?

Na twarzy jej pojawił się delikatny uśmiech, jak daleki promień słońca. Mówiła z wysiłkiem.

— Pragnęłabym móc ci powiedzieć, jak się czuję. Ale lepiej może, abyś nigdy się tego nie dowiedział. Dobry byłeś, bo powiedziałeś, że mnie kochasz.

— Kocham — zawołał. — Dziecko, kocham cię całym sercem! Zatrzymała oddech, wydając przeciągłe westchnienie.

— To takie podobne do ciebie — rzekła.

Nastało znowu milczenie. Leżała cicho, bardzo osłabiona. Znowu usłyszał jej głos bardzo cichy i błagalny.

— Tiggie — prosiła teraz — nie mów, nie mów nikomu o sobie i o mnie! Niech to zostanie tajemnicą! Nie sprawi ci to przykrości?

— Uczynię cokolwiek zechcesz — odpowiedział spokojnie — cokolwiek zechcesz.

Uśmiechnęła się do niego, opuszczając powoli powieki.

— Dziękuję ci, Tiggie — szepnęła. — Dziękuję. Do widzenia, mój drogi.

Odetchnęła krótko i jak gdyby zastygła.

Tiggie podniósł się bezszelestnie z klęczek i chciał zawołać kogoś, ale weszła właśnie pielęgniarka.

Zwrócił się do niej zrozpaczony i bezsilny:

— Proszę patrzeć! Czy chora... czy ona...

— Nie, nie — zapewniła go siostra — to tylko omdlenie. Wnet przyjdzie do siebie. Proszę mi ją teraz zostawić.

Wszystko będzie dobrze.

Tiggie w milczeniu cofnął się i wyszedł na palcach z pokoju.

* * *

Gdy Tiggie wyszedł od Violi, spotkał się z Harveyem, który zaprowadził go do gospody pod „Morskim Lwem”.

Gospodarz, Joe Penny, zadowolony z gości miał ochotę na gawędkę, ale Harvey bez ceremonii kazał mu odejść.

— Nie mamy ochoty na rozmowę. Niech pan zajmie się innymi gośćmi.

Joe oddalił się więc niechętnie, a Harvey nalegał, by Tiggie napił się trochę alkoholu.

— Uspokój się już, chłopcze — radził mu. — Dosyć przeszedłeś i teraz niczego więcej nie możesz już zrobić. Tiggie wytarł spocone czoło.

— Ona umrze, Harveyu — rzekł.

— Głupstwo! W tym wieku nie umiera się tak łatwo. Zresztą jest twój przyjaciel, Spot. On nie pozwoli jej na to.

— Spot nie może jej zatrzymać — odparł Tiggie.

Siedział pochylony z dłońmi założonymi na kolanach, ze wzrokiem spuszczonego. Harvey położył rękę na jego ramieniu.

— Opanuj się człowieku! Co za sens oczekiwać najgorszego. Napij się jeszcze trochę, to cię wzmocni.

Tiggie posłuchał. Teraz, gdy nie mógł już nic uczynić, odwaga jego zaczęła słabnąć.

Odczuwał gorycz zupełnej klęski. A klęska jego tym była cięższa, że to, o co walczył, stało się dla niego teraz stokroć cenniejszym. Tracąc Violę, tracił to, co miało dla niego największą wartość w życiu. Czekala go kompletna ruina.

Tylko Harvey pewny był, że wszystko skończy się dobrze. Tiggie chciał także wierzyć, ale za dużo widział, aby mógł siebie samego oszukiwać. Cień śmierci był za blisko, aby mógł go lekceważyć. Widział go na jej twarzy i w jej oczach. Pomimo więc optymizmu tak wytrwale mu narzucanego, nie mógł się pozbyć przekonania, że gdy następny raz spojrzy na tę twarz, oczy jej będą już na zawsze zamknięte.

Trunek wzmocnił jego nerwy, ale Tiggie wstał z uczuciem niepokoju. Niemożliwe usiedzieć na miejscu, gdy tam, w małym domku na skale, życie tak mu drogie wisi na włosku.

Skierował się ku drzwiom, a Harvey, dokończywszy jego kieliszek, podążył za nim.

Południowe słońce prażyło nieznośnie, ale Tiggie spostrzegł to dopiero wtedy, gdy szwagier wcisnął mu do ręki kapelusz. Nasuwając go na oczy szedł bezwiednie ku wybrzeżu. Wiedział, że. godziny, które teraz przeżyje, będą dla niego wiecznością.

Niewątpliwie zjawi się nareszcie Spot i powie mu bardzo delikatnie, że nastąpił koniec, a tymczasem czekać musi w napięciu na to, co nieuniknione.

Dzieci poszły na południowy posiłek i wybrzeże było puste. Tiggie zszedł nad wodę, która obmywała podnóza skał. Fajkę miał w kieszeni i mechanicznie po nią sięgnął, ale jej nie wyjął.

Stał nad samym brzegiem morza i patrzył na niebo. Wszystko wokoło wydawało się radosne i pełne życia, tylko on był niby żywy trup. Drażniła go piękna, słoneczna pogoda, Gdyby to był szary, ponury dzień, łatwiej byłoby znieść ten ból.

Tiggie zadowolony był, że Harvey mu nie towarzyszył, chociaż samotność teraz dokuczała mu nieznośnie. Wczoraj, stosując się do życzenia małej Joyce, usiłował się modlić, ale nie szło mu to. Modlitwę swoją porównał ze słabym pukaniem do żelaznych drzwi i po pewnym czasie stracił odwagę i przestał kołatać.

Dziś nie czuł się na siłach do ponownej próby. Wyczerpany był wysiłkiem, zmęczony okropnym przekonaniem, że nie zdoła niczego już zmienić.

Spacerował wzdłuż brzegu, o który uderzały rozpryskujące się fale. Był przypyływ morza i każda nowa fala silniejsza była od poprzedniej.

— Podobnie, jak w życiu — pomyślał. — Nic nie pomoże odpychanie tego, co jest nieuniknione! Nawet granitowe skały nie są wieczne. Z czasem ulegają starciu. Wszystko musi się zetrzeć pod naporem przytłaczającej siły przeznaczenia.

Tiggie usiadł na kamieniu. Znowu ręką sięgnął do kieszeni po fajkę i znowu jej nie wyciągnął.

Palenie pomogłoby mu na nerwy, ale teraz, gdy o n a umiera, nie będzie palił. Rozejrzał się wokoło, lecz domek, którego szukał wzrokiem, ukryty był za skałą. Tiggie pogрузzył się w myślach.

Umiera. A czym jest śmierć? Ciemnością, snem, zapomnieniem? Viola jednak powiedziała, że o nim nie zapomni nawet, gdy umrze. Pewny jest, że dotrzyma tej obietnicy.

— Ale wtedy nie będzie mnie już potrzebowała — mruknął głośno. — Gdy przerwie się cienka nić, która ją wiąże z ziemią, nie będę jej potrzebny!

Jej bezsilność właśnie i zależność od niego przywiązały go do niej.

Myśli Tiggiego pobiegły znowu wstecz. Widział ją stojącą samotnie przy burcie, bladą, nieśmiałą, wahającą się i tak potrzebującą pomocy! Widział ją, jak przygotowuje się do skoku w ciemną

pusztkę, chociaż tak okropnie bała się głębokich wód. Porwał ją znowu w wyobraźni w swe ramiona, odczuł jej bolesny szloch na swej piersi, poczuł się jedynym jej opiekunem na tym smutnym świecie. A tymczasem ona odlatywała znowu sama tam, dokąd nie mógł jej towarzyszyć. Nie żałowała nawet, że odchodzi i że on musi zostać sam pełen bólu i goryczy.

Jak głęboki był ten ból, on jeden tylko wiedział! Odczuwał go w tej chwili w całej pełni i w milczeniu zdał sobie sprawę, że nigdy już nie będzie takim, jakim był przedtem. Niezatarty ślad wielkiego smutku wyryje się na jego czole i życie straci dla niego swój powab na zawsze. Miłość, która go ogarnęła, była silniejsza od niego. Wszystko to, czego przedtem doświadczył, karłowaciało wobec tego potężnego uczucia. Ono bowiem przewyższało wszystko inne. Viola nie tylko wkradła się do jego serca dzięki swej łagodnej kobiecości, ale stała się celem jego życia, całkowicie nim zawładnęła. Stała się jego częścią. I teraz widział tylko jej obraz przed sobą i lękał się chwili, gdy ona zniknie na zawsze, bo życie jego stanie się pustką.

Tiggie podświadomie niemal zaczął spoglądać w przyszłość. Widział siebie powracającego do życia, które wiódł przed poznaniem Violi. Stał przed oczyma pułk, czuł wojskową, pełną dyscypliny atmosferę, widział wojskowe towarzystwo, swój świat jej zupełnie obcy. Czy więc choć na chwilę zapomni ją, gdy dawne otoczenie i życie go pochłoną? Czy chociaż na krótki przeciąg czasu potrafi stłumić ból w sercu i w normalnym życiu szukać zapomnienia? Czy potrafi swą pustkę wypełnić zajęciami i rozrywkami?

Wiedział dobrze, że to mu się nie uda.

Jego życie zupełnie się zmieniło. Świat stał się inny w jego oczach. Tiggie wiedział dobrze, że nigdy już nie będzie kochał tak samo, jak wiedział, że nigdy przedtem nie kochał. To coś, co jest nieskończenie wyższe i potężniejsze od namiętności, nie może nigdy zjawić się dwukrotnie w życiu ani u mężczyzny, ani u kobiety. W ogóle staje się udziałem niewielu tylko osób i nigdy nie przypuszczał, że on właśnie będzie się zaliczał do tych wybranych. Może do tej pory nie wierzył w miłość, a ona dana bywa tylko tym, którzy potrafią w nią uwierzyć. Z tą chwilą jednak, kiedy zdał sobie sprawę ze swego uczucia, nie mógł się go zaprzeczyć.

Miłość jest boskim cudem — nieśmiertelnym, wiecznym, tak, nieśmiertelnym, potężniejszym i silniejszym od śmierci!

Tiggie podniósł głowę jak gdyby nagle usłyszał jakiś wewnętrzny głos. Wyprostowany patrzył w słońce.

— Tak... tak — powtarzał, jak człowiek przemawiający do swego Boga: — Miłość potężniejsza jest od śmierci.

W chwilę później, gdy z pełnym spokojem opuszczał miejsce swych rozmyślań, dziewczynka wybiegła ku niemu.

Szedł na jej spotkanie opanowany, spokojny, pewny siebie.

— O, wujciu Tiggie — zawołała Joyce, zadyszana i zgrzana. — Ten drugi doktor przyjechał i ciebie potrzebują.

Tatuz jednak mówił, abys szedł spokojnie. Nie biegnij za prędko. Jest coś, w czym możesz pomóc.

Tiggie wziął dziewczynkę za rękę. Wydało mu się, że otrzymał odpowiedź na modlitwę, której nie był w stanie słowami wyrazić.

— Dzięki Bogu — wypowiedział z głębokim przejęciem. — Idę i pomogę.

** *

W progu domku Joyce pożegnała Tiggiego.

— Tatuz nie pozwolił mi wchodzić — rzekła.

Tiggie udał się więc sam do pokoju, gdzie czekał na niego Spot. Na twarzy jego malował się wyraz znużenia, chociaż uśmiechał się do przyjaciela.

— Ach, człowieku, mówili mi, że jesteś w pobliżu. Słuchaj! Zrobiłem operację i na ogół jestem zadowolony z wyniku. Ale ona bardzo jest wyczerpana. Miejscowy doktor jest u niej, nie zdaje mu się, aby zdołała przetrzymać.

Jedynie pozostała nam nadzieja. Chodź tutaj.

Zaciągnął Tiggiego do małego saloniku i patrzył na niego badawczo.

— Podobno jest coś w czym mogę pomóc — zaciekał się Tiggie.

— Tak, jest. — Spot patrzył na niego ciągle uważnie. — Ale muszę cię zbadać wcześniej i przekonać się, że się nadajesz do tego. Jeżeli nie, trzeba będzie postarać się o kogoś innego. Ja się nie nadaję. Wschód odbił się na moim organizmie.

135

— Czy sądzisz, że ja dałbym się usunąć i pozwolił tobie na to? — zawołał Tiggie z nagłym błyskiem w oczach.

— Wiem, znając ciebie, żebyś nie pozwolił—odpowiedział łagodnie lekarz. — Muszę przede wszystkim zobaczyć, Czy serce masz w porządku, chociaż przyznaję, że zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

— Dzięki za to! — rzekł Tiggie, zdejmując płaszcz.

Badanie trwało bardzo krótko. Spokojny i zrównoważony lekarz nie ukrywał, że mało jest czasu do stracenia, a Tiggie milcząco uległy, nie dawał powodu do zwłoki.

— Jesteś w porządku — brzmiał wyrok Spota — zdrowy, jak koń. Tiggie wstał i rozpiął kołnierzyk bez znaku podniecenia. Nigdy

w życiu nie był tak energiczny. Nowa siła wstąpiła w niego w ciągu tej długiej godziny czekania. Teraz, gdy kroczył wolno za Spotem, poruszał się ze spokojną pewnością człowieka, który zostawił wszelkie wątpliwości za sobą i był gotów przyjąć bez szemrania wszystko, cokolwiek życie mu przyniesie.

Nawet, gdy spojrzał znowu na śmiertelnie bladą, nieprzytomną twarz jedynej istoty na świecie, na której mu zależało, nie zawahał się i wiejski lekarz, który przyszedł z pomocą Spotowi, patrzył na niego z podziwem. Nie był przyzwyczajony do widoku takiego opanowania.

Tiggie usadowił się według wskazówek Spota i położył na chwilę swą dłoń na bladym czole kobiety, w której żyłach własna jego krew miała popłynąć. Tym prostym ruchem zdawał się ofiarować jej wszystko, co posiadał.

Według słów Spota, była to ostatnia deska ratunku, życie w chorej tliło się jedynie i każdej chwili mogło zgasnąć. Dopiero zaś po kilku godzinach wiadomym będzie, czy w ogóle wysiłek jego zostanie uwieńczony pomyślnym rezultatem.

Gdy Tiggie wyszedł z pokoju Violi, doktor kazał mu położyć się na otomanie i polecił przynieść dla niego odpowiedni posiłek.

Tiggie trochę wstrząśnięty, ale w zupełności opanowany, rzekł:

— Za mało krwi wzięłeś ode mnie. Powtórzmy to jeszcze raz. Lecz Spot położył dłoń na jego ramieniu.

— Drogi chłopcze, nie! Spełniłeś swoje, nikt by więcej nie uczynił. Trzeba teraz czekać. Ona jest młoda. Może przetrwa. W każdym razie zrobiło się wszystko, co możliwe, aby ją uratować.

— Chcesz powiedzieć, że teraz jej rola? — wypytywał Tiggie.
— Do pewnych granic tak — przyznał Spot. — Dużo zależy od woli, aby żyć, a ja nie jestem pewny, czy ona tego chce. Ale słuchaj, co z jej mężem? Powinno go się zawiadomić.
— O, daj spokój! — mruknął Tiggie zniecierpliwiony. — Trzymajmy się jednego na razie.
— No tak, ale przypuśćmy najgorsze — rzekł Spot. — Przypuśćmy, że ona.
Wzrok Tiggiego spotkał się nagle ze wzrokiem lekarza i Spot umilkł.
— Dajmy spokój z przypuszczeniami — stwierdził Turner. — Codo tego zaś, żeby go powiadamiać, nie uczyniłbym tego, gdybym mógł i nie mógłbym, gdybym chciał. Więcej nic już nie powiem.
— Ach, więc on nie jest jej wart — wnioskował Spot. — Wiesz, domyślałem się czegoś. Mówiłem ci, prawda?
— Zawsze wszystkiego domyślasz się — mruknął Tiggie. — Ale to nie należy do rzeczy, powiadam ci. Uzdrów ją... to najważniejsze.
— No, zgoda. — Spot zaniechał dalszej rozmowy na ten temat. — W każdym razie lwia część zasługi w jej ocaleniu będzie twoja. A teraz spokojnie odpocznij, bo silnie jesteś wyczerpany.
— Będę spokojny, ale obiecaj, że mnie zawołasz, gdy tylko nastąpi jakaś zmiana.
— Dobrze, o ile będziesz grzeczny.
Tiggie posłuchał więc Spota i postanowił leżeć, lecz nie spać, by być gotowym na każde wezwanie. Natura jednak okazała się silniejsza i gdy Spot później, po obiedzie, zajrzał przez okno, uśmiechnął się na widok kapitana Turnera pogrążonego w głębokim śnie. Doktor na palcach wrócił do żony.
— Śpi smacznie, jak dziecko. To dobrze mu robi.
— Biedny, kochany Tiggie! — szepnęła Helena macierzyńskim tonem. — Miał doprawdy ciężkie chwile. Nie słyszałeś pewnie, jak on i ten ekscentryczny jego szwagier dotarli do niej?
— Nie. Wiem tylko, że jej przyrodni brat jest niemożliwy i zdaje się mąż także.
— Ach, tak? Wiesz, zawsze byłam ciekawa jej rodzinnych stosunków.

— I ja także — rzekł Spot — ale moja ciekawość pod tym względem nie została zaspokojona.

Helena westchnęła.

— Biedaczka! Taka jest sama.

— Wcale nie! — odparł Spot. — Jest Tiggie. Helena westchnęła znowu.

— Tym gorzej! Wiesz, nie mogę przestać myśleć i bać się.

— Nic nie pomoże ani jedno, ani drugie — powiedział Spot. — Nie możesz im pomóc w niczym. Tiggie jest dżentelmenem. To jedyna jego obrona. Prędzej zginąłby, niż uczynił coś podłego. Biedaczka może umrzeć i kto wie, czy to nie byłoby najlepiej, ale niech Bóg dopomoże biednemu Tiggiemu.

— Obojgu im — dodała Helena.

Sen Tiggiego był głęboki i trwał do wieczora. W małym domku panowała cisza. Miejscowy lekarz odjechał, a dzieciom, prócz Joyce, nie wolno tu było wchodzić. Dziewczynka jednak wsunęła się cichutko, aby wypić z ojcem herbatkę.

Dumna była ze swego wyróżnienia i siedząc u boku Spota, nalewała herbatę i opowiadała o całodziennych zdarzeniach

Wszystkie dzieci były grzeczne, bardzo grzeczne, przez całe po-.-południe. A ten długi, chudy pan, przyjaciel wujcia Tiggiego, podszedł do nich na brzegu i spytał się jej, Joyce, ile ma lat i czy jest wróżką, czy też zwykłą istotą. Ona odpowiedziała mu, że wróżki nie mają dzieci, a w każdym razie Jenny Wren należy do niej. Lepiej więc będzie, odpowiedział, gdy pójdziemy popatrzeć, czy ktoś jej nie ukradł. Ale oczy mu się śmiały cały czas i wiedziała, że żartował. Potem podniósł z ziemi Jenny Wren, która pociągnęła go za brodę. I nic się nie gniewał za to, ale usiadł i pozwolił, aby dzieci zagrzebały go w piasku. Jack i Piotruś byli uradowani. Gdy skończyła się zabawa, opowiadał im znowu historię o elfach, które nazywał małymi człowieczkami i tyle o nich wiedział, że ona zaczęła przypuszczać, iż on sam do nich należy. Ma zabawnie zakrzywione brwi, które czynią go innym od wszystkich. Tatuś powinien naprawdę go zobaczyć. Może to czarodziej! Wygląda na takiego.

— Uważajcie więc, aby nie przemienił ciebie i Jenny Wren w białe myszki — ostrzegał Spot. — Będzie trzeba bowiem kupić dla was klatkę.

Muszę poznać się z tym panem i prosić, aby czary swoje zachował dla siebie! '

Siedzieli jeszcze chwilę, dopóki Spot nie wypalił swej fajki i nie oznajmił, że musi zajrzeć do pacjentki.

— Lepiej się ma, prawda? — szepnęła Joyce.

— Nie mogę jeszcze tego powiedzieć — odpowiedział lekarz.

— Będzie się miała jednak z pewnością lepiej — rzekła Joyce stanowczo. — Wujcio Tiggie wie o tym także i dlatego śpi tak spokojnie.

— Kto ci to powiedział, dziecko?

Nagła nieśmiałość ogarnęła Joyce. Potrząsnęła główką i odbiegła.

Późnym wieczorem, gdy mrok zapadł, Tiggie obudził się, przeciągnął i ziewnął. Nie wiedział z początku, gdzie się znajduje. Nagle poderwał się i potem usiadł znowu, bo poczuł niezwykle osłabienie.

— Na Jowisza, to dziwne! — wołał, patrząc przed siebie zdumiony.

— O, wujciu Tiggie, nareszcie się zbudziłeś? — odezwał się słaby głosik. — Tak się cieszę. Mamusia pozwoliła mi zostać, gdyż obiecałam, że ani się poruszę. A tu jest coś, co tatuś kazał ci zażyć, gdy tylko się zbudzisz.

— Dobrze nieba, dziecko! Jak długo spałem? Czy to już dzień jutrzejszy, czy następny?

Podeszła do niego po ciemku, trzymając w ręce bardzo ostrożnie szklanekę.

— Nie, wujciu, to jeszcze dzień dzisiejszy. Proszę wypić to prędko. Tiggie wziął szklaneczkę, ale nie przyłożył jej do ust. Przypomniał

sobie wszystko i siedział sekundę, obawiając się przemówić.

— Na miłość Boską, powiedz mi, jak ona się czuje? — spytał. Dziewczynka stała u jego boku. Położyła mu rączkę na kolanie.

— Ciocia Viola ma się lepiej!

— Jesteś pewna, jesteś pewna?

— Zupełnie pewna, wujciu Tiggie — mówiła Joyce z wielką powagą. — Tatuś jest zadowolony. Ale myśmy o tym wiedzieli, prawda?

— Czy tak? — rzekł Tiggie. Oparł głowę o poduszki czując, że serce jego stopniowo się uspokaja i ogarnia go błogie uczucie ulgi.

— Proszę cię, wypij to, wujciu — nalegała Joyce.

Podniósł szklaneczkę i wypróżniwszy ją do dna, oddał dziewczynce.

— My wiedzieliśmy o tym, wujciu Tiggie — powtórzyła poważnie. — Wiesz, żeśmy wiedzieli.

Otoczył ją ramieniem.

— Czy tatuś naprawdę sądzi, że będzie teraz zdrowa? — zapytał.

— Tak, słyszałam, gdy mówił mamusi, że polepszenie przeszło jego oczekiwania. Ale myśmy przecież wiedzieli o tym już wczoraj, wujciu. Wiedzieliśmy, że będzie zdrowa.

Czekała na jego odpowiedź i Tiggie odezwał się nareszcie po cichu, zawstydzony.

— Nie wiedziałem, Joyce. Nic nie pomogło. Staralem się, ale nie mogłem wierzyć. Bałem się zanadto.

— O, biedny wujciu Tiggie. — Pocałowała go. — Ale teraz widzisz, że wszystko poszło dobrze. Nie będziesz się już bał, obiecuj.

Ucałował jej główkę gorąco.

— Niech Bóg cię błogosławi, dziecko, tak, będę teraz dzielny. Wysunęła się z jego ramion.

— Idę już spać. Robi się późno. Dobranoc, wujciu. Ciocia Viola będzie zdrowa teraz.

Otworzyła po cichu drzwi i wyszła, a Tiggie pozostał przez chwilę w ciemności, bez ruchu. Potem wstał i spojrzał przez otwarte okno na morze. Wieczorna gwiazda błyszczała na niebie i panował wielki spokój.

Stał długo nieruchomo, aż wreszcie instynktownie podniósł rękę do czoła i zasalutował.

— Dzięki Ci Boże — rzekł po prostu i odwrócił się. Nie lubił używać wielu słów. Zresztą nic innego nie było do powiedzenia.

**** ***

Gdy Tiggie odwiedził znowu Violę, na bladej jej twarzy pojawiły się delikatne kolory i chociaż była tak osłabiona, że ledwie mogła podnieść głowę, powitała go uśmiechem.

Spot pozwolił mu dziesięć minut u niej pozostać, Tiggie w milczeniu więc usiadł przy łóżku chorej i ujmując drobną jej dłoń, gładził ją delikatnie. « Gdy zapytał, czy ma się lepiej, potwierdzająco skinęła głowa, a gdy odchodził, szepnęła:

139

— Dziękuję ci, żeś przyszedł, za wszystko coś uczynił, dziękuję serdecznie. Będę się starała nie robić ci już więcej kłopotu.

— Staraj się tylko być zdrowa, to najważniejsze — rzekł Tiggie. Delikatny jej uśmiech zdawał się zawierać w sobie obietnicę. Już od

miesiący nie czuł się tak szczęśliwy, jak teraz, kiedy wychodził z pokoju Violi.

Na wybrzeżu zastał Harveya, który wyrysował wielkie, magiczne koło naokoło sztalug i dzieciom nie pozwolił przekroczyć tej granicy. Pozdrowił Tiggiego swoim zwykłym uśmiechem.

— Halo! Byłeś u chorej? Wszystko idzie dobrze, słyszę. Tiggie usiadł przy nim na piasku.

— Tak, wszystko jest dobrze. Spot zadowolony, chociaż mówi, że rekonwalescencja będzie powolna.

— No, tego można się było spodziewać — oznajmił Harvey. — Ale teraz ona przyjdzie już do siebie. Właściwie dobrze, że się tak stało... dla ciebie, co?

— To kwestia zapatrywania — odparł Tiggie.

— Praktyczna. — W głosie Harveya brzmiała drwiąca nuta. — Wolisz chyba, że to ją udało się uratować.

— Nie wiem — rzekł Tiggie. — Nie powiedziała mi jeszcze, jakie są jej odczucia pod tym względem.

— Jeżeli jest rozsądną kobietą, to zadowolona jest również, że tak się stało — stwierdził Harvey. — A jeżeli nie jest zadowolona, to nią będzie. — Spojrzał na Tiggiego. — Sądzę, że rad jesteś, iż możesz trochę odetchnąć. Ostatnio miałeś gorączkowy czas.

— Tak, miło jest odetchnąć — przyznał Tiggie.

Harvey malował w dalszym ciągu, po czym odezwał się znowu.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, że sprowadziłeś mnie tutaj. To jest właśnie to, czego potrzebowałem!

— Cieszę się, że to słyszę.

— Tak, teraz mój rozum ocalony, wymaluję obraz, jakiego dotąd nie stworzyłem i będę znowu normalny.

— Kiedy zaczniesz? — pytał Tiggie.

— Już zacząłem. — Harvey pochylił się trochę, badając swoje płótno. — Teraz mozę się nad tym słońcem. Nie wyobrażasz sobie nawet, ale jakieś uczucie cnoty popycha mnie naprzód.

Tiggie wyjął tytoń z kieszeni, a Harvey pykał ze swojej fajeczki przez dłuższą chwilę w milczeniu. Wreszcie niespodzianie zmienił temat.

— Kiedy ogłosisz?

— Co? — pytał Tiggie.

Harvey z całą cierpliwością wyjaśnił:

— Swój ślub i śmierć tamtego. Sądzę, że nie mieli się jeszcze czasu domyśleć.

— Ach, to! — rzekł Tiggie. — Nie, nic nie powiedziałem jeszcze. Ona nie życzyła sobie. A każde jej życzenie ma być spełnione.

— Rozumiem — mówił Harvey pobłaźliwie. — Jak widzisz, robię teraz tylko tło, wydobywam efekty morza i nieba. Nie, nie trudź się i nie patrz. To do ciebie nie przemówi.

Tiggie włożył fajkę do ust i zapalił ją.

— Wiem, że nie jestem znawcą, ale pragnąłbym zobaczyć wykończony obraz. Niektóre twoje dzieła przemawiają do mnie. Przypominasz sobie to studium, kilka szkiców dziewczęcej główki, które mi pokazałeś? Nazwałeś to „Aquamarine”. Prosiłeś, abym cię przedstawił oryginałowi?

— Co łaskawie uczyniłeś — dodał Harvey.

— Więc?

— Wiedziałem, że jej szukasz — rzekł Harvey. — Dlatego trzymałem się w pobliżu. To było dla mnie tak żywotne, jak i dla ciebie, choć w odmienny sposób.

— Uprzejmie z twojej strony, że się tłumaczysz — wtrącił Tiggie. Harvey spojrzał drwiąco.

— Mój drogi, jestem prawy, ale nie bezinteresowny. Nie wierzę w bezinteresowność.

Tiggie chrząknął. Ten rodzaj rozmowy nie był w jego guście.

— Zdawało mi się, że mówimy o obrazie — rzekł po chwili. Harvey roześmiał się.

— O obrazie mego życia! No, nie będziesz o niego zazdrosny, co?

— Nie jestem nigdy zazdrosny — odparł Tiggie.

— Może nie miałaś dotąd powodu? — odezwał się Harvey. — To dziwne, wiesz, ale wadę tak jak chorobę, można nosić w sobie latami, rozwija się dopiero, gdy odpowiednia przychodzi chwila, wtedy budzisz się z wysypką w całej pełni.

Tiggie uśmiechnął się mimo woli.

— W każdym razie, dotąd u siebie nie widzę żadnych symptomów tej choroby. Mów dalej o obrazie.

Zgrabna ręka Harveya zatrzymała się w powietrzu. Wzrok miał skierowany na morze, które błyszczało w słońcu.

— Staram się uchwycić ten koloryt. Nazwiemy go aąamarine.

— Tak?

— No... — Harvey zawahał się trochę jak gdyby zmieszany. — Gdy będę miał odpowiednie tło, zacznę szukać tematu. Obraz nazwę: „Bezpieczna przystań”. Przedstawić będzie skałę podwodną, o którą biją bałwany i rozbity statek w oddali. Na pierwszy plan wysunę spokojne wody zatoki, nad którą czuwają skały. Do brzegu dobiegać będzie tratwa z pochylonym nad wiosłami mężczyzną i w tyle siedzącą kobietą.

— Dobrze nieba! — wykrzyknął niespodzianie Tiggie. Harvey spojrzał na niego!

— Co się stało?

— Nic. Czy to wszystko?

— Tego nie mogę ci powiedzieć. — Harvey mówił enigmatycznie. — Prawdopodobnie nie. Będzie pewnie wschód słońca, tam nad skałami. Obserwowałem je. Człowieku, wspaniałe... woda, statek, strumyk płynący! I w powietrzu wyczujesz nadchodzący poranek. Nie mogę tego wyrazić słowami i może nawet i na płótnie nie potrafię. Okropny chaos nocy minął, niebezpieczeństwo przeszło, straszna walka skończyła się. Będzie to pewien rodzaj Zmartwychwstania. Czy pojmujesz? To wydaje ci się banalne. Zaczekaj, zobaczysz!

— Wcale nie. Pojąłem twą myśl. Jest wielka — rzekł Tiggie przez zaciśnięte zęby.

— Tak sądzisz? — Harvey rzucił mu ponownie spojrzenie, ale tym razem bez cienia kpiny, kryło w sobie raczej coś z powagi i ufności dziecka. — Naprawdę tak uważasz? — spytał. — Muszę w każdym razie coś wielkiego stworzyć. Dzień i noc ta myśl mnie prześladowa i nie mogę się jej pozbyć. Szkoda nawet próbować. Mówiłem ci jak wówczas ze mną bywa.

— Wiem — odparł Tiggie. Harvey spojrzał znowu na płótno.

— Niewiele na razie widać! Ale zobaczysz. Będę pracował, jak koń. Chowam swe siły na później. Bez modelu nie mam zapалу. Ona będzie głównym punktem... wszystkim. Rozumiesz?

Tiggie skinął głową.

— Tak. To zdumiewające, że ty także o tym myślałeś. Odkąd ją spotkałem, widziałem w swej wyobraźni zawsze jeden obraz: tratwa... rozbity statek. Zaczęło się to na „Pionierze”. — Urwał nagle.

— Skończy się tutaj — rzekł Harvey z przekonaniem. — Nic dziwnego, że odczułem to samo. Nie jesteś bardzo skryty, wiesz, Tiggie. A ja jestem dość spostrzegawczy. A także — uśmiechnął się — przeszedłem sam niejedną burzę. — Uderzył fajką po stole i strącił z niej popiół. — Zawsze zakochuję się szalenie w swojej modelce — zauważył po chwili. — To nieunikniony rezultat pomieszania umysłu, spowodowanego natężeniem zdolności twórczych. Nie ma moralności w sztuce. Można się bez niej obejść. Zanadto jest męcząca, krępuje człowieka na każdym kroku. Mam nadzieję jednak, że ci to nie szkodzi.

— Tak długo, jak modelka nie kocha się w tobie — odpowiedział spokojnie Tiggie.

Harvey roześmiał się.

— Jedna kobieta tylko na świecie może to uczynić i zawsze na końcu do niej wracam do domu. No — wyciągnął się — sądzę, że dość dzisiaj namęczyłem się z tym przeklętym kolorytem, tym bardziej, że jutro wstanę rano, aby uchwycić wschód słońca. Napełnij mi fajkę i chodźmy.

** *

Prawie trzy tygodnie później wyniesiono Violę na słońce do ogrodu przed małym domkiem, skąd roztaczał się widok na błękitną zatokę.

Byłaby okazja do wielkiej radości, ale Spot surowo zakazał wszelkich wzruszeń i czuwał nad chorą troskliwie, nie pozwalając nikomu, prócz Tiggie, przystąpić do niej. Tiggie wolno było codziennie widzieć się z Violą. Przyzwyczyił się więc siadywać przy jej łóżku z gazetą w ręku. Od czasu do czasu tylko robił jakąś zwykłą uwagę na temat tego, co czytał, ale nie rozmawiał wcale. Lubiła obserwować go, odpowiadając w milczeniu uśmiechem na jego słowa. Zdawała sobie sprawę,

że wszystko jest bez znaczenia, prócz najważniejszego zadania, aby powrócić do sił.

Szło to bardzo powoli, tak powoli, że postęp był prawie niewidoczny. Chwilami nawet Spot czuł się poważnie zaniepokojony i tylko żona jego o tym wiedziała. Wyprowadzenie chorej na słońce miało być ostatnią próbą. Viola wolałaby zostać w swoim małym, słonecznym pokoiku z pochyłym sufitem i białymi różami, które pięły się przed jej oknem, ale Spot, pomimo całej swej łagodności, umiał być stanowczy i tym razem przełamał jej niechęć.

— Nikt nie będzie pani niepokoił — zapewnił — chcę, aby poddała się pani działaniom promieni słonecznych.

Wyniesiemy panią tak, jak pani jest. Helena zaścielił pani łóżko, a im mniej ubrania, tym lepiej.

Viola poddała się więc rozkazowi i gdy Tiggie do niej przyszedł, zastał ją leżącą na słońcu w ogrodzie. Przezroczyście ręce miała wyciągnięte na kołdrze i pierwsze uczucie radości na jej widok zostało wnet stłumione przerażeniem. W pełnym świetle zobaczył dopiero, jakie ślady zostawiła choroba. Siłą woli ukrył jednak swoje wrażenie pod zwykłą uwagą.

— No, tego było ci potrzeba właśnie. To lepsze od wszystkich lekarstw. Odpowiedziała mu z uśmiechem, który zawsze krył w sobie jakiś ból.

— Teraz dokażę cudów — rzekła niemal szeptem.

Usiadł na krześle, rozkładając jak zwykle gazetę, ale patrzył tylko na druk, nie rozumiejąc, co czyta. Widok jej, leżącej w promieniach słońca, wstrząsnął nim do głębi. Jego własna siła wydała mu się potworna. Po chwili odwrócił głowę i w milczeniu spojrzął na ukochaną.

Oczy miała zamknięte, ale jak gdyby odczuła jego wzrok, bo otworzyła je natychmiast.

Tiggie mimo woli więc odezwał się:

— Czy bardzo źle się czujesz?

Zawahała się. Widział, jak westchnęła, aż wreszcie usłyszał jej odpowiedź:

— Sądzę, że powinnam być zadowolona, iż w ogóle jestem na świecie.

— Ach, nie mów w ten sposób — prosił Tiggie i robił sobie wyrzuty, że poruszając ten temat, nadużył zaufania Spota. — Wiesz dobrze, że uczyniłbym wszystko, abyś znowu wróciła do sił i zdrowia.

Oczy jej uśmiechnęły się znowu do niego, ale przez łzy.

— Tak. I ja starałam się także o to — odrzekła. — Ale teraz czasami... żałuję. Byłbyś się mnie pozbył.

— Co? — rzekł Tiggie. Pochylił się naprzód, pchany uczuciem, nad którym nie mógł zapanować. — Naprawdę tak sądzisz? Chyba nie, Violo? Nie możesz tak myśleć!

Usta jej zadrżały. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Szybko wyprostował się i znowu położył swoją rękę na jej dłoni, która była zimna, jak lód.

— No, nie martw się, wszystko będzie dobrze. Ale nie powinnaś tego rodzaju rzeczy mówić. Nie mogę tego słuchać. Ręka jej lekko poruszyła się w jego dłoni, ale nie starała się uwolnić z jego uścisku. Viola odzyskała głos i chociaż był cichy, brzmiał stanowczo.

— Taki dobry jesteś, wiem, że o mnie dbasz, nie chciałam cię dotknąć. Tylko, że teraz, gdy powód przestał istnieć, teraz gdy nie potrzeba już myśleć o przyszłości, wydaje mi się, że nie powinienes się mną zajmować. Widzisz, będę zawsze dla ciebie tylko ciężarem.

Łzy spływały jej po policzkach, a Tiggie wyciągnął chusteczkę i delikatnie wytarł. Sam był silnie wzruszony i trudno mu przychodziło stłumić emocje.

— Nie płacz, dziecko. Nigdy nie byłem w stanie powiedzieć ci, jak bardzo jesteś dla mnie droga. Myślałem, że domyślisz się sama.

Starła się uśmiechnąć widząc jego smutek.

— Ach, wiem, wiem. Ale tak wygląda, jak gdybyśmy wzięli ślub pod fałszywymi pozorami. I to mnie gnębi.

— Ach, mówmy rozsądnie! — zawołał Tiggie. — Jestem prędko, szorstki i trudno mi przychodzi wypowiedzieć się, ale wkrótce poznasz mnie lepiej i wtedy zrozumiesz.

— Nie sądzisz więc, że to wszystko powinno zostać unieważnione?

— pytała cicho. — Proszę cię, nie gniewaj się, że to mówię. Widzisz jednak, że powód... do tego... przestał teraz istnieć.

— Moja droga — odpowiedział Tiggie spokojnie, ale z naciskiem

— powód jest teraz większy niż myślisz. Jeżeli nie mogę przekonać cię teraz, zrobię to później. Przestań się tylko martwić i ufaj mi.

— Jesteś bardzo dobry — rzekła z westchnieniem. — Nie wiem dlaczego. Nie mogę tego zrozumieć.

— Mniejsza o to teraz! — mówił Tiggie łagodnie. — Ale jestem twoim mężem, pamiętaj, to mój obowiązek opiekować się tobą.

Oczy jej rozszerzyły się przy tych słowach.

— Nie mów nic nikomu! — szepnęła. — Nie potrzebujemy teraz rozgłaszać tego, prawda?

— Nie, jeszcze nie — odparł Tiggie. — Mamy czas. Ale nie zapomnij, że należysz do mnie! Nigdy o tym nie zapomnij!

Mówił poważnie i znowu ręka jej drgnęła w jego dłoni, a jemu serce zabiło mocno. — Ona jest taka delikatna, tak bezsilna, tak zależna ode mnie — pomyślał.

Gdy spuściła powoli powieki, puścił jej dłoń. Potem rozłożył gazetę, lecz przez dłuższy czas patrzył tylko znowu na szpalty wcale ich nie czytając.

Słowa Violi poruszyły go do głębi. Biedactwo toruje sobie na nowo drogę do życia, które tak źle ją potraktowało! Cóż dziwnego, że lęka się nowych węzłów teraz, gdy istotna potrzeba znikła. Jest jak niewolnik, który uciekł przed niewolą i boi się, że nowe jarzmo zostanie mu włożone na obolałe ramiona. Pewnym był teraz, że gdyby nie ta gwałtowna potrzeba, Viola nie zgodziłaby się nigdy połączyć swojego życia z jego życiem. Zmuszona była do tego ciężkimi okolicznościami i teraz, gdyby tylko miała środki, uciekłaby znowu.

Rzucił na nią ukradkowe spojrzenie i zobaczył, że śpi. Nawet w chwilach wypoczynku linie bólu i cierpienia zarysowywały się na jej twarzy. Robiła wrażenie samotnego dziecka, które nie zaznało nigdy radości dzieciństwa i w którego sercu tylko smutek gościł.

— Nie kocha mnie, naturalnie — powtarzał sobie. — Lubi jedynie, jak przyjaciela i to chce mi dać do zrozumienia. Nie potrzebuje się jednak niczego lękać. Może będę mógł jej to wytłumaczyć następnym razem.

Tiggie zagłębił się w czytaniu. Nie wiedział, że Viola, wkrótce otworzyła oczy i zatrzymała swój wzrok na nim. Że w tym wzroku kryła się niezaspokojona tęsknota i że spuściła wreszcie powieki tylko dla tego, aby powstrzymać cisnące się łzy.

Gdy czas wizyty zbliżał się do końca, Tiggie pożegnał Violę uśmiechem i uściskiem ręki, następnie udał się do Spota, który na progu dawał mu jakieś znaki.

— Co sądzisz o niej? — zapytał Tiggie niespokojnie, gdy weszli razem do mieszkania.

— Co sądzę? — rzekł Spot. — To samo, co zawsze. Moje zdanie nie zmienia się z dnia na dzień.

— Co więc? Mogę wiedzieć — odezwał się Tiggie. — Czy będzie zdrowa?

— Ach, mój drogi! — westchnął Spot — po co mnie o to pytać? Czy mam się posługiwać zwykłymi frazesami?

Lepiej jest, niż było. Powiem ci zresztą swoje zdanie, jeżeli chcesz. Zdaje mi się, że bardzo mało w niej zostało podniety do życia. Gdyby jej mąż wrócił do kraju — urwał i patrzył w zamyśleniu na Tiggiego — to co innego.

— Dobrze nieba! — wykrzyknął Tiggie mimo woli. — Naprawdę wyobrażasz sobie, że ona chciałaby tego łotra? Spot pogładził z powagą brodę.

— Mam wrażenie, że ona chce kogoś — odrzekł.

— No, ale — Tiggie mówił niewyraźnie, drżał z nerwowego podniecenia — ale to niemożliwe. Gdyby on jutro umarł ani jednej łzy nie uroniłaby.

— Może w tym właśnie kłopot — tłumaczył Spot. Tiggie spojrział na niego dziko, a potem rzucił:

— Nie wiem, co chcesz powiedzieć!

Spot nie próbował dalej tłumaczyć. Znadto lubił Tiggiego, aby go gniewać. Po chwili rzekł spokojnie.

— No, nie należę to tych, którzy lubią tracić czas na próżne domysły. Robimy, jak się da najlepiej. Mam nadzieję, że słońce zrobi swoje. Zobaczymy.

— Druga transfuzja nie jest możliwa, co? — bąknął Tiggie.

— Wykluczone — odparł Spot. — Nie można powtarzać takich rzeczy. Zresztą teraz nie tego potrzeba. Natura musi swoje zrobić. Czasami czyni cuda.

— Mam nadzieję więc, że i tym razem okaże się miłościwa.

— Ale nie można jej nigdy przyspieszać — ostrzegał Spot. — Lekarstwem jej jest cierpliwość, nic innego.

— Ach! — mruknął Tiggie — jak długo? — Potem niespodziewanie uśmiechnął się do Spota. — Gderam dzisiaj. Nic sobie z tego nie rób.

— Jestem do tego przyzwyczajony — odpowiedział pobłaźliwie doktor.

**** ***

Jak ciemność poprzedza świt, tak samo i w życiu często bywa, że gdy nadzieja gaśnie, szczęśliwy okres się zbliża. Od tego dnia, gdy Spot kazał wynieść swoją pacjentkę na słońce, Viola zaczęła przychodzić do siebie. Powoli, niepostrzeżenie prawie, ale nabierała nowych sił. Nie śmiano z początku w to uwierzyć i powtarzano sobie tylko tyle, że nie jest jej gorzej, ale gdy dni słoneczne mijały, widocznym stało się, że Viola wraca do zdrowia. Dzieci jedno po drugim przychodziły ją odwiedzać i chociaż sama mało mówiła, cieszyły ją ich wizyty i nie czuła się zmęczona. Przezroczyista bladość, która tak przeraziła Tiggiego, stopniowo znikwała. Cienie pod oczyma nie były już tak głębokie. Uśmiechała się coraz częściej i oczy jej także od czasu do czasu rzucały radosne błyski. Nie zamienili ze sobą poufniejszych słów w owych dniach, unikając za wzajemną zgodą takiego tematu, który by był powodem jej podniecenia. Rozmowę ich mógł słyszeć każdy i nie doszukałby się w niej niczego prócz obojętnej, przyjacielskiej wymiany myśli. Ale Tiggie coraz więcej czasu spędzał u boku Violi i nikt nie pytał go, dlaczego to czyni. Że jego obecność sprawiała jej przyjemność, to było widoczne i Spot, widząc to, nie zabraniał tych wizyt. Gdy pewnego dnia Harvey zapytał, czy może mu pogratulować lekarskiego triumfu, doktor nie cofnął się przed pochwałą.

— Z pewnością mniej jest teraz powodu do obaw — rzekł — i nie potrzebujemy lękać się już nagłego osłabienia*.

— Chciałem i jej pogratulować — oznajmił Harvey. — Znamy się.

— Tylko niech pan za długo nie siedzi — odparł lekarz.

— Będę ostrożny — rzekł Harvey i oddalił się natychmiast, aby złożyć uszanowanie chorej.

Viola leżała w kącie małego ogródka w rozpadlinie skały, którą uważała za swoją własność. Tiggie przebywał u niej właśnie i teraz

poszedł nad morze kąpać się z dziećmi. Viola spostrzegła nadchodzącego gościa w chwili, gdy zatrzymał się przed furtką.

Stał z odkrytą głową, spoglądając na nią ognistym wzrokiem, który nie uszedł uwagi Spota, chociaż gest jakim prosił o pozwolenie zbliżenia się, był pełen rycerskości.

W odpowiedzi Viola zrobiła delikatny ruch ręką i wtedy artysta otworzył furtkę.

— Mam pozwolenie od doktora — wyjaśnił Harvey. — Lepiej się już pani ma?

Charakterystyczną cechą u niego było, że nie tracił czasu na powitanie. Nawet nie ujął jej ręki. Konwencjonalność nie przemawiała do Harveya.

— Tak, dziękuję. Mam się lepiej — odrzekła Viola lekko zdenerwowana.

— Cieszę się z tego — odpowiedział Harvey. — Mogę usiąść? Wziął krzesło, które niedawno zajmował Tiggie i rozmyślnie usiadł

w ten sposób, że morze i słońce miał za plecami, a tylko jej twarz przed sobą.

— Przyjemnie jest patrzeć na panią z bliska — rzekł. — Patrzenie przez lornetę polową z oddali nie daje takiego zadowolenia?

— Ach, pan mnie obserwował? — pytała Viola. — Ciekawa jestem dlaczego? - v

— Chciałem panią widzieć — odparł Harvey — jest pani śliczna.

— Ach! Proszę tak nie mówić — wzdrygnęła się Viola. Harvey ściągnął brwi.

— Przepraszam, ale czemu? Z pewnością nie zależy pani na tym, czy jesteś ładna w moich oczach czy też nie. \ Delikatny rumieniec zakwitł na jej policzkach, a Harvey pochylił się naprzód obserwując ją bacznie.

— To nie dlatego — rzekła powoli. — Wiem dobrze, podobanie jest określonym działaniem. Pewne typy — mówiła smutnie ze wzrokiem spuszczonego — działają tylko na pewnych ludzi..

— Tak, to jasne — przyznał Harvey. — Może to nie ucieszy panią, gdy się dowiesz, że działasz na mnie, ale nie widzę powodu, aby to mogło coś pani szkodzić. Jestem zupełnie nieszkodliwym wariatem... przynaj-^vmniej tak mi się zdaje.

— Ach! — głos jej był bardzo cichy. — Gdybym o tym wiedziała dawniej!

Harvey skinął potakująco głową.

— Pamiętam. Bała się mnie pani. No, nie winię pani. Byłem w mniejszym lub większym stopniu rozbitkiem w tych czasach. Ale nie chciałem pani zrobić nic złego.

— Wiem — rzekła. — Teraz wiem. ' — Skąd? — zapytał z ciekawości.

— Dzięki Tiggiewi, bo jest pan jego przyjacielem. — Odpowiedziała po prostu.

— O! — mruzczał Harvey. — Aureola! Wątpię, czy potrafię ją zachować. Ale postaram się. Dobry chłopak z niego, chociaż ostatni, o którym mogłem przypuścić, że panią zajmie. Straszny osioł ten Tiggie! Niech pani spojrzy, jak się bawi z bachorami.

Viola patrzyła na daleki obraz z uśmiechem na ustach.

— Tak — mówił dalej Harvey — określiłbym go jako bardzo dobrego, przeciętnego poczcivca. Nic w nim nie ma wielkiego, ale....

— Nie wielki? — szepnęła Viola i oczy jej zabłyśły ogniem. — Pan mówi, że on nie jest wielki? — powiedziała powoli, ważąc każde słowo. — To pan go nie zna!

Harvey zachichotał cicho, jakby z własnego dowcipu.

— No, niech mi pani powie więc, co o nim myśli, jeżeli to panią nie zmęczy! Chciałbym bardzo wiedzieć.

— Co myślę? — ogień zgasł w jej oczach, patrzyła na błyszczące morze z wyrazem, który krył w sobie zadumę. A Tiggie w tej chwili zanurzał się w głębokiej wodzie, zostawiwszy dzieci na brzegu. Płynął na wznak w promieniach słońca, bijąc nogami o wodę, jak duży dzieciak w kąpieli.

— Niech pani patrzy na niego! — zawołał Harvey. — Czy można sobie wyobrazić coś bardziej śmiesznego?

Gdy to mówił, utkwił wzrok w delikatnie zaróżowionej twarzy rekonwalescentki. A ona uśmiechała się dziwnie uduchowiona i wzruszona tym, co widziała.

— Moje zdanie o nim? — powtórzyła znowu. — To najwspanialszy, największy człowiek jakiego znałam. Coś w nim jest, nie wiem co, czego nie widziałam u nikogo. Zdaje mi się, że to coś... bos-

kiego. — Urwała, oddychając szybko, jak gdyby trudno jej było znaleźć dalsze słowa.

— Tak? tak? — rzekł Harvey, patrząc na nią zgłodniałym wzrokiem. Przestał drwić. Jakiś wpływ podobny do narkotyku zawładnął nim zupełnie. — Ciekaw jestem, co nakazuje pani tak myśleć o nim? Czy on jest naprawdę inny? Czy też tylko pani widzi go w innym świetle?

Viola odpowiedziała powoli, jakby oczarowana, spoglądając na oddaloną postać.

— Nie wiem — mówiła dalej — ale nikt inny prócz mnie nie ma sposobności widzieć go tak, jak ja. Może tylko ja widzę całą dobroć jego duszy.

— To znaczy, że pani go kocha — rzekł Harvey spokojnie, bacznie ją obserwując.

Silny rumieniec przeistoczył ją nagleń Znużenie i smutek znikły. Uniosła się na posłaniu i spoglądając w górę zdawała się widzieć jakieś zjawisko.

A malarz spojrzął przed siebie z na pół stłumionym okrzykiem, jak gdyby i on coś zobaczył.

Viola powoli przeniosła swe spojrzenie w dół. Widziała znowu błyszczące wody zatoki, po których Tiggie teraz płynął do brzegu. Opadła na poduszki wyczerpana i z uśmiechem na drżących wargach szepnęła kilka słów, które tylko Harvey mógł zrozumieć: - — Jakie to dziwne, że można iść przez życie nie widząc jego piękna.

**** ***

Cudowna pogoda zaczynała się psuć. Joe Penny wróżył burzę.

Tiggie słuchał tych przepowiedni z uprzejmością, ale bez wielkiego przekonania, bo słońce ślicznie świeciło, pomimo że niebo było gdzieniegdzie zachmurzone.

Pewnego ranka jednak, w dwa dni po wizycie Harveya u Violi, zmiana w powietrzu stała się widoczna i gdy Spot pozostawił Violę w ogrodzie, to dokładne dał wskazówki Helenie, aby uważała na zachmurzenie. Sam bowiem odwoził na stację pielęgniarkę, która

wracała do Londynu, gdyż rekonwalescentka mogła już polegać na swoich własnych siłach.

Tiggie, jak zwykle, u jej boku czytał gazetę. Rozmawiali swoim zwyczajem o wszystkim w ogóle, a o niczym w szczególności. Czas spędzali razem w zupełnej harmonii i zadowoleniu. Viola zauważyła, nie po raz pierwszy zresztą, że bardzo jest leniwa, ale Tiggie natychmiast sprostował, że Spot przepisał jej lenistwo. I chociaż nie wyznali sobie tego wzajemnie, oboje cenili sobie te spokojne, letnie dni. Tylko ci, którzy przeżyli burzę, umieją ocenić takie chwile. Nie mając niczego do roboty doznawali uczucia, że znaleźli wreszcie czasowe miejsce wypoczynku i wytchnienia.

Nie rozmawiali o wzajemnym uczuciu błogości. Może uważali, że za świeże jest ono i za ulotne, aby go wyrażać słowami. Nie mówili także o przyszłości. Czasu było dosyć na to. — Najpierw staraj się być zdrowa!

— brzmiała zawsze uwaga Tiggiego i za nic w świecie nie zaczęłby dyskusji, która by mogła spowodować zwłokę w rekonwalescencji Violi. Zdawał sobie bowiem dobrze sprawę, że spokój przyczyniał się do uzdrowienia tak jej ciała, jak i ducha. Gdy czytał w jej oczach zadowolenie, którym go witała co dzień na dzień dobry, odczuwał najwyższą radość, jaką mu życie dać mogło i za każdym ich widzeniem coraz więcej był upewniony o powrocie jej do zdrowia. Sam fakt zresztą, że Spot wybrał się na całodzienną wycieczkę był najoczywistszym tego dowodem. Doktor wziął ze sobą Jacka i wędkę na ryby. Ich wyjazd więc i nieobecność Harveya, który od dwóch dni zniknął ustawicznie, przyczyniły się do tego, że panowała niezwykła cisza. Dwoje najmłodszych dzieci bawiło się na wybrzeżu, a Joyce pomagała matce w czynnościach gospodarskich.

Zjawiała się niebawem ze szklanką mleka dla Violi i cichutko szczebiotała, gdy chora sączyła napój.

— Mamusia nie chce nam pozwolić kąpać się dzisiaj — mówiła.

— Myśli, że będzie burza.

— Nie dziwię się, bo okaże się, że ma słuszość — odparł Tiggie.

— Może byś się więc wykąpał, Tiggie, jeszcze przed burzą — wtrąciła Viola.

— Nie wiem... Może. — Spojrzał na zegarek przeciągając się leniwie. — Mam się moczyć dzisiaj, Joyce?

— Powinieneś — odpowiedziała poważnie dziewczynka. — Bardzo jest ciepło.

Roześmiał się.

— Biegnij więc i powiedz mamie, że jeżeli ci pozwoli, zaopiekuję się tobą i przyprowadzę cię całą i zdrową z powrotem.

Oczy Joyce zabłyszczały z radości.

— Pójdę się zapytać — rzekła, biorąc próżną szklanekę.

— Jak to ładnie z twojej strony — odezwała się Viola, gdy dziewczynka znikła im z oczu — to takie dobre dziecko.

— Robi mi to przyjemność, żadna więc zasługa — odparł Tiggie. Uśmiechnęła się.

— Właśnie o to chodzi, że sprawia ci to zawsze przyjemność, gdy robisz coś dobrego.

— O! — bąknął Tiggie, zakrywając się dziennikiem.

— A jeżeli nie robi ci to przyjemności, to udajesz, że masz w tym satysfakcję — upierała się Viola przy swoim. — Wybacz, że wprowadzam cię w zakłopotanie, ale widzisz... to prawda.

— Przez jakie okulary patrzysz? — zapytał Tiggie zaczerwieniony.

— Przez żadne — odpowiedziała spokojnie. — Patrę tylko oczami, które widzą.

Tiggie potrząsnął przecząco głową.

— Nie wiem czy można wierzyć twoim oczom. Nie widziałas mnie jeszcze w chwilach, kiedy ulegam egoizmowi. Kiedyś poznasz mnie lepiej.

Oczy jej uśmiechały się do niego, chociaż coś przysłaniało ich spojrzenie.

— Ciekawa jestem rzeczywiście.

Joyce przerwała ich rozmowę wołając radośnie z okna.

— Dobrze wujciu Tiggie, mamusia pozwala. Rozbieram się już.

— Zgoda! Idę zrobić to samo. Spotkamy się na wybrzeżu. Wstał, ale zatrzymał się jeszcze sekundę. Dziwna nieśmiałość

ogarnęła go, gdy zwrócił się do Violi przyciszonym głosem:

— Mam nadzieję, że nie będziesz trwała w tym przekonaniu, że jestem inny, niż zwykły śmiertelnik. Proszę cię, nie myśl tak.

Nie patrzył na nią, gdy wykrztusił tę prośbę, która była tak poważna, że kiedy w odpowiedzi usłyszał delikatny śmiech, zdziwiony

był, a nawet trochę zmartwiony. Za chwilę jednak, gdy dłoń jej dotknęła jego ręki, poczuł jedynie szalony przyływ uczucia, który odebrał mu wprost mowę. Uścisnął mocno drobną dłoń panując nad sobą całą siłą. I wtedy usłyszał głos jej pełen westchnienia.

— Drogi, drogi Tiggie, nie zapominaj, że nikt nie zna cię tak, jak ja! Tak. Musisz iść teraz, Joyce będzie czekała. Wysunęła rękę z jego uścisku i wiedział, że z jakiegoś powodu nie chce go zatrzymać. Oddalił się więc w milczeniu i poszedł do gospody po strój kąpielowy.

W zimnej wodzie odzyskał panowanie nad sobą i wmawiał sobie, że to wszystko było żartem, który on potraktował serio. Zupełnie naturalne, że chciała się nim pobawić trochę i on powinien więcej już o tym nie myśleć. Przy jego szlachetności jednak przekonanie, że jest idealizowany, było nie do zniesienia. W jego mniemaniu on najmniej na to zasługiwał. To, co zrobił, zrobił z miłości dla niej. Zmuszony był do tego i nie mógł postąpić inaczej. Ale nie powie jej o tym, bo to mogłoby ją zmartwić, czułaby się jeszcze bardziej wobec niego dłużna. Możliwe nawet, że już stara się swą wdzięczność upodobnić do miłości, odpłacając mu w ten sposób za jego uczucie.

Ta myśl gnębiła Tiggiego, odepchnął ją więc i, udając delfina, bawił się z Joyce.

Gdy orzeźwili się wodą, wyszli na brzeg i zatrzymali się obok skały, skąd Joyce spoglądając w tym kierunku, którego Tiggie unikał zauważyła:

— Wujciu, Puck jest w naszym ogrodzie z ciocią Violą. Co on robi? Wzrok Tiggiego w jednej chwili podążył we wskazanym kierunku.

Nazwa ta nie była mu obca, Harvey sam wynalazł ją dla siebie przed tygodniem. Zobaczył go teraz siedzącego przed sztalugami, które ustawione były o parę kroków od Violi. Cała jego postać wyrażała napięcie.

— On maluje ciocię Violę — zawołała Joyce. — I jak śmiesznie wygląda.

— Tak! — rzekł Tiggie. — No chodźmy się ubrać.

Patrzył jeszcze chwilę za dziewczynką, która biegła do domu, a potem sam udał się w stronę gospody. Ogarnęło go dziwne jakieś uczucie, którego nie mógł sobie wytłumaczyć. Niepokoiło go zachowanie Harveya tak niepodobne do jego zwykłej gnuśności.

Tiggie po południu nie miał zwyczaju chodzić do Violi, która do czwartej tylko leżała w ogrodzie. Ale, gdy zjadł lunch i zapalił fajkę, wrócił na wybrzeże, skąd mógł widzieć skrawek ogrodu Spota i spoczywającą tam Violę. Z przykrością jednak przekonał się, że ogród jest opustoszały i otomana pusta.

Dłuższą chwilę błąkał się po wybrzeżu, skupiając swe myśli ciągle około osoby Harveya i dziwnego wrażenia, jakie jego obecność wywarła na dziewczynce i na nim.

— Viola chciała go mieć przy sobie? Czy ciągle jeszcze się go bała? Może to przynajmniej uda mi się dowiedzieć? W każdym razie postaram się tę sprawę zbadać. — I z tym postanowieniem szedł pewnym krokiem naprzód, gdy spoza skały wyłonił się Harvey.

Kapelusz nasunięty miał na oczy, cofnął go więc pospiesznie w tył, a Tiggie spojrzał na niego zdziwiony. W wyrazie jego była mieszanina inteligencji i obłąkania.

— No? — rzekł Harvey szorstko. — Co się z tobą dzieje?

Oczy jego o czerwonych obwódkach, krwią nabiegłe, wyzywały Tiggiego, który spokojnie odpowiedział:

— Nic. Wyszedłem na spacer. Chodź jednak lepiej ze mną i prześpij się trochę.

— Przespać się? — powtórzył Harvey. — Przespać! — Odrzucił w tył głowę śmiejąc się drwiąco i zaraz umilkł.

Tiggie odezwał się stanowczym tonem.

— Słuchaj! Chodź ze mną, tu nie masz czego szukać. Zaopiekuję się tobą.

Artysta patrzył na niego chwilę, jak gdyby chciał zrozumieć znaczenie jego słów, po czym szybkim, dziecinnym gestem położył kościstą dłoń na ramieniu Tiggiego.

— Dobry chłopak z ciebie, Tiggie! — rzekł. — Zawsze to mówiłem. Nie staniesz między mną a moim obrazem?

— Czemu miałbym ci przeszkadzać? — zapytał Tiggie.

— Bo wiem, że ją kochasz. — Zęby Harveya błysnęły w uśmiechu. — Ale pamiętaj, że pomogłem ci ją odnaleźć.

Nie znalazłbyś jej, gdyby nie ja. Zabiję każdego — syknął — kto stanąłby między mną a moim obrazem.

— Gdzie on jest?

— Może zobaczysz go kiedyś. Na razie nigdzie go nie ma.
— Pozowała ci dzisiaj rano?
— Tak. — Znowu wzrok Harveya był wyzywający. — I będzie jeszcze pozowała, obiecała mi to.
— Czy przestraszyłeś ją? — zapytał nagle Tiggie.
— Ja? — Harvey zaczął się śmiać znowu. — Nie, to ja jestem przestraszony. Byłoby okropne, gdyby mi się nie udało. — Zakręcił się na pięcie i oddalił o kilka kroków, ale wnet powrócił znowu. Tiggie z ulgą spostrzegł, że wyraz obłąkania, który malował się w oczach artysty, znikł.
— Nie, nie przestraszyłem jej — rzekł z większym spokojem.
— Rozumiemy się wzajemnie. Powiadam ci, że wszystko jest w porządku.
Uśmiechnął się, widać było jednak, że z pewnym wysiłkiem.
— Nie zrobię jej nic złego, człowieku. Jest zupełnie dobrowolną ofiarą. Czy nie mówiła ci tego?
— Nie pytałem jej jeszcze — odparł Tiggie.
— Spytaj ją więc! — błysk triumfu pojawił się w oczach Harveya.
— Nie potrzebujesz jednak być zazdrosny — dodał ze swoją zwykłą kpiącą miną. — To tylko przejściowa faza. Pracuję, jak wół. Niebawem będzie koniec. Zostaw mnie jednak samego, nie szpieguj mnie, bo może być naprawdę nieprzyjemnie. Wrócę do ciebie, gdy to przejdzie. Jeżeli się nie spalę do tego czasu.
Coś w jego tonie wzruszyło Tiggiego, brzmiała w nim błagalna nuta.
— Mój drogi przyjacielu, nie chcę cię szpiegować. Tylko czuję się mniej lub więcej odpowiedzialny.
— Ach, przestań! Zostaw mnie samego, tego tylko pragnę. Pozwól staremu czarodziejowi w spokoju pracować. —
Znowu na chwilę położył dłoń na ramieniu Tiggiego. - Nie potrzebujesz być zazdrosny
— rzekł znowu. — Ona uwielbia ciebie nawet, gdy kąpiesz bachory. Teraz znikaj i zostaw mnie samego!
Odwrócił się i usiadł na brzegu skały, zwrócony twarzą do morza. Tiggiemu nie pozostało więc nic innego, jak zastosować się do życzenia artysty i uwolnić go od swej osoby. Harvey został sam.

Ostatnie słowa artysty nappełniły Tiggiego radosną nadzieją. Czy ma wrócić jeszcze i zapytać o ich znaczenie? Czy żałowałby, gdyby to uczynił? Czy też zaświta dla niego nowa jutrzienka, o której nie marzył nawet? Zatrzymał się chwilę i spojrzął za siebie. Morze i niebo wróżyły burzę, a kamień, na którym siedział Harvey był pusty. Czarodziej znikł.

Nie miał więc po co wracać. Tiggie zapalił znowu fajkę i poszedł dalej.

* *

Przez całe popołudnie groźne chmury ciągnęły po niebie, ale deszczu nie było.

— Potrwa jeszcze dzień, dwa, zanim się rozpada — zawyrokował Joe Penny, gdy Tiggie wrócił ze spaceru.

— Czy sam pan będzie pił herbatę? — pytał. — Przyjaciel pana nie przyjdzie?

— Kto? Pan Gilmore? Nie — odparł Tiggie. — Maluje gdzieś.

— Ach — westchnął Joe Penny. — To dziwny zawód, według mnie. Nie ma człowiek nigdy spokoju. Przed świtem trzeba wstawać i do zmorku pracować. Gorzej, niż być rolnikiem. Sądzę, że przynosi pieniądze przynajmniej.

— Niektórzy oddają się mu z zamiłowania — rzekł Tiggie, nalewając sobie herbatę.

— Ach! — gospodarz okazał zrozumienie.

— Zdaje mi się, że Farne warto malować — odezwał się Tiggie po chwili.

— Nie ma tu nic, prócz morza i skał — zaprzeczył Joe. — Ale oni inaczej patrzą, niż my. Widzą to wszystko, czego tu nie ma. — Joe zachichotał ze swego dowcipu, a Tiggie uroczyście zuł chleb z masłem i zastanawiał się nad tym, że nie wszyscy przecież artyści są tak ekscentryczni, jak Harvey. Nie chciał jednak tego głośno powiedzieć i w milczeniu pił herbatę, a tymczasem Joe Penny oddalił się.

Tiggie wkrótce wyszedł z gospody i w cichy, duszny wieczór kroczył ścieżką wzdłuż brzegu.

157

Gdy dotarł do strumyka, minął mały mostek i swoim zwyczajem skierował wzrok w jeden zakątek najcenniejszy dla niego. Ona była tam, jak zwykle, ale pierwszy raz nie leżała, lecz siedziała na posłaniu.. A przed nią o kilka kroków, przed sztalugami siedział Harvey, skulony, skupiony, uosobienie fanatycznego zapału. Pracował gorączkowo. Tiggie stał spokojnie przez chwilę, stał i obserwował. Ani artysta, ani modelka nie patrzyli w jego stronę. Nie należał zupełnie do obrazu i z dziwnym bólem uświadomił sobie, że obecność jego byłaby niepożądana dla jednego, a wprost niepotrzebna dla drugiego.

Viola uśmiechała się i robiła wrażenie, że jest jakby w letargu, podczas gdy Harvey wyglądał niby zgłodniałe zwierzę. Pochłonięty był swoją sztuką. To była jego godzina— rzadkie zdarzenie jego życia. Tworzył i okrucieństwem byłoby mu przerywać nastrój.

Jakiś chłód owionął Tiggiego, coś ścisnęło go za serce i podążył wolno przed siebie.

Zrobił już kilka mil tego dnia i nie miał najmniejszej ochoty próbować w dalszym ciągu fizycznych swoich sił, ale jakiś nieugięty Los zdecydował, że ma iść naprzód, bo teraz nastąpi zwrotny punkt w jego wyścigach, które tak stanowczo postanowił wygrać.

Nie zwracał uwagi ani na czas, ani na przyptyw morza. Celem jego było wypełnić sobie pusty wieczór i wędrówka przed siebie wydała mu się jedynym do tego środkiem. Zmęczenie nie odgrywało roli. Zdawał sobie mglisto sprawę ze znużenia, ale czuł, że musi coś uczynić, gdzieś się dostać, zanim noc zapadnie. Nieuchwytna mgła, która wisiała nad morzem, była niejako wyrazem stanu jego duszy. Czuł się nieszczęśliwy, choć nie wiedział dlaczego. To nie tyle była zazdrość o Harveya, który potrafił u niej widocznie wzbudzić zainteresowanie, ile niezadowolenie ze swojej kompletnej pod tym względem bezsilności.

Tiggie przekonany był teraz, że Harvey kłamał przed nim po południu. Zawsze był łatwowiernym głupcem. Cóż więc dziwnego, że ludzie go wykorzystywali, nawet tacy maniacy jak Harvey, nawet takie rozbitki jak Viola.

Chciał odepchnąć tę ostatnią myśl, ale czyż Viola sama mu nie wyznała, że jego dobroć i głupota kazały jej szukać schronienia u niego? Wiedziała bowiem, że nie odmówi jej pomocy, chociażby oboje mieli

zginąć. Jakże też może mieć nadzieję osiąść kiedyś coś więcej, prócz jej wdzięczności z domieszką litości dla jego miękkiej natury?

Oto jaki był! Był miękki! I każda kobieta, która się do niego zbliżała, odczuwała to... Była to zaleta, która w rzeczywistości nie przemawiała do kobiet. Przypomnił sobie z goryczą tę dawną swoją historię, gdy pomógł Peggy Musgrave osiągnąć pragnienie jej serca — chociaż dla niego tam miejsca nie było. Może byłby ją zdobył, gdyby był większym egoistą, bardziej stanowczy i dbał o własne prawa i interesy.

Dreńczył się teraz różnymi refleksjami i pytaniami. Był zawsze do dyspozycji innych, wykorzystywano go zależnie od potrzeby. Gdy wszyscy walczyli o to, czego chcieli, jemu nie wolno było niczego dla siebie zatrzymać. I nadaremne było buntować się i opuszczać swoje stanowisko. Nieugięty Los przyprowadziłby go zawsze z powrotem. I tak smutne myśli towarzyszyły Tiggiewi w samotnej wędrówce wzdłuż skalistego wybrzeża. Godziny mijały niepostrzeżenie, a morze wznosiło się z przytłumionym szumem, który każdy, prócz Tiggiego, wzięłyby za przestrożę, aż nagle zapadła ciemność wraz z nadchodzącą groźną nawałnicą.

Burza przyszła nagle. Możliwe, że zapowiedziało ją kilka przedwczesnych grzmotów, ale ich huk utonął w nieustannym szumie morza tak, że ucho nie mogło go uchwycić.

W przestworzu grzmiało i huczało niby ryk uwięzionego zwierza. Błyskawice rozdzierały niebo i raptem lunął gęsty deszcz, który strumieniem bił o skały i zalewał piasek. Ciemność, która spadła na ziemię, podobna się stała do gęstej, czarnej zasłony.

Szła groźna nawałnica i Tiggie wreszcie ocknął się z zadumy. Schronił się pod skałą, ale burzliwe żywioły zdawały się naigrawać z próżnego jego wysiłku. Wnet czuł się na wskroś przemoknięty, jak gdyby zanurzył się w morzu. Nowa błyskawica oświetliła mu drogę. Opuścił więc swoje schronienie, szukając bezpieczniejszego miejsca wśród sterczących skał. Nigdy jeszcze w czasie swego pobytu w Farne nie zaszedł tak daleko.

160

Wnet spostrzegł przy świetle błyskawic, że dotarł do jakiegoś nieznanego, skalistego zakątka, odciętego przez wystający przylądek od małej wioski rybackiej, zupełnie z tego miejsca niewidocznej.

Cały pas skał piętrzących się przed nim, zdawał się go otaczać ze wszystkich stron. Tiggie jednak nie przejmował się tym, bo nie miał żadnej ochoty w czasie burzy posuwać się dalej. Biegł tylko pod skałami, przeskakując mokre kamienie, aż dotarł do jakiejś jaskini, w której się ukrył.

Wyczerpany i zadyszany spoglądał na piekielną wrzawę żywiołów, przeklinając swoją głupotę.

Wspaniały miał widok przed oczyma. Morze oświetlone było błyskawicami, które rozdzierały czarne niebo, a olbrzymie, groźne chmury wisiały nad wodą, która kłębiła się gęstą pianą.

Podziwiał potęgę żywiołów, ale pragnął gorąco znaleźć się w domu. Okropna ulewa czyniła to jednak wprost niemożliwym, zrezygnowany więc usiadł na mokrym kamieniu i uzbroił się w cierpliwość.

A tymczasem nawałnica szalała, zamieniając noc w jakąś otchłań, a jego czyniąc niewolnikiem skał. Tiggie nie posiadał bujnej wyobraźni i dlatego nie odczuwał wielkiego lęku. Lecz wreszcie zaczął zdawać sobie sprawę z groźnej sytuacji. Patrzył na błyskawice zapalające niebo i pragnął końca burzy, gdy słyszał huk morskich fal, które spienione były o brzeg.

Tiggie wszystkie swe myśli skupił na razie na burzy tak, że zapomniał o morzu, które domagało się udziału w ogólnej wrzawie i powoli zaczęło, górować nad innymi żywiołami.

Wprawdzie obecnie zdał już sobie z tego sprawę, ale dłuższą chwilę nie robiło to na nim wrażenia. Wiedział od Joego Penny i innych rybaków, że wybrzeże jest zwodnicze, ale żeby jemu mogło splatać figła, nie przyszło mu do głowy.

Trzeba było czegoś więcej, niż hałasu, aby zrozumiał, że grozi mu niebezpieczeństwo.

W świetle błyskawicy znowu ujrzał olbrzymią falę wznoszącą się ponad wysoką skałę. Rozbiła się o nią z hukiem i niemal załała jego kryjówkę.

To dopiero uświadomiło mu grozę położenia. Zanim powtórna fala przyszła, wyszedł z ukrycia i stąpając ostrożnie po kamykach, czekał na

błyskawice, która by mu wskazała drogę ucieczki. Nazwał się znowu głupcem — tym razem z większą gwałtownością.

Żeby zapomnieć o przypływie! Żeby stracić tyle cennego czasu na obserwowanie szalejących żywiołów, podczas gdy jeden z nich zbliżał się ku niemu, jak potwór czyhający na swoją zdobycz! A teraz znalazł się nagle odcięty! To było nie do uwierzenia, nie do pomyślenia. Musi być jakaś droga wybawienia. Gdyby tylko błyskawica przedarła tę ciemność. Powoli burza mijała.

Błyskawice były rzadsze, ale przytłaczające chmury dalej wisiały nad ziemią i wicher hulał po morzu.

Tiggie stał zrozpaczony i czekał, aż wkrótce smuga światła oświetliła ponownie niebo i pokazała mu, że nie ma dla niego wśród tych stromych skał żadnej ucieczki, bo coraz to nowe nadciągają fale.

Chociaż w tej chwili zdał sobie jasno sprawę z całej sytuacji, stłumił lęk. Nerwy miał silne. Wolno dostrzegał niebezpieczeństwo, ale miał odwagę i siłę zmierzyć się z nim.

W ciemności zaczął przeskakiwać z kamienia na kamień, aż znowu błyskawica odkryła mu długi mur skał, wystających z morza, jak grobla portowa. Sterczały one przed nim w odległości około stu metrów. Ślizgał się i potykał, ale przewycięzał odważnie niewidoczne przeszkody. Za każdym upadkiem podnosił się i posuwał dalej, mimo iż czuł, że obydwie nogi ma boleśnie poranione. Aż wreszcie wśród ulewnego deszczu stanął naprzeciw stromej skały, która się przed nim wznosiła. Usiłował znaleźć jakąś drogę, gdy tymczasem nadciągnęła duża fala i w jednej chwili czuł się po pas zanurzony w wodzie, tak, że ledwie utrzymał się na nogach.

— Następna, gdy przyjdzie, porwie mnie — rzekł głośno i postanowił zaniechać dalszych usiłowań, aby dostać się na sąsiednią skałę, która bardziej była oddalona od morza.

Wtem druga fala z hukiem, jak echo armatnie, rozbiła się o skałę i zalała Tiggiego, który przyłgnął całym ciałem do ściany swego więzienia.

I znowu fala wody uderzając o skałę dosięgła jego ramion i opadła.

— Mój Boże — zawołał wreszcie. — Dopomóż mi wydostać się z tego chaosu!

W tej samej chwili błyskawica rozdarła ciemności i jak latarnia morska zajaśniała zrozpaczonemu. Przy jej świetle Tiggie przekonał się, że dotarł do wystającej wysoko z wody skały i jeżeli zdoła się wspiąć wyżej, znajdzie na niej może bezpieczne schronienie.

Zanurzony po kolana w wodzie, trafił wkrótce na szczelinę i z wielkim wysiłkiem podciągał się w górę, zanim nowa fala uderzyła.

I znowu błysło na niebie. Tiggie dojrzał, że gładka na pozór ściana, posiada szczeliny i rozpadliny. Może przecież potrafi wydostać się na szczyt tej skały i tam cały przemoknięty przeczeka przyływ.

Uważał to za jedyną deskę ratunku i na nowo zaczął walczyć z całym wysiłkiem o życie, wiedząc, że jeden fałszywy krok strąci go w głęboką otchłań, gdzie spotka go śmierć.

Błyskawice ciągle jeszcze migały na dalekim niebie, podczas gdy ziemia tonęła w ciemności. On zaś czołgał się pod górę, macał na prawo i lewo, a próbując chwycić się czegokolwiek, otwierał i zaciskał uporczywie dłonie.

Tymczasem zaś rozszalałe fale rozbijały się o skaliste brzegi i przygotowywały do nowego ataku.

W takim naprężeniu nerwów niemożliwością było wytrwać długo. Chwilami Tiggie wisiał niemal w powietrzu, oczekując końca. Chwilami czuł, jak zsuwa mu się noga i wtedy ratował się jedynie rękami.

Wreszcie po dłuższym zmaganiu tak był wyczerpany i odrętwiały, że widział tylko śmierć przed sobą.

Przeraziła go do tego stopnia, że postanowił ani sekundy nie ustawać w walce. Piał się więc w górę, posuwał na bok, byle tylko nie spaść.

Walka trwała tak długo, że gonił już resztkami sił, gdy spostrzegł, że deszcz już nie pada i ustaje wiatr. Nieco później i mrok się trochę rozproszył, aż wreszcie spoza chmury wyłonił się blady księżyc.

Tiggie przekonał się teraz, że znajduje się na wysokości trzydziestu stóp i że do szczytu skały już niedaleko. ^N

Na dole nie widać było wybrzeża, jedynie wzburzoną, spienioną wodę, która bryzgała na niego z każdą nową falą.

Użył całej siły woli, aby uzbroić się w odwagę.

Czekał jedynie, aby księżyc jaśniej zaświecił i ułatwił mu wydostanie się na szczyt skały. Wisieć tak w nieskończoność było niemożliwością. Tiggie do tego stopnia był zmęczony, że bierność musiałaby spowodować sen, a ten skończyłby się fatalnie. Postanowił więc zaryzykować

i wspinać się dalej brzegiem skalistej powierzchni. Ale nie był w stanie czynić tego po ciemku i gdy w krytycznej chwili chmura zasłoniła księżyc, przeżył najgorszy okres niepewności. Bał się wprost poruszyć ręką lub nogą. Dopiero, gdy padł znowu z nieba jasny księżycowy blask, Tiggie ujrzał przed sobą ratunek i wspinał się coraz wyżej przy pomocy błogosławionego światła, które dodawało mu otuchy.

Gdy namacał wreszcie równą powierzchnię, uczynił ostatni, największy wysiłek. Uderzając nogami o pustkę, wiedział, że cała jego siła spoczywa w ramionach i że zwycięstwo należy do niego. Uniósł się resztkami sił jeszcze raz i ledwo przytomny przytulił twarz do mokrej skały. Tymczasem pryskająca woda morska chłostała go nadal a nogi zwisały nad głębią, która o mały włos go nie pochłonięła.

* **

Gdy Tiggie ochłonał trochę ze zmęczenia i lęku, podciągnął nogi pod siebie i spojrzał na krajobraz.

Zdał sobie wnet sprawę, że będzie więźniem na jednej ze skał tak długo, dopóki nie nastąpi odpływ morza lub jakaś pomoc się nie zjawi, co, nawiasem mówiąc, wydało mu się niemożliwe. Przemoknięty był do ostatniej nitki i cały drżący, a ubranie jego było w strzępach. Ale wiatr ustał i księżyc świecił, więc Tiggie nie rozpaczwał wcale.

W każdym bądź razie fale osłabły i morze nie mogło go już pochłonać.

Nabrał też przekonania, że co najmniej pięć godzin potrwa, zanim będzie mógł myśleć o powrocie i ta perspektywa nie była radosna, ale nie widząc innego wyjścia, zaczął się rozglądać za lepszym miejscem, gdzie by mógł spędzić okres swej niewoli.

Niebo się tymczasem wypogadzało i chociaż na horyzoncie wisiały jeszcze chmury, powrotna burza nie groziła już tej nocy. Ta świadomość dodała mu otuchy. Tiggie jednak przemoknięty do cna i bez ruchu, zaczął odczuwać dotkliwe zimno.

— Muszę dalej tak wisieć — tłumaczył sobie. — Nic innego nie pozostaje mi do zrobienia. I nie wolno mi zasnąć. Jeżeli bym usnął, łatwo mógłbym się stoczyć w czarną otchłań.

163

Tiggie zrozumiał, że będzie to trudniejsze zadanie, niżeli wspinanie się pod górę, bo śmiertelny chłód, który go przeszywał, paraliżował mu zmysły.

Czuł, że oczy jego wpatrzone w posepną wodę, zaczynają się powoli zamykać i tylko siłą woli podniósł powieki.

Czuł, że dłonie jego drętwieją i są bezsilne.

— Oto jak wygląda rozbitek — rzekł do siebie i pomyślał o Violi.

Wydała mu się tak oddalona, że wprost nierealna. Nie sądził, aby bardzo się smuciła, gdyby tak nie wrócił. I zaczął pytać siebie, po co zadał sobie tyle trudu, czemu tak okropnie walczył, jeżeli Viola go nie chce, dlaczego się ratował? Przypuśćmy, że nie wróciłby do niej, przypuśćmy, że umarłby na tej samotnej skale, więc byłaby znowu wolna i prawdopodobnie uradowana swą wolnością. Przyjęła go tylko dlatego, że był jej potrzebny, a teraz, gdy znikła potrzeba, pytała pewnie siebie, czy nie lepiej zdać się na los?

Myśl ta zaczęła go prześladować, przytłaczała go swoim ciężarem, on zaś bezsilny był, aby mógł z nią walczyć.

Może pomimo wszystko, prześpi się bezpiecznie i nie stoczy w morską otchłań. A jeżeli zginie, mniejsza o to!

Zrobił, co mógł.

Otoczyła go gęsta mgła. Szum morza coraz bardziej był przytłumiony. Głowa opadła mu na kolana. Błogie uczucie spokoju zaczęło się wkradać do jego mózgu.

Znowu obryzgała go woda, ale nie czuł tego. Zupełnie był odrętwiały. Niebawem położy się, wyciągnie zmęczone członki i wypocznie.

Już nie ma morza! Gdzie to słyszał przedtem? W zamglonych, dziecinnych wspomnieniach słyszał te słowa. Już nie ma ani morza, ani walki, tylko odpoczynek!

Zaczął się powoli wyciągać, ale instynkt nie był jeszcze całkowicie uspiiony. Powstrzymał go, gdy był na krawędzi.

Tiggie rzucił się znowu w tył i częściowo obudził. Księżyc tańczył przed jego na pół otwartymi oczyma. Podniósł głowę leniwym ruchem. Coś go zatrzymało. Co to było?

Księżyc w pełni oświetlał go i Tiggie doznał dziwnego uczucia, że jest nieskończenie małym, drobnym pyłkiem.

Uczynił wysiłek, aby przywołać do świadomości swoje ja.

Wówczas dotarł do jego świadomości jakiś głos, z którego już przedtem zdawał sobie sprawę, chociaż nie mógł go zrozumieć. Zrozumiał teraz, ale z dziwną obojętnością przyjął, jak gdyby nie pochodził z tego świata.

Ktoś wzywał go po imieniu. — Tiggie, Tiggie! — rozległo się wołanie. — Typowy głupcze! Obudź się! Przychodzę po ciebie!

Znowu więc głupiec! Epitet ten zmartwił go, ale brzmiał tak swojsko, że otrząsnął go z odrętwienia.

Tiggie otworzył oczy i rozejrzał się wokoło. Leżał skulony w kałuży, a ponad nim wznosiła się wysoka na dwieście stóp skała. Przerażony jej widokiem, poczuł zawrót głowy i przymknął na chwilę powieki.

Gdy otworzył je znowu, wydało mu się, że śni. Olbrzymi pająk, wielkości człowieka, czołgał się po skale, niby przedząc nieskończonej długości nić.

Tiggie patrzył na niego oczarowany, gdy on, przeskakując z jednej skały na drugą, coraz bardziej zbliżał się ku niemu, aż wreszcie znalazł się przy nim.

— To chyba sen — pomyślał, a wtem nowa spieniona fala rozbiła się o skałę.

— Do kata — krzyknął jakiś głos. — Utoniemy za chwilę. Tiggie nie dowierzając własnym oczom, uniósł się i poznał

Harveya. Odziany był groteskowo w ceratowe ubranie i stał pochylony nad nim.

— Ach, nie troszcz się o mnie — wyszeptał Tiggie — Jestem już prawie skończony.

Harvey zaklął.

— Nie pleć — oświadczył. — Wypij to i idziemy!

Przyłożył coś twardego i okrągłego do ust Tiggiego, a on posłusznie, ku własnemu zdziwieniu, przełknął silną mieszaninę wody i rumu, która napełniła go ciepłem.

Harvey stał przed nim z nogami rozstawionymi, jakby lękał się utraty równowagi w każdej chwili.

— To nam urządziłeś bal!

Tiggie spojrział na niego błędnym wzrokiem.

— Jak się tu dostałeś? — zapytał niepewnie.

— Na linie, mój synu, w ten sam sposób, w jaki ty wrócisz do domu — oznajmił Harvey. — Uciekajmy, zanim nowa będzie kąpiel. — I Harvey poprawił sznur, którym był przywiązany.

— No, chodź — rzekł. — Tak. Możesz się chronić rękami, co? Tak, tak. Ja pójdę za tobą. Najpierw ciebie wyciągną, potem mnie.

— Ale — pytał Tiggie — po co to wszystko? Najlepiej, gdybym został tutaj. Nikogo nie ma, komu by na mnie zależało!

— Nikogo? O, ty idioto! — rzekł Harvey. — A ona rozpacza tam za tobą! Czy przypuszczasz, że zadałbym sobie tyle trudu, gdyby nie ona?

Na to pytanie Tiggie nie był w stanie odpowiedzieć. Czuł, że dziwnym sposobem Harvey zawładnął nim zupełnie, a jemu pozostało tylko poddać się losowi.

Zaniechał wobec tego dalszej dyskusji i pogodził się ze swoją rolą.

Długi jego pobyt na stromej skale nie wpłynął widocznie na rozsądek i zawsze już głupcem pozostanie.

W czasie powrotnej drogi wolno odzyskiwał pełną świadomość siebie. A gdy wreszcie zobaczył zaniepokojone twarze Joego Penny, jego syna i dwóch innych rybaków, którzy wybrali się na poszukiwanie zaginionego, zrozumiał, jakie to ryzykowne i niebezpieczne zadanie i z niewymowną ulgą odetchnął, gdy w chwilę później i Harveya zobaczył przy sobie.

Teraz dopiero zdał sobie sprawę z ocalenia i zrozumiał, jak blisko był śmierci.

Ale szwagier nie dał mu czasu na refleksje. Już dosyć miał całej tej wyprawy i chciał ją jak najprędzej zakończyć.

Chwycił go więc energicznie za ramię i wolnym krokiem podążyli do gospody.

Tiggie w połowie drogi odzyskał pełną przytomność i oświadczył, że teraz ma ochotę jedynie na gorącą kąpiel i smaczny posiłek.

— Tak — rzekł Harvey ponuro — ale zaraz potem będziesz musiał pójść do niej, bo nie będzie spokoju, dopóki tego nie uczynisz.

— Co masz na myśli? — zapytał Tiggie, który jakby przeoczył poprzednią aluzję przyjaciela.

Harvey roześmiał się sardonicznie.

— Ona ci już powie, co ja mam na myśli — odrzekł. — W gorączce leżała przez ciebie cały wieczór. Popsuleś prawie mój obraz, niezupełnie na szczęście. Jeżeli deszczu jutro nie będzie, skończę go może.

— Będzie — stwierdził Tiggie. — Księżyc jest zamglony.
— Do diabła z księżycem! — zawołał Harvey. — Gdy mi znowu coś przeszkodzi, pomorduję wszystkich.
Śmiech Tiggiego brzmiał niemal chłopięco.
— W każdym razie zacząłbyś ode mnie i nie broniłbym się wcale.
— Ach, od ciebie! — rzekł Harvey. — Nie, nie zamordowałbym ciebie, musiałbym potem mieć do czynienia z Janetą.
— To dla Janetę więc zadałeś sobie dzisiaj tyle trudu, tak?
— Nie — odparł krótko Harvey. — To dla Violi, jeżeli chcesz wiedzieć — dodał z naciskiem. — Uczyniłbym zawsze wszystko dla osoby, w której się kocham.
— No, dziwakiem zawsze zostaniesz — rzekł Tiggie.

**** ***

Pół godziny później Tiggie zupełnie inny, umyty i nakarmiony, biegł do małego domku. Jeszcze się świeciło w przedpokoju, bo Helena wyszła ze świecą w ręku na jego spotkanie.
— Namówiłam ją, aby się położyła — rzekła — ale ona nie zaśnie, dopóki cię nie zobaczy. Czy jesteś cały i zdrowy?
— O, tak! Zostałem po prostu odcięty przez przyływ morza. To wszystko!
— No, na miłość Boga, idź pokaż się jej, bo znowu nam zachoruje. Spot jeszcze nie wrócił. Depeszował.
Tiggie w zdenerwowaniu zapomniał wziąć od Heleny lichtarz i pobiegł ciemnymi, wąskimi schodkami, jak gdyby skrzydła miał u nóg. Na górze drzwi zastał otwarte i usłyszał cichy głos Violi:
— O, Tiggie, Tiggie, nareszcie!
Wszedł nieśmiało do pokoju. Łóżko jej stało pod oknem tak, że Viola leżała w świetle księżyca. Wyciągnęła ku niemu stęsknione ramiona.
— Moja droga — powiedział — jestem z powrotem w domu, bezpieczny. Czy niepokoiłaś się o mnie? Nigdy tego nie przypuszczałem.

— Czy niepokoiłam się? — powtórzyła cichutko, a tymczasem on znalazł się przy niej i wszelkie słowa stały się już zbyteczne.

Kłęczał przy jej łóżku, z głową ukrytą na jej piersiach.

— Moje kochanie — rzekła i szloch stłumił dalsze jej słowa.

A Tiggie? Tiggie milczał jak zwykle w ważnych chwilach. Przyciskał tylko drżące wargi do jej ust i zdawał się wchłaniać ją w siebie...

Bo mężczyzna tylko w ramionach kobiety, którą kocha, rozumie znaczenie słowa: Dom. I w tej świętej chwili, gdy serce jej biło pod jego skronią, Tiggie pierwszy raz w życiu wiedział, że ma Dom.

Część IV

Chociaż nazajutrz dzień był ponury i mglisty, deprymująco działający na każdego, Tiggie nie odczuwał zmiany klimatu. Zaraz po śniadaniu wyszedł na spacer z fajeczką w ustach.

Dla niego przez całą noc świeciło słońce. Twarz jego wyrażała zadowolenie i tak błogi spokój panował w jego sercu, że nawet trzęsienie ziemi nie zdołałoby go teraz wyprowadzić z równowagi.

Prosiła go, aby zaraz rano do niej przyszedł, ale słowa Heleny powstrzymały go od wczesnej wizyty. Helena twierdziła, że po wczorajszym zdenerwowaniu, dłuższy wypoczynek jest dla Violi konieczny.

Lecz Helena nie wiedziała, że w ciągu tych kilku minut, gdy klęczał przy łóżku ukochanej, stał się cud. Nie wiedziała, że obecność jego może być dla Violi lepszym lekarstwem, niż sen.

Na myśl, że zobaczy ją znowu taką, jak wczoraj, serce biło mu jak oszalałe.

— Ale z pewnością — tłumaczył sobie Tiggie — dzisiaj ona będzie inna. Minał jej wczorajszy niepokój i prawdopodobnie okaże się znowu bardziej powściągliwa. Lecz blask jej oczu powie mi tę prawdę, której nie da się ukryć. Więc ona kocha mnie nie z obowiązku, nie, jak ktoś opuszczony kocha swego dobroczyńcę lub opiekuna, ale tak, jak kobieta kocha swego ukochanego. Więc nawet mnie, głupca, spotkało to szczęście. Teraz wszyscy mogą mnie uważać za kogo chcą, dla tej jednej ukochanej kobiety będę zawsze tym, którego ona miłuje.

Kiedy jednak pozwoli mu ten zdumiewający cud wyjawić? Ciekaw był bardzo. Niemożliwością będzie ukrywać go dłużej. I tak wszyscy się domyślają, jeżeli jeszcze nie odgadli.

Tiggie postanowił wypalić tylko fajkę i pójść do Violi. Spacerował więc tam i z powrotem po podwórzu, gdy znany głos obudził go z zadumy. Odwróciwszy się zobaczył Joego Penny.

Fajka do połowy dopiero jest wypalona i gawęda z gospodarzem skróci mu czas.

— Przepraszam pana — rzekł Joe. — Jak się pan czuje dziś rano?

— Dzień dobry — odparł Tiggie wesoło. — Doskonale, jestem zdrow, jak ryba, dzięki wam.

Wynagrodził sownice swoich wybawicieli, prócz Harveya i doznawał miłego uczucia, że chociaż go uważają za głupca, uchodzi przynajmniej w ich oczach za hojnego dżentelmena.

— Niech Bóg pana błogosławi — mówił Joe Penny. — To, cośmy uczynili, było drobnostką. Winię siebie, że nie ostrzegłem pana. To nie była łatwa rzecz wydostać się na tę skałę. I zastanawiałem się długo, jak się to panu udało.

— Człowiek jest w stanie czynić nadzwyczajne rzeczy, gdy ma głębokie morze za sobą. Sam nawet przedtem o tym nie wiedziałem. Zapewniam jednak pana, że zabrało mi trochę czasu, aby wyjść na górę — Tiggie spojrzał w zamyśleniu na swoje dłonie — i nie miałbym ochoty powtórzyć tej wyprawy.

Joe Penny popatrzył także na ręce, które wyraźnie świadczyły o gwałtownej walce.

— Czy pan jest żonatym człowiekiem? — zapytał niespodziewanie.

— Nie — odpowiedział Tiggie. — Chcę powiedzieć... — spostrzegł swoje zmieszanie. — Po co panu ta wiadomość?

— Ach, na nic, na nic — rzekł gospodarz spokojnie. — Proszę wybaczyć śmiałość! Myślałem tylko, jak zmartwiłaby się pańska żona, gdyby zobaczyła te ręce.

— Ach, tak — Tiggie zdawał sobie sprawę ze swego zaczerwienienia. — Będę musiał więc włożyć rękawiczki, skoro pan uważa, że dla pań ten widok będzie przykry.

— Nie powiedziałem tego — tłumaczył się Joe. — Ale ona, one, mogą przypuszczać, że coś gorszego pana spotkało, niż to, co pan

opowiada. Moje motto dla mojej starej: kryć zawsze zło. — Spojrzał na Tiggiego i wolno pokiwał głową. — Nie spieszyłbym się z małżeństwem, gdybym był panem. Są w nim rzeczy za i przeciw; zawsze to powiadam. — Chcę usłyszeć przeciw! — rzekł Tiggie wesoło. Znał tylko cienki głos pani Penny, który zawsze komuś rozkazywał i kogoś nawoływał.

Joe Penny potrząsał smutnie głową.

— Nie mówię o sobie, proszę pana — wyjaśnił. — Nigdy w życiu nie kłóciliśmy się, ale ja zawsze zło ukrywałem. To jedyny sposób z kobietami.

— Dobrze — rzekł Tiggie — będę o tym pamiętał. Czy jeszcze coś? Wzrok Joego stał się trochę podejrzliwy, jak gdyby domyślał się żartu.

— Nie należę do tych, którzy węzeł małżeński traktują lekko. Powiadam: rozważyć zawsze naprzód, wiedzieć dokładnie, co się robi, inaczej będzie kłopot. Kobiety, wie pan, lubią rządzić, nawet najlepsze z nich. A ja nie jestem za tym, aby kobieta kierowała mną... w każdym razie nie zanadto.

— Zgadzam się z tym — orzekł Tiggie.

— One są prędkie, zwinne jak małpy. Wykorzystują mężczyzn, szczególnie takich, jak ja i pan... nie bardzo chętnych władzy.

— Czyż aż tak? — rzekł Tiggie zainteresowany. Joe Penny ponownie pokiwał głową.

— Oto dlaczego panu mówię. Niech się pan nie żeni w pośpiechu! Małżeństwo jest jak przyływ. — Mówił poważnie, jakby w natchnieniu. — Gdy nie uważasz, odcina cię od wszystkiego i nie możesz już zawrócić. Niech pan pamięta o tym, szanowny panie.

— Będę pamiętał — obiecał Tiggie. — Dziękuję za przestrożę.

— Nie ma za co, dziękować. Jesteśmy po to, aby sobie pomagać — rzekł Joe Penny. — A ja wiem, jak łatwo jest dać się złapać, bardzo łatwo, wielmożny panie.

Tiggie wyjął z ust fajkę i spojrzał na nią.

— Łatwiej, niżeli złapać kogoś, co? — zapytał.

— Ja nigdy nie potrzebowałem nikogo łapać — mówił Joe Penny zniechęconym tonem. — Mnie łapano... — Po chwili zaś dodał: — Nie chcę nic złego powiedzieć. Nikt nie miał szczęśliwszego pożycia

małżeńskiego ode mnie. Ale są rzeczy za i przeciw, zawsze to powiadam. .. za i przeciw.

— O, tak — rzekł Tiggie — i diabelnie trudne czasami!

— Racja, panie. — Joe Penny uśmiechnął się do niego, jak ktoś, kto wita przyjaciela. — Ale pomimo wszystko, co pomoże mówienie o tym. Każdy człowiek ma w życiu swoje wyznaczone miejsce. I ci żonaci będą tak samo sądzeni, jak inni, przy końcowym obrachunku. Ale pan jeszcze nie przeszedł swego, więc proszę pamiętać, w małżeństwie są za i przeciw.

— Będę pamiętał — odpowiedział Tiggie po raz trzeci.

— Joe! — zawołał nagle piskliwy kobiecy głos. — Joe! Co tam robisz? Na miłość Boską, chodź i zobacz komin w kuchni, bo nie mogę sobie dać rady, a to robota męska, nie kobieca, zawsze ci powtarzam i jeżeli ma być obiad dzisiaj...

— Muszę iść — rzekł Joe, zwracając się do kapitana. — Okropny ten kuchenny komin. Dobrze kobieto! — zawołał, słysząc w dalszym ciągu nawoływania. — Idę! Idę!

— Nie nazywaj mnie kobietą! Mów grzecznie, Joe Penny! Trzaśnięcie drzwi ucięło dalsze uwagi. Tiggie zaś oddalił się od

gospody i z uśmiechem, który dotąd tłumiał, rzekł do siebie:

— Ale ja także jestem żonaty.

Fajka była wypalona, wytrząsł więc resztki popiołu. Przestrogi biednego, starego Joe poskutkowały tylko o tyle, że skróciły mu czas. I teraz nareszcie pójdzie do niej.

** *

Tiggie szedł drogą wśród małych, starych chat rybackich, gdzie bawiły się dzieci i ssąc paluszki, wpatrywały się w niego z zaciekawieniem. Szedł wzdłuż wybrzeża wolnym krokiem, minął mały mostek nad strumykiem, a na szare, złowróżbne morze, otoczone mgłą, nawet nie spojrział. Aż wreszcie znalazł się na małej, krętej ścieżce, którą tak często kroczył z ciężarem na duszy. I nieraz lękał się otworzyć furtkę, która miała go wpuścić do małego domku doktora Spota.

Dziś jednak przepelniony był radością. Nacisnął więc klamkę i zagwizdał beztrzesko, jak mały chłopak. W ogródku spotkał Joyce, odzianą w nieprzemakalny płaszcz i podskakującą wesoło. Zarzuciła mu ręczki na szyję i nadstawiła buzię do pocałunku.

— O, wujciu Tiggie, czy naprawdę prawie utopiłeś się wczoraj? Jakie to okropne!

— Jest różnica między prawie a zupełnie — odrzekł Tiggie. — Jak się ma ciocia Viola?

— Wygląda dzisiaj blado. Możesz pójść na górę i sam ją zobaczyć. Mamusia tak powiedziała. Idę właśnie do drugiego domku uważać na Piotra, ale chciałam cię przedtem zobaczyć. O, wujciu Tiggie, cieszę się, że się zupełnie nie utopiłeś!

— I ja także jestem zadowolony.

Ramiona Joyce zacisnęły się mocniej wokoło jego szyi, gdy Tiggie próbował się wyprostować.

— Nie zrobisz tego już nigdy więcej, wujciu, prawda?

— Nigdy — obiecał Tiggie. — Postanowiłem uroczyście nigdy więcej tego nie powtórzyć, o ile naturalnie będę miał głos w tej sprawie — dodał rozbawiony.

— No, to dobrze — rzekła Joyce, uwalniając go nareszcie ze swego uścisku. — Bo inaczej jestem pewna, że ciocia Viola umarłaby ze zmartwienia.

— Ach, niemożliwe! — powiedział Tiggie. — Za rozsądna jest na to. Joyce jednak potrząsnęła główką i odpowiedziała z całą powagą.

— Nie rozumiem, wujciu, nie mogłaby nic poradzić, ona cię tak kocha.

Tiggie pożegnał dziewczynkę i prosto schodami pobiegł na górę po czym delikatnie zapukał do drzwi.

Usłyszał cichą odpowiedź: — Proszę.

Viola leżała na łóżku częściowo ubrana. Uśmiechała się do niego, chociaż nie wyciągnęła ramion tak, jak wczoraj wieczór.

— Zmęczona jesteś — rzekł Tiggie.

Pochylił się nad nią i ujął jej dłonie a w odpowiedzi na jej wzrok, ucałował jej usta.

— Zmęczona jesteś — powtórzył znowu.

— Czuję się dobrze, tylko miałam głupi sen. Usiadł przy niej, trzymając jej rękę w swojej dłoni.
— Szkoda czasu na sny, kiedy rzeczywistość jest tak piękna i dobra.
— Rzeczywiście, że to strata czasu — powtórzyła jak echo. — Do tej pory nie miałam pojęcia, że rzeczywistość może być tak dobra.
— Sny są nic niewarte.
— O, tak — przyznała z drżącym uśmiechem.
— I dlatego nie zeszłaś do nas? — pytał Tiggie.
— Tak. Byłam rozleniwiona i Helena radziła mi wypocząć. Mówiła, że nie mam po co wstawać, skoro nie mogę wyjść do ogrodu.
— To prawda — rzekł Tiggie spoglądając na zamglone niebo.
— Biedny Harvey jest tego samego zdania. Leży jeszcze także w łóżku.
— Ach, tak? — spuściła nagle wzrok i Tiggie dostrzegł rumieniec na jej bladej twarzy.
— Tiggie! Twoje ręce!
— Och, przepraszam! — odparł Tiggie, ukrywając dłonie pod kocem. — To stało się wczoraj. Powinienem włożyć rękawiczki.
— Pozwól, niech je zobaczę! — rzekła.
— Ach, to nic, to drobnostka, doprawdy.
— Proszę cię jednak! — mówiła Viola. Odsunęła koc i przyjrzała się ranom.
— Nic? — rzekła i przytuliła obolałe jego dłonie do swych piersi.
— Jak to musiało cię boleć!
— Głupstwo — mruknął Tiggie zakłopotany. — Wstyd mi, że pozwoliłem ci na to patrzeć. Zapomniałem.
— Zawsze zapominasz... o sobie — rzekła.
— Ach — zaprzeczył — ty nie znasz mnie dobrze.
Podniosła oczy ku niemu, które tak błyszczwały, jak gdyby dusza je oświećlała.
— Znam cię dobrze, Tiggie. I dlatego tak bardzo kocham. Nie ma drugiego takiego na świecie, jak ty!
— Ach, kochanie — szepnęła Tiggie bardzo zmieszany. Zaśmiała się cicho, serdecznie, potrząsając głową.
— Dziękuję ci, żeś mnie tak nazwał! To pierwszy raz! Powtórz jeszcze, Tiggie.
— Moje kochanie! Moja jedyna!

Wsunął ramię pod jej poduszkę i przygarnął ją do siebie.

— Od tak dawna marzyłam i pragnęłam znaleźć się w twym uścisku — rzekła Viola, tuląc się do niego. —
Tęskniłam za tym, aby twoje silne ramiona otoczyły mnie. Tiggie, czy widziałeś obraz Harveya?

— Nie, słyszałem tylko o nim — odpowiedział, gładząc jej włosy.

— Zdaje mi się, że będzie nadzwyczajny. To ciekawe, że on odgadł moją duszę. Rozumiesz Tiggie?

— Będę rozumiał — odpowiedział serdecznie.

— Tak, będziesz, wiem o tym. Ponieważ jesteś sobą i nie mógłbyś nic takiego myśleć, co nie zgadzałoby się z prawdą. Wiesz, drogi, że lubię Harveya. Z początku nie lubiłam go. A teraz bardzo lubię.

— Cóż z tego, najdroższa? Ja lubię go także — rzekł Tiggie.

— Tak, ale ty go nie rozumiesz. Może i ja także niezupełnie go rozumiem. Ale wiem, że ma wielkie serce. Oddany jest tobie, Tiggie. Wierzysz w to?

— Po wczorajszym dniu, muszę — odparł Tiggie.

— O, tak, to on cię uratował!

— Zdaje mi się jednak, że to raczej dla ciebie zrobił, niż dla mnie — orzekł Tiggie. .

— Muszę mu podziękować. — Chwilę milczała, a potem z lekkim wahaniem rzekła.

— Nadzwyczajny przyjaciel. Bardzo daleko widzi i rozumie.

— Chcesz mi powiedzieć, że kocha się w tobie? — powiedział Tiggie. Roześmiała się lekko.

— Nie, kochanie. To tylko jego sposób patrzenia. Wszyscy geniusze są tacy. Czy nie rozumiesz? Muszą zawsze coś uwielbiać.

Podniosła głowę szepcząc mu na ucho.

— Mój drogi, mniejsza o to tak długo, jak nie przypuszczasz, że ja kocham się w nim.

— Ach, tak — roześmiał się także i pocałował ją znowu. — Nie. Nie myślę tak. Nie jestem takim osłem, na jakiego wyglądam.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której krople deszczu biły o szybę i wył wiatr od morza.

— Czujesz się trochę wypoczęta? — szepnął wkrótce Tiggie. Poruszyła się, jakby obudzona ze szczęśliwego snu.

— Nigdy nie czuję się zmęczona, gdy ty jesteś przy mnie. Myślałam o tym obrazie. Ty i ja w łódce, w bezpiecznej przystani.

— Zabawne! Ja miałem ten obraz przed oczyma dawno, zanim Harvey go wymalował.

— Musiał wykraść myśl, któremuś z nas — zażartowała. — Nie będziemy go w każdym razie za to łąać.

— A ty musisz teraz prędko być zdrowa i silna — rzekł Tiggie łagodnie.

Głaskała jego dłoń pieszczotliwie.

— Tak, postaram się — mówiła.

— Widzisz — Tiggie korzystał ze sposobności. — Chciałbym móc już jak najprędzej powiedzieć wszystkim, że jesteś moją żoną.

. Delikatny lęk nią wstrząsnął, ale nic nie odpowiedziała.

— Nie chcesz? — zapytał po chwili Tiggie.

— To nie to — szepnęła wreszcie — tylko boję się czasami, gdy o tym myślę.

Umilkła znowu, ukrywając twarz na jego ramieniu.

— A dlaczego, kochana? — rzekł — czy może lękasz się rzeczywiście tego, że ja nie będę dobry dla ciebie?

— Ach, nie! — odpowiedziała natychmiast. — To nie to! Nie, najdroższy! Nie mogę ci jasno wytłumaczyć, co to jest. To jakieś bezpodstawne przeczucie.

— Ale jakie, jakie? Postaraj się wytłumaczyć mi to jaśniej — prosił uporczywie. — Gdy będę wiedział, o co chodzi, może będę mógł temu zaradzić.

Potrząsa lekko głową.

— Tiggie drogi, nie mógłbyś zrozumieć mojej głupiej fantazji. Przypuszczam, że to tylko chorobliwa wyobraźnia.

Dawniej nie byłam takim tchórzem.

— I teraz nie jesteś tchórzliwa — rzekł Tiggie poważnie. — Jakiś powód musisz mieć, nawet jeśli jest to tylko przeczucie. Może mi więc zechcesz wyjaśnić, co cię gnębi, a wtedy razem będziemy się śmiać z próżnych obaw?

— Nie, nie śmieć się — mówiła Viola — i nie gniewaj się także na mnie, gdy ci powiem, że jeszcze jakiś czas musimy zachować naszą tajemnicę i nikomu nic nie mówić o naszym ślubie. Jeszcze tylko pewien

czas. — Spojrzała na niego zaniepokojona. — Nie czuję się bowiem dość silna. Mogą mi stawiać pytania, zupełnie proste pytania, na które nie mogłabym odpowiedzieć. Gdy będę znowu silna i zdrowa, to co innego. Drogi Tiggie, nic ci to nie szkodzi? Powiedz, że nie!

— Moje, kochane dziecko — odparł Tiggie. — Chcę tylko tego, co najlepsze dla ciebie i co ułatwi ci życie.

— Ach, wiem o tym — rzekła pośpiesznie. — Ja pragnę być tak silna, abyśmy mogli zaraz stąd wyjechać. Zresztą — załamała dłonie mimo woli. — Chcę pozostać w raju trochę dłużej — nawet o ile to jest tylko raj głupców.

— Będzie tak, jak chcesz, chociaż ja innego jestem zdania i nie wiem, czy potrafię dłużej ukrywać swoje uczucie. Nie każ mi czekać za długo. Zresztą mój urlop kończy się w październiku, pamiętaj i do tego czasu musimy już być małżeństwem.

— O, Tiggie! — zawołała głosem, którego on nie rozumiał. — Pojedziemy więc razem z powrotem do Indii?

— Tak. Nie chcesz?

Przytuliła się do niego i zamilkła na chwilę, potem zarzuciła mu nagle ręce na szyję. — Ach, gdybym tylko mogła się czuć bezpieczna, naprawdę! — szepnęła. — Przed nim!

— Moja najdroższa, gnębisz się niepotrzebnie. Czy nie sądzisz, że potrafiłbym się rozprawić z łotrem nawet, gdybyśmy się z nim spotkali, co jest nieprawdopodobne?

— Ach, tak, naturalnie, ale wolałabym, aby się na to nie narażać.

— Kochanie, to naprawdę nonsens — rzekł Tiggie czule. — Zadowolony jednak jestem, żeś zrzuciła z siebie ten ciężar, bo mogę ci udowodnić, jaki niedorzeczny jest twój niepokój. Czy masz pojęcie, jak duże są Indie?

— Tak, mam.

— No, to jedna rzecz — rzekł Tiggie wesoło — a druga, czy nie sądzisz, że nawet, gdyby on cię zobaczył, co po prostu graniczy z niemożliwością, to chciałby z pewnością udać, że cię nie widzi?

— Gdyby był trzeźwy! — szepnęła, wstrząsając się lekko.

— No, ale o tym nie może być mowy, nie potrzebujesz się więc smucić i niepokoić. Będiesz miała zresztą inne nazwisko, które cię¹ będzie także chroniło, będziesz więc zupełnie bezpieczna.

— Bezpieczna! — rzekła cicho, załamując dłonie. — Ach, czy będę nią kiedyś?
— Jesteś już teraz — odparł Tiggie stanowczo i uśmiechnął się serdecznie. — Im mocniej mnie się trzymasz, tym bardziej jesteś bezpieczna. Nie puszczaj mnie! Tak jest mi dobrze.
Odpowiedziała mu także uśmiechem, a ramiona jej opadły bezsilnie.
— Ty musisz mnie trzymać, ja jestem zanadto zmęczona.
— Ciągle jeszcze zmęczona? — spytał Tiggie przestraszony. — Pożegnaj cię więc już, bo Helena powie, że to moja wina.
— Nie powie tego — odparła Viola. — Ona wie, że samo dobro mi przynosisz.
— Czy naprawdę?
W odpowiedzi uniosła jego dłoń, którą zbliżyła do swych ust.
— Ukochana, nie zasługuję na to. Spojrzała mu prosto w oczy.
— Zasługujesz na znacznie więcej, niż jestem w stanie, ci dać — rzekła.
Położył głowę na jej piersiach, jak poprzedniego wieczoru.
— Mając twoją miłość, niczego więcej nie potrzebuję.
— Tiggie, jedyny! — mówiła, kładąc dłonie na jego głowie, jak gdyby go błogosławiła. — Nie miałam nigdy* odwagi wyznać ci swego uczucia. Tak się bałam, że odepchniesz moją miłość.
— Odepchnę? — powtórzył Tiggie niedowierzając.
— Widzisz, Tiggie, inni mężczyźni nie chcieli jey nigdy — rzekła z bezmiernym smutkiem.
— I sądziłaś, że ja jestem taki sam, jak oni? — pytał Tiggie.
— Mój ukochany, jedyny... nie! Ty byłeś tak inny, iż myślałam, że może miłość w ogóle nie wchodzi w grę, że to tylko dobroć i litość z twojej strony.
— Wtedy, gdy ja po prostu szalałem za tobą! — rzekł Tiggie. Westchnęła, gładząc w milczeniu jego pochyloną głowę.
— Znasz mnie już teraz lepiej?
Oczy, które na niego patrzyły, pełne były łez, ale wyzierała z nich miłość i ufność.
— O, tak! — rzekła. — Znam cię teraz, mój jedyny!

Scałował jej Izy i siedzieli potem chwilę w milczeniu, które miało w sobie coś świętego.

Ale, gdy Helena przyszła z herbatą, Tiggie na swój zwykły sposób rozmawiał o banalnych rzeczach, a Viola słuchała go na pozór obojętnie.

I nikt nie odgadł, że ten skromny pokoik na poddaszu stał się chwilowo rajem.

**** ***

Nie wiadomo dlaczego, gdy Tiggie wracał do gospody na lunch, myśli jego powróciły do słów Violi. Czemu ona nazwała ich wielkie szczęście rajem głupca? Nie chciał brać pod uwagę jej złych przeczuc, uważając, że to chore jej nerwy są tego przyczyną. Lecz teraz i jego coś nęka. Nie wątpił już w jej uczucie, a mimo to nie mógł w całej pełni upajać się tą radością. Czuł jakiś ciężar na sercu, którego nie był w stanie określić.

Chociaż wiedział, że Viola należy do niego, nie mógł się cieszyć beztrąsko jej posiadaniem. Czy to jakaś groźba nieszczęścia wisi w powietrzu? Nigdy dotąd nie doświadczył jakiegoś przeczucia. Uważał to za przesąd. A teraz, jak gdyby złowróbnny ptak rozpiął skrzydła i zasłonił mu światło. Czy rzeczywiście wszedł jedynie do raju głupca?

Wszelkimi siłami starał się otrząsnąć z przykrego wrażenia i tej dziwnej depresji, która go ogarnęła.

Tłumaczył więc sobie przede wszystkim, że to pochmurne powietrze tak na niego działa.

Czy można się dobrze czuć w taki dżdżysty dzień, gdy wichur wyje żałośnie, morze szumi, a słońca nie widać zupełnie? Trudno przecież być w dobrym humorze w taki okropny czas!

Spoglądając następnie na opustoszałe wybrzeże, Tiggie przypomniał sobie wczorajszą przygodę i walkę o życie, która, gdyby nie Harvey, zakończyłaby się klęską. Czy te wspomnienia więc są także dostatecznym powodem dla jego depresji? Po takiej przygodzie musi nastąpić fizyczna reakcja. Byłby nadczłowiekiem, gdyby przez kilka dni jeszcze nie odczuwał skutków takiego wysiłku. Wmawiał więc teraz sobie, że to

jest istotna przyczyna jego zniechęcenia. Potrzebny mu jest porządny posiłek i wypoczynek, a znowu wszystko będzie dobrze.

Oddalony sygnał syreny statku przerwał ponure milczenie. Odbił się melancholijnym echem o skały, które zmieszało się z krzykiem przestraszonych, morskich ptaków szukających ucieczki.

A Tiggiego przeszył niemiły dreszcz. Nie posiadał bujnej wyobraźni, lecz to posepne echo zawierało w sobie groźbę i rozpacz. Zaczął biec, ile sił mu starczyło do gospody.

Joe Penny stał w drzwiach i powitał go uśmiechem:

— Znowu przemoczony! — rzekł.

— Tak, wściekle zmokłem — odparł Tiggie i wszedł do środka bez dalszych słów.

Siedział właśnie przy lunchu, gdy Harvey zjawił się w nastroju tak czarnym, że nawet Tiggie nie mógł powstrzymać się od uwagi:

— Jakiś ponury jesteś! Co się stało?

Harvey spojrzał na niego jak na kogoś, kogo się zupełnie nie zna i rozłożył gazetę, nie odzywając się ani słowem.

Tiggie dziś zanadto był zdeprimowany, aby się obrazić. Zresztą, czyż Harveyowi nie zawdzięcza życia. Westchnął więc jedynie i dalej jadł.

A Harvey zagłębił się w dzienniku, dopóki mu nie przyniesiono śniadania, potem zaś przełknął potrawy z pośpiechem zgłodniałego zwierza i odszedł w milczeniu.

Tiggie, słysząc jak kazał sobie przynieść do pokoju butelkę whisky, wzruszył ramionami. Metoda, którą Harvey leczył depresję, nie przemawiała mu do przekonania, ale w obecnej chwili prawie żałował tego.

Tiggie spojrzał ponownie przez okno, ale w dalszym ciągu było tak brzydko i deszczowo, że postanowił wypalić fajkę u siebie w pokoju. Wyciągnął się na łóżku i wlepił wzrok w ciemny sufit. — Czemu jej słowa tak mnie prześladowają? — myślał.

Deszcz lał tymczasem strumieniami, dzwonił o szyby, a wicher rozpaczliwie wył.

Pięć minut później słychać już było tylko chrapanie.

Gdy Tiggie zbudził się nareszcie, doznał uczucia, że gdzieś się spóźnił. Zerwał się więc z łóżka i spojrzał na zegarek.

W pokoju panował mrok. Deszcz jeszcze padał. Z przerażeniem przekonał się, że minęła siódma. O dwie godziny wiecej spóźni się do Violi.

Wciągnął pospiesznie buty. Co ona sobie o nim pomyśli?

Pchnął drzwi i wyszedł na korytarz, gdzie od razu spostrzegł, że pokój Harveya był otwarty. Ogarnęło go na nowo dziwne, złe przeczucie. Ugiął się znowu pod ciężarem, który go prześladował przed snem i jak skazaniec udał się wąskimi schodami na dół.

Zatrzymał się w ciemnym hallu, aby wziąć palto i kapelusz.

Wtedy do uszu jego doleciały głosy z szynku i wydało mu się, że jakaś ręka chwyciła go za gardło. Z zapartym oddechem stał nieruchomo. Poznał głos Harveya pełen bezczelności.

— Zdaje mi się, że źle pana poinformowano, co do kapitana Turnera. Jeżeli ma żonę, to tutaj jej nie ma.

— Nie ma tutaj? — jakiś inny ochryply głos pytał. — Nie tutaj? Gdzie więc do diabła jest? W każdym razie, gdzie on jest?

— W tej chwili, nie mogę panu powiedzieć — rzekł Harvey.

— Niewątpliwie jednak pokaże się przy obiedzie.

— Przy obiedzie? — burknął nieznajomy. — Minęła siódma teraz. Kiedy jadacie obiad w tej dziurze?

— Nie jestem tu gospodarzem — odparł Harvey z pogardą.

— Osobiście jadam wtedy, kiedy mam ochotę.

— No, gdzie jest więc gospodarz?

Rozległ się odgłos zniecierpliwionych kroków i drzwi od szynku otworzyły się gwałtownie, a Tiggie stojący nieruchomo w hallu zobaczył przed sobą krępego, szpakowatego mężczyznę z małym wąsem, o oczach szarych, jakby rzucających złośliwe błyski. Zatrzymał się rias widok Tiggiego i zmierzył go cynicznym wzrokiem.

— Pan jest tutaj gospodarzem?

— Czy pan do mnie mówi? — rzekł Tiggie kierowany jakimś instynktem samoobronnym.

— A do kogo innego? Pytałem, czy pan jest gospodarzem. Przypuszczam jednak, że nie, bo nie spieszy się pan wcale do tej przekłętej jaskini.

W tej chwili sarkastyczny, chłodny głos Harveya rozległ się ponad głową nieznajomego, a wysoka, szczupła jego postać zarysowała się w cieniu.

— Hallo! Tiggie! Ty pewnie także nie widziałeś nigdzie kapitana Turnera?

Harvey uczynił zarazem znaczący ruch, który trudno było zignorować.

Tiggie na sekundę zawahał się, po czym rzekł.

— Nie widziałem nikogo, chociaż byłem na górze.

— Pozwólcie mi przejść — zawołał nieznajomy przeciskając się przez hall i kierując na korytarz w stronę kuchni.

A Harvey wtedy przyskoczył do Turnera i szepnął.

— Prędko, wyjdźmy! — I wybiegł na deszcz tak, jak stał, a Tiggie podążył za nim machinalnie wciągając płaszcz na siebie.

Skierowali się wprost do starej wozowni, którą Joe Penny używał, jako garażu. Tu w mroku artysta spojrzał na Tiggiego.

— No, wyprostuj plecy, człowieku! To Norman!

— Kto? — rzekł Tiggie.

Harvey potrząsnął go gniewnie za ramię.

— Nie bądź głupcem! Nie mamy czasu! Przyszedł po ciebie i po Violę.

— Ach! — westchnął Tiggie. I patrząc w oczy Harveyowi pewnym, zdecydowanym wzrokiem, rzekł — Więc? Jestem gotów.. Czemu nie dałeś mi się z nim rozmówić?

— Bałem się, że zrobisz awanturę — mruknął Harvey.

— Czemu? — zapytał Tiggie.

— Nie wyobrażaj sobie, że to takie proste, jak ci się wydaje. Ten człowiek to łotr. Przyjechał tu po coś. Jednak po co?

— niepokój brzmiał w głosie Harveya, trząsnął się cały ze zdenerwowania.

— Prawdopodobnie po pieniądze — odparł Tiggie.

— Tak, po pieniądze. A za co? Za milczenie?

— Czy jesteś pewny, że to Norman? Harvey odburknął.

— Czy ty udajesz głupca naumyślnie, chcąc zyskać na czasie? Naturalnie, że jestem pewny. Wszedł chwilę przede mną, zobaczyłem, że wnosi swoje walizki. Pobiegnę za nim, a wtedy on zaczął mnie pytać o ciebie. Teraz poszedł po listę gości. Twoje nazwisko znajdzie, ale nie jej. Słuchaj. Musimy go za wszelką cenę nie dopuścić do niej.

— Naturalnie! — rzekł Tiggie. — To moja rzecz! Harvey potrząsł go znowu za ramię.

— Sądziś, że to będzie łatwo? Ach, czemu pozwoliłem ci napisać ten głupi list do jej brata, gdy przyjechaliśmy tutaj? Ten list jest powodem wszystkiego złego.

— Czekaj chwilę! — rzekł Tiggie. — Ten list przecież nie mógł dojść do Indii.

— Nie. Ale widocznie łotr zmienił swoje zamiary, co do niej. Doszedł do wniosku, że znajdzie ją u jej brata i gdy przyjechał do kraju, powiadomiono go, że uciekła z tobą. Ach, to jasne przecież! Gdybyś nie pisał, nie wiedziałby, gdzie was szukać.

— Nonsens! — rzekł Tiggie krótko. — Nie mam z czym się ukrywać. ,

— Nie masz — powtórzył Harvey — a nawet Spotowie nie wiedzą.

— O nich nie chodzi.

Zdecydowany był nie lękać się tej niespodziewanej wizyty. Jeżeli Norman chciał wydobyć od niego pieniądze, gotów był zapłacić. Jeżeli miał jakiś inny powód, coś ukłuło go w serce, ale nie chciał o niczym podobnym myśleć, nie może być innego powodu. Pieniądz jest wszystkim na tym świecie. Nie ma się więc czego obawiać. Viola jest bezpieczna pod jego skrzydłami.

— No, więc co zrobisz? — pytał Harvey.

— Najpierw pójdę powiedzieć dobranoc Violi — oświadczył Tiggie — bo będzie się niepokoiła. Prawda, czy Spot już wrócił?

— Nie. Został na kilka dni w Thorley. Chcesz go wezwać? — zapytał Harvey niespokojnie.

— Nie, dziękuję. Sam się rozprawię z Normanem — rzekł Tiggie poważnie. — Nie martw się, stary druhu. Możesz mu powiedzieć, że ja jestem tym, którego szuka. Wrócę za pół godziny.

— Naprawdę, chcesz się z nim widzieć? — rzekł Harvey. — Wiesz już, co masz zamiar uczynić? Masz jakiś plan?

— Będę wiedział — odparł Tiggie spokojnie.,

Harvey patrzył na niego chwilę, podczas gdy deszcz bił o dach i coraz większa ciemność zapadała.

— No, ja w każdym razie będę przy tobie na wypadek, gdybyś nie okazał się tak mądry, jak ci się wydaje, że jesteś.

Mówił na wpół zaczepnie, jak gdyby obawiał się, że Tiggie odrzuci jego pomoc. Lecz dłoń kapitana Turnera wyciągnęła się w jednej chwili ku niemu i rozproszyła wszelkie wątpliwości.

— Dzięki ci, przyjacielu! Wiem, że mogę na ciebie zawsze liczyć.

**** ***

Nikt nie ubierał się do obiadu w gospodzie Joego Penny. Goście jego zazwyczaj nie posiadali fraków, chyba artyści, którzy nawet, gdyby pamiętali zabrać ze sobą wieczorowy strój, zapomnieliby się przebrać.

Obecnie zresztą jedynym artystą w Farne był Harvey, a on gardził wszelkim ubiorem, który nie odpowiadał jego codziennym wymogom tak samo, jak nie uznawał nawet codziennego golenia, które mężczyźni uważają za konieczność życiową.

Tak był pochłonięty obecnie pracą, że ani chwili nie chciał poświęcić osobistemu wyglądowi i powierzchowność jego była bardzo zaniedbana.

Przez kilka dni wcale się nawet nie pokazywał przy obiedzie. I dziś Joe Penny uśmiechnął się jowialnie, stawiając przed nim zupę.

— Słota ma swoje korzyści — zauważył gospodarz — przynajmniej odżywi się pan trochę, zanim pogoda się poprawi.

— Jeżeli się nie zmieni, to zamorduję kogoś — burknął Harvey. Joe roześmiał się dobrodusznie z żartu i wyszedł z pokoju. Nieznajomy usiadł sam przy małym stoliku, w rogu sali. Szare jego oczy obserwowały drzwi. Ani słowem nie zwrócił się do Harveya, który ze swoimi ściągniętymi brwiami, nie zachęcał nikogo do rozmowy.

Joe Penny kręcił się chwilę koło nieznajomego, ale zupełnie był ignorowany, bo kilka uwag, które uczynił gość, pominął pogardliwym milczeniem.

Pastor z żoną usiedli przy końcu stołu, który zajmował Harvey. Wrócili widocznie przemoczeni, ale zadowoleni ze spaceru. Wesoła ich rozmowa odbijała na tle ponurego milczenia.

Wreszcie pastor rozejrzał się po sali i odezwał do Joego:

— Kapitana Turnera nie ma jeszcze? Mam nadzieję, że nie zachorował po wczorajszej przygodzie.

Żona jego spojrzała w stronę Harveya, ale z ponurej jego twarzy nie mogła niczego odgadnąć.

— Pan Penny powiedział, że kapitan ma się zupełnie dobrze — zauważyła.

Nieznajomy poruszył się, jak gdyby coś ważnego usłyszał, ale ponieważ więcej nie mówiorio na ten temat, utkwiał znowu wzrok w drzwiach.

Joe Penny przyniósł właśnie półmisek z rybą, gdy wszedł Tiggie j zwykłym, spokojnym swoim krokiem.

— Spóźniłem się — rzekł do gospodarza. — Nie będę jadł zupy! Zacznę od ryby.

Usiadł obok Harveya, pastora z żoną powitał z uśmiechem, a nieznajomego w kącie sali, zdawał się nie dostrzegać.

— Cieszymy się, że pana widzimy, kapitanie Turner — odezwał się podniesionym głosem pastor. — Baliśmy się, że się pan przeziębził wczoraj.

— Jestem zupełnie zdrowy, nie tak łatwo choruję. Tymczasem nieznajomy nie spuszczał wzroku z Tiggiego. Harvey wcale nie podniósł oczu znad talerza i w milczeniu podsunął jedynie przyjacielowi butelkę whisky. Tiggie jednak z zaproszenia nie skorzystał.

W czasie obiadu tylko pastor z żoną zabawiali się rozmową, bo kapitan Turner siedział za daleko i nie mógł w niej brać udziału. Harvey nic prawie nie jadł, chociaż robił wrażenie zgłodniałego wilka. Tiggie natomiast nie objawiał żadnego zdenerwowania.

Nieznajomy zaś w kącie obserwował kapitana, wchłaniając w siebie potrawy.

Pastor z żoną pierwsi wstali od stołu i poszli na górę do ogrzanego saloniku, gdzie w kominku płonął ogień.

A w sali zapanowało głucho milczenie, które trwało dłuższą chwilę. Wtem Harvey cofnął nagle zniecierpliwionym ruchem krzesło.

— Skończyłeś nareszcie? — spytał Tiggiego. — Chodźmy.

— Nie potrzebowałeś na mnie czekać — odpowiedział łagodnie Tiggie. — Dokąd pójdziemy jednak? — zapytał wstając z miejsca.

W tej samej chwili nieznajomy podniósł się także z krzesła i zaszedł mu drogę.

— Przepraszam! Czy mam przyjemność mówić z kapitanem Turnerem? — rzekł.

W głosie jego brzmiało wyzwanie, na które Tiggie zareagował z całym spokojem.

— Tak, nazywam się Turner — odpowiedział.

— Domyśliłem się, chociaż pański przyjaciel chciał mnie przed chwilą wyprowadzić w pole. Gdzie mogę z panem porozmawiać na osobności?

— Nigdzie! — przerwał Harvey. — Kapitan nie jest przyzwyczajony wdawać się w rozmowę z nieznajomymi.

— Niech pan pozwoli, że przedstawię mu mego szwagra — wtrącił spokojnie Tiggie — pan Gilmore. Nie wydaje mi się jednak, abyśmy się już kiedyś spotkali, prawda?

Uprzejme słowa kapitana podziałały uspokajająco. Harvey umilkł zdumiony, a nieznajomy obserwował Tiggiego podejrzliwym okiem.

— Nazywam się Norman — oznajmił. — Pan więc jest kapitanem Turnerem?

—: Tak, jestem Turner — odparł Tiggie. — Co pan chce mi powiedzieć? — spojrzał mu prosto w oczy.

Norman drgnął pod spokojnym, badawczym spojrzeniem.

— Czy moje nazwisko nic panu nie mówi? — zapytał. Tiggie zawahał się na chwilę, po czym odpowiedział:

— Proszę mówić otwarcie, nie umiem rozwiązywać zagadek. Norman spojrzał na Harveya, który ciężko dyszał.

— To nie jest odpowiednie miejsce na prywatną rozmowę — rzekł. — Chciałbym porozmawiać z panem w cztery oczy. Czy mogę?

— Nie — odpowiedział stanowczo Harvey. Tiggie popatrzył na szwagra.

— Wiesz co, przyjacielu, lepiej będzie, rzeczywiście, gdy sam rozmówię się z tym panem. Zostań jednak w pobliżu... zaczekaj na mnie w bufecie.

We wzroku Harveya odbijał się gniew, Tiggie jednak umiał być stanowczy, Harvey więc wyszedł posłusznie z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

— A teraz — rzekł krótko urzędowym tonem, jak gdyby brakło mu już cierpliwości. — Czego pan ode mnie żąda?

Wyraz twarzy nieznajomego zmienił się. Norman gapił się chwilę potem zaśmiał złośliwie.

— Ach! Takim więc tonem pan przemawia? Jestem intruzem, co? Pod pewnym względem, tak. — Gwałtownym gestem wyciągnął z kieszeni list i rzucił go na stół. — Mogę zapytać, czy to pan pisał?

Tiggie spojrział na papier. Tak, był to jego list wysłany przed sześcioma tygodniami do Filipa Griersona.

— Nie pisałem go do pana — zauważył.

Norman roześmiał się znowu. Coś okrutnego było w jego śmiechu.

— Wiem o tym. Ale przyznaje się pan, że to jego list?

— Naturalnie.

— Dlaczego pan pisał? — pytał Norman. Tiggie wzruszył ramionami.

— Czy ma pan jakiś specjalny powód, aby mnie o to pytać?

— Tak, mam. Każdy przeciętnie inteligentny człowiek wiedziałby jaki. Czy nie wyjawi mi więc pan swego motywu?

— Nie rozumiem, co to pana obchodzi — odparł Tiggie. Szare oczy zabłysły gniewem.

— Może pan powie więc, że fakt, iż moja żona wychodzi po raz drugi za mąż, nie będąc rozwiedziona, nie powinien mnie obchodzić?

— Norman cedził powoli każde słowo.

— Pańska żona? — powtórzył Tiggie. — Nie mam przyjemności jej znać.

— A kim jest ta pani, o której pisze pan w liście, że ją poślubił?

— pytał Norman.

— Dla pana, w każdym razie nikim — rzekł Tiggie sucho.

— Ach, doprawdy i pan na serio w to wierzy? Pan naprawdę wierzy, że Viola Norman jest dla mnie nikim?

— Nie znam takiej osoby — odparł Tiggie.

— Nie zna pan — powtórzył Norman dobitnie ze złym błyskiem w oczach. — Nazywa ją pan może inaczej. Ale ona nie ma prawa do innego nazwiska. Nie mam pojęcia, jaką historię, panu opowiedziała. Kobiety są przysłowiowo niedokładne... szczególnie, gdy chodzi o ich; moralność. Mogę pana jednak zapewnić i udowodnić to. Kobieta, którą pan poślubił, jest moją żoną! I nic, co by pan powiedział lub uczynił, nie może tego zmienić.

Tiggie choć przygotowany na ten cios, chwilowo został nim oszołomiony. Stał sztywny, milczący, starając się ukryć swe cierpienie, ale kroplisty pot wystąpił mu na czoło i spływał po jego twarzy. Norman tymczasem uśmiechnął się diabelsko na widok jego udreki.

— Nie spodziewał się mnie pan tak prędko? — rzekł.

Tiggie stał ciągle nieruchomo, a w oczach jego malowała się rozpacz.

Wreszcie odezwał się martwym głosem.

— Po co pan przyjechał? Norman lekko wzruszył ramionami.

— Przybyłem po to, aby upomnieć się o swoje prawa. Z powodu nieszczęśliwego wypadku moja żona pojechała do Anglii beze mnie. Udałem się za nią przy najbliższej sposobności, aby przekonać się, że popełniła bigamię i poślubiła drugiego; to znaczy, i ile to prawda, że pan wziął z nią ślub, w co wątpię.

Rzucił te słowa z pogardą, a Tiggie wstrząsnął dreszcz, zacisnął mocno dłonie, aby uchronić się przed wybuchem.

— Zanim o mnie zaczniemy mówić — rzekł spokojnie — chciałbym, aby mi pan pokazał metrykę swego ślubu.

— Z przyjemnością. — Norman sięgnął do kieszeni, skąd wyjął kopertę. Wyciągnął z niej dokument i rozłożył przed oczyma Tiggiego.

— A teraz może mi pan pokaże swoją?

— Później, jeżeli zajdzie potrzeba — odparł Tiggie.

Nachylił się nad papierem, zapadło milczenie, w ciągu którego Norman z drwiącym wyrazem w oczach i złośliwym uśmiechem na ustach patrzył na kapitana.

Tiggie podniósł wzrok.

— Nie wiadomo, czy dokument jest prawdziwy — powątpiewał.

— Muszę naturalnie to zbadać. Tymczasem — urwał na chwilę, patrząc mu w oczy — tymczasem, panie Norman, widzi pan, że jestem tutaj sam, tylko z moim szwagrem i lepiej będzie, gdy pan mnie pożegna.

— Ach, straszy mnie pan. Nie skończyłem jednak jeszcze. Niech mi pan wierzy, że dokument jest prawdziwy.

Zresztą może pan to w każdej chwili sprawdzić. Nie jestem takim głupcem, abym uwierzył, że pan tu pozostaje dla swego zdrowia. Dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem, dzięki szczegółom, które pan podał w liście. Jak powiedzia-

łem, przyjechałem upomnieć się o swoje prawa i żadna brutalna siła nie powstrzyma mnie od tego. Zapewniam pana.

— W jaki sposób chce się pan upomnieć o swoje prawa? — zapytał Tiggie. ,

— Nareszcie zbliżamy się do celu. — Nuta triumfu brzmiała w głosie Normana. — O tym właśnie chciałem mówić. Znając moją żonę, wierzę, że przedstawiła siebie, jako wolną, pokrzywdzoną niewątpliwie kobietę. Pan wpadł w pułapkę i teraz znajduje się w dziwacznej sytuacji. Chodzi o to, czy znając prawdę, nie zechce pan zrezygnować z małżonki?

Tiggie oddycyjał pospiesznie.

— Muszę najpierw przekonać się o prawdzie — rzekł. Norman wzruszył znowu ramionami.

— Jak pan chce! Ja uważam, że szybkie porozumienie się ze mną, ze względu na pana, byłoby korzystniejsze. Pan jednak zna lepiej swój interes. Zaznaczam jednak, że nie mam zamiaru być wielkoduszny i ona odpłynie ze mną następnym statkiem.

W tej chwili dłoń Tiggiego chwyciła jego ramię. Głos jego, chociaż był tylko szeptem, brzmiał groźnie.

— Wszystko inne może się stać, ale nie to! — syknął.

— -No, za to będzie zapłata — Norman zachichotał. — Nie sądzi pan chyba, że jestem jakimś półgłówkiem, który dobrowolnie będzie dzielił się żoną z drugim mężczyzną? Albo płaci się za towar, albo go zabieram z powrotem. A w tym wypadku, ma pan moje słowo na to — krzyknął — ona zapłaci!

— Wstrętny łotrze! — rzucił Tiggie.

W tej chwili jednak powstrzymał się, bo nagle drzwi się otworzyły i wszedł Joe Penny.

— Przepraszam panów, myślałem, że panowie już skończyli. Na górze jest ciepło, jeżeli panowie chcą jeszcze pójść na papierosa.

Tiggie opamiętał się nagle i patrzył, jakby oszołomiony na gospodarza, podczas gdy Norman wybuchnął śmiechem. Joe Penny, widocznie odczuł coś niezwykłego w atmosferze, bo umilkł na chwilę, po czym, również roześmiał się pobłaźliwie.

— Może panowie zechcą przyjść do bufetu. Tamten pan jest tam także i dwa razy już mu usłużyłem. Mówiłem do swojej żony: ten obraz

powinien być nadzwyczajny, gdy będzie skończony. Ale ci artyści! Nigdy nic nie wiadomo z nimi, nigdy! — zaśmiał się znowu serdecznie.

— Czy mogę tu sprzątać?

Tiggie z wysiłkiem uzbroił się w cierpliwość.

— Naturalnie, proszę sprzątać. My porozmawiamy kiedy indziej

— rzekł, zwracając się do Normana, który z drwiącym uśmiechem skierował się ku drzwiom.

— Proszę nie zapomnieć jednak, że wracam do Bombaju następnym statkiem — powtórzył Norman.

— Nie zapomnę o niczym — odpowiedział Tiggie i udał się do bufetu, gdzie czekał na niego Harvey.

Norman zaś powoli wszedł na schody, a diabelski uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

* * *

— Przekłęte miejsce! — mruknął Harvey.

— Nic podobnego — rzekł Tiggie — wspaniałe.

Usiadł ciężko i opierając się łokciem o stół wycierał twarz. Harvey spoglądał na niego z uczuciem pogardy, która malowała się na jego twarzy.

— Czemu go nie zamordowałeś? — zapytał.

— O mały włos tego nie zrobiłem — mówił Tiggie, nie podnosząc oczu. — Joe Penny przyszedł w samą porę, aby mi przeszkodzić.

— Do kata z nim! — zaklął Harvey. — Co teraz będzie? zakatrupisz go w nocy, czy co?

— Nie — odparł Tiggie — obiecałem się z nim zobaczyć znowu.

— Co z tego przyjdzie? — powiedział Harvey — to tylko powiększy jego żądania.

— Tak, wiem. — Tiggie mówił z rozpaczą. — Po pieniądze przyjechał.

— I pozwalasz mu żyć! — wykrzyknął Harvey. Tiggie podniósł głowę i spojrzał na szwagra.

— Zdaje mi się, że jesteś pijany.

— Dziękuję za komplement, jestem pijany! I chcę nim jakiś czas pozostać. Masz coś przeciwko temu?

— Ach, nie — odparł Tiggie obojętnie. — Idź do diabła, jeżeli chcesz. Wszystko mi jedno.

— Dzięki! — rzekł Harvey, gładząc swą bródkę. — Moim końcowym przeznaczeniem jest lub nie jest ta czarodziejska kraina, o której wspomniałeś, ale rad jestem, że nie chcesz mi przeszkadzać w mojej podróży. Ponieważ jednak na razie moje sprawy załatwione, wracajmy do twoich interesów. Skoro widocznie zdecydowałeś pozostawić tę bezużyteczną istotę ludzką na ziemi, czy mogę wiedzieć, jakie zamierzasz uczynić kroki, aby ochronić nieszczęśliwą kobietę, która oddała się pod twoją opiekę?

Wychylił znowu kieliszek whisky, którą nalał z butelki stojącej obok niego.

— Nie wiem — rzekł Tiggie — nie wiem, co mogę zrobić, chyba wymłócić go za każdym razem, gdy zechce się do niej zbliżyć.

— Nie bądź głupi! Te dziecinne bzdury nigdzie cię nie zaprowadzą. Powiesz mi może, że na końcu oddasz ją jemu. Tiggie podskoczył.

— Niegodziwy jesteś, Harvey! — zawołał. — Ty coś oberwiesz, jeżeli nie będziesz się miał na baczności. Harvey złożył mu jedynie ukłon.

— Nareszcie obudziłem cię. Nie chciej wyładować na mnie swojej energii. Posłuchaj mnie tylko! Nie wdawaj się więcej w rozmowę z tym brutalem. Weź go jutro na spacer, na sam szczyt skały tej, na której wisiałeś, nikt ci tam nie przeszkodzi, możesz go wymłócić tak, że się nie będzie mógł ruszać. Mam dobrą, grubą laskę, którą mogę ci pożyczyć. Porządnie zabierz się do tego, człowieku.

Tiggie oddychał pospiesznie i ciężko.

— Ach, gdybym tylko mógł! Gdybym mógł!

Harvey roześmiał się, a w śmiechu tym był jakiś diabelski dźwięk.

— Zrób to więc, człowieku, zrób! Nikt ci nie przeszkodzi. — Spojrzał na Tiggiego krytycznie. — Sądzę, że dasz sobie sam z nim radę doskonale.

Tiggie popatrzył na szwagra trzeźwym wzrokiem.

— Ty teraz pleciesz bzdury — rzekł.

— Powiadam ci, spraw mu lanie, a potem dopiero rozmawiaj.
— Harvey wziął znowu do ręki butelkę, która stała na tacy. Tiggie zaś obserwował go z lękiem.
— Zabijesz się, Harvey — rzekł po chwili.
— Nie — odpowiedział sącząc trunek. — W każdym razie jeszcze nie teraz. A jeżeli nawet zginę, nikt nie poniesie straty. Sądzisz, że Jartet stłukłaby jedno choć jajo z żalu za mną? Z pewnością nie.
— Nie wiem — odparł Tiggie.
Harvey odrzucił w tył głowę i zaśmiał się.
— Z pewnością nie! Możesz mi wierzyć! Robiłaby dalej swoje i macała kury. Mimochodem tylko powiedziałyby: Biedny, kochany Harvey! Mam nadzieję, że na tamtym świecie dadzą mu kawałek płótna i farby.
Tiggie uśmiechnął się mimo woli. Obraz poczciwej twarzy siostry ze snopami siwych włosów stanął mu przed oczyma.
— Dobre stworzenie z niej — rzekł.
— Zawsze to mówiłem — potwierdził Harvey. — No, zabierz się więc do swego dzieła! Spraw mu lanie i niechaj niebo ci w tym sprzyja! Zdaje mi się jednak, że należałoby dzisiejszej nocy uważać na naszego przyjaciela, aby nie zrobił piekła w małym domku.
— Gdyby to uczynił — oświadczył Tiggie, oddychając głęboko
— zabiłbym go wtedy!
— To dobrze — mruknął Harvey. — Doszedłeś więc do tego samego, co ja.
— Ale on tego nie uczyni — odpowiedział Tiggie znowu spokojnie. — Nie zrobi nic w pośpiechu. To popsułoby mu wszystko.
— Nie licz na to zanadto — rzekł Harvey. — Ale nie martw się! Będę czuwał tej nocy! Wypełni mi to czas. Ty wypocznij i nabierz sił na jutro.
— Nie położysz się? — zapytał Tiggie. Błyszczący wzrok artysty zwrócił się ku niemu.
— Nie kładę się nigdy, jeżeli nie jestem śpiący. Po co bowiem?
— Rzeczywiście, po co dyskutować z człowiekiem — pomyślał Tiggie — który najwidoczniej znajduje się w nietrzeźwym stanie. Gdybym sam nie był tak skołatany, martwiłbym się poważnie Harveyem. W obecnym położeniu nie ma czasu już na inne troski. Harvey musi sam iść swoją drogą, jak to niewątpliwie nieraz już poprzednio czynił.

Praw-

dopodobnie skraca sobie życie przez swoje wybryki, ale to także jego własna sprawa. Nie należy do tych ludzi, którzy potrafią żyć i umierać w zwyczajny sposób. Powstrzymywanie go byłoby stratą czasu.

Tiggie wiedział, że i dla niego nie będzie snu tej nocy. Musi rozważyć gorzki problem, którego nie potrafi rozwiązać! Przede wszystkim nie będzie mógł ukryć prawdy przed Violą bez względu na to, czy Norman rości sobie słuszne prawa do niej, czy nie.

Jeżeli jej małżeństwo z Normanem jest ważne, jedna tylko droga zostaje. Nie zrezygnuje bowiem nigdy z Violi. Normana trzeba będzie zmusić, aby ją uwolnił. Ale jakimi środkami? Nad tym właśnie musi się zastanowić. On widocznie chce pieniędzy, ale jakiej sumy żąda? Tiggie nie był bogaty. Prócz pensji posiadał tylko szczupłą kwotę, ale może ta wystarczy. Niegdy nie interesowały go procesy rozwodowe. Ewentualność taka, że sam może się znaleźć w podobnym położeniu, nie przyszła mu na myśl. Rozwód oznaczałby dla niego poświęcenie prawdopodobnie kariery wojskowej, ale dałby mu Violę na zawsze. Pomimo wszystko jednak, czyż zależało mu na czynnym? Spostrzegł, że Harvey ustawicznie wchłania w siebie trunki i nagły wstręt go ogarnął. Po raz pierwszy nie był w stanie znieść obecności szwagra.

— Idę więc — rzekł zmierzając ku drzwiom.

— Dobrze — zawołał Harvey — śpij smacznie.

— Dobrej nocy! — odparł Tiggie i ciężkim krokiem wyszedł z bufetu.

** *

W ciągu długich, nocnych godzin prześladowała Tigiego, jak z mora, jedna myśl, że musi Violi powiedzieć prawdę. I nie mógł usunąć sprzed oczu obrazu jej bladej twarzy, którą widział rano. I w uszach dźwięczały mu ciągle jej słowa: Chcę zatrzymać swój raj trochę dłużej, chociaż to jest tylko raj głupców. — Zrozumiał teraz, dlaczego te słowa tak go dręczyły. Przez całą straszną noc, gdy deszcz bił o szyby i wiatr świszczwał nad morzem, Tiggie leżał bezsilny. I chwilami nawet jego mężne serce kurczyło się pod wpływem lęku, którego nie był w stanie wytłumaczyć.

Rano wstał zmęczony, aby stanąć do ostatecznej walki.

Nikogo nie było na dole, gdy zszedł na śniadanie, tylko Joe Penny zajęty sprzątaniami, usługiwał mu w pośpiechu, nie mając czasu na rozmowę. Wiatr i deszcz ustał, ale gęsta mgła wisiała nad morzem.

— Słyszysz pan syrenę? — rzekł gospodarz.

Tak, Tiggie słyszał i pragnął w duszy, aby umilkła. Wydała mu się symbolem olbrzymiej rozpacz.

Gdy wyszedł na drogę, odniósł wrażenie, że strumyk, który płynął opodal, miał jakiś dziwnie głuchy odgłos, jakby wydobywający się spod ziemi.

Tiggie skierował się w stronę skalistej ścieżki, wiodącej do domku. Przede wszystkim postanowił zobaczyć się z Violą. Nie ma sensu zwlekać z wyjawieniem jej prawdy. Razem muszą stawić czoło rzeczywistości.

Ciężko stapał po śliskiej ścieżce. Przed furtką zatrzymał się, ale nie w takim nastroju jak wczoraj. Daleki gwizd syreny znowu niby jęk dolatywał jego uszu i Tiggie wstrząsnął się z uczuciem śmiertelnego zimna. Jakaś okropna mgła zdawała się go całego spowijać. Biegł przez mały ogródek, zdając sobie sprawę z lęku, który go prześladował. W korytarzu zatrzymał się, aby obetrzeć z twarzy zimne krople mgły, lub może potu? Widocznie długie, nocne czuwanie tak podziało na jego nerwy.

— Nie mogę jej się pokazać w stanie rozdrażnienia — pomyślał. — Nic bardziej zaraźliwego nie ma od lęku. I czego właściwie mam się bać?

Gdy tak bił się z myślami, usłyszał po drugiej stronie korytarza jakieś szmery, drzwi od małego saloniku otworzyły się i stanęła przed nim Helena.

— O, Tiggie! To ty?

W głosie jej brzmiała nuta ulgi i zmieszania, którą on nawet zauważył.

— Co się stało? — rzekł. — Czy wszystko w porządku?

— Tak. O, tak. — odpowiedziała mu, nie mogąc jednak ukryć pewnego zakłopotania. — Wiesz, wiesz naturalnie, że jej mąż przyjechał?

— Czy mogę wejść do pokoju? — zagadnął.

Cofnęła się w milczeniu, a Tiggie postąpił naprzód. Jadła właśnie śniadanie. Tiggie dostrzegł zmęczenie w jej oczach.

— Za późno dziś jestem — tłumaczyła się Helena. — Nie mogłam jednak zatrzymać Violi w łóżku. Chciała koniecznie wstać i musiałam jej pomóc w ubieraniu. Joyce jest teraz u niej.

— Co z jej mężem? Widziałaś go?

— O, tak — rzekła. — Zjawił się wczoraj zaraz po kolacji. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Ale tak nalegał, że musiałam go wpuścić do Violi.

— Co? Co? — wykrzyknął Tiggie.

Krew uderzyła mu do głowy i przez chwilę tak dzwoniło mu w uszach, że nic nie słyszał. Helena jednak nie dawała mu odpowiedzi i tylko głos syreny w tym głuchym milczeniu przywołał go do przytomności.

Gdy znowu cisza zapanowała, zdał sobie sprawę ze słów Heleny, która starała się usprawiedliwić.

— Nie podobał mi się ten człowiek, ale jest jej mężem. Powiedziałam mu, że żona bardzo chorowała i prosiłam, by jej nie niepokoił, ale nic nie pomogły moje słowa. Musiałam więc pójść i powiedzieć jej o jego wizycie.

— A ona? — pytał przerażony Tiggie. Helena zrobiła niedbały ruch.

— Biedactwo! Dzielna była, jak lew, ale robiła wrażenie przestraszonego królika. Od razu powiedziała, że chce się z nim widzieć.

— A potem? — głos jego był bezdźwięczny, żyły na czole nabiegły mu krwią.

— Zamknął drzwi na klucz i był u niej ze dwie godziny. Nie wiedziałam, co robić. Siedziałam tylko w swoim pokoju i czekałam.

— Mów dalej — rzekł Tiggie.

— Nie wiem, co zaszło między nimi. Zachowywał się bardzo spokojnie. Słyszałam tylko raz, że ona płakała.

Chciałam cię wezwać, lecz bałam się, że to może pogorszyć sprawę. Czekałam więc jedynie, aż nareszcie wyszedł z jej pokoju. Bardzo był uprzejmy, przeproszał, że z jego powodu tyle czasu straciłam i powiedział, że mogę spokojnie położyć się, bo żona jego przygotowuje się już do smacznego snu. O, Tiggie! — Helena wołała oburzona! — Co to za brutal! Jaki brutal!

— Opowiedz mi do końca — nalegał Tiggie.

— Mówił, że zamieszkał w gospodzie, zamknęłam za nim drzwi i poszłam do Violi. Leżała, jak nieżywa. Podałam jej brandy, nie chciała jednak pić. Prosiła, aby pozwolić jej umrzeć. Przełknęła wreszcie kilka kropel i potem nie wiem czy usnęła. Leżała jakby w transie całą noc. Nie odstępowałam jej. Dziś rano powiedziała mi, że musi wstać. Siedzi teraz u siebie w pokoju, ale wygląda okropnie. — Helena zrobiła błagalny gest. — Gdy pójdziesz do niej, bądź ostrożny, na miłość Boga, uważaj.

— Idę już do niej — rzekł zmierzając ku drzwiom.

Helena nie starała się go zatrzymać. Tiggie wydał jej się zupełnie zmieniony.

— Każ Joyce przyjść do mnie — dodała.

Gdy Joyce usłyszała kroki Tiggiego, wyszła na schody i zarzuciła mu rączki na szyję.

— Możesz wejść, wujciu Tiggie. Ciocia Viola wstała — oznajmiła. Serdeczny uścisk dziecka pomógł mu się opanować. Pocałował

dziewczynkę i powtórzył jej zlecenie matki, po czym zczekał, aż zbiegnie na dół i dopiero zapukał do drzwi Violi. Usłyszał cichy szept.

Viola siedziała plecami do światła. Na odgłos jego kroków, nawet nie drgnęła. Oczy miała spuszczone i robiła wrażenie martwego posagu.

Tiggie zamknął za sobą drzwi i zbliżył się do ukochanej. Ukląkł przed nią w milczeniu, otoczył ją ramieniem, głowę swą przytulił do jej zimnych dłoni. Wstrząsnęła się przy jego dotknięciu.

Ale, nawet wtedy, gdy zamknął ją w swoim uścisku, nie zdradziła żadnej ochoty, aby poddać się jego pieścizotom. Wreszcie przyciszonym głosem spytała:

— Czy przyszedłeś pożegnać się? Tulił ją z całą siłą do serca.

— Nie, nigdy! nigdy w świecie! Nigdy cię nie opuszczę.

— Nie można zatrzymać tego, czego się nigdy nie miało — rzekła tym samym szeptem. — Byłam dla ciebie jedynie burzliwym prądem, niczym więcej.

— Jesteś dla mnie wszystkim, życiem — odpowiedział jej namiętnie. — Jesteś moja i nie pozwolę ci nigdy odejść.

— Nie jestem twoja, nigdy nią nie byłam i nie mogę być. W duszy zawsze to czułam.

Trzymał ją mocno.

— Violo! Violo! nie mów tego! To nieprawda. Wywalczę cię sobie. Nie puszcę cię, przysięgam!

— Nic nie pomoże — mówiła — wszystko było pomyłką. Nie powinnam się była nigdy zwrócić do ciebie o pomoc. Powinnam była znać prawdę.

— Jak mogłaś wiedzieć, skoro ten łotr cię okłamał? Lecz słuchaj, wywiozę cię. On może robić, co chce. Nie zbliży się więcej do ciebie.

Drgnęła, podnosząc powoli głowę i mierząc się z jego wzrokiem. A w zamglonych jej źrenicach, jak blask gwiazdy w cichej wodzie, pojawił się uśmiech, który Tiggie znał już — był to uśmiech zrezygnowanej ofiary.

— To takie podobne do ciebie, Tiggie — rzekła. — Ale to niemożliwe. Nie mogę jechać z tobą. Jakże bym mogła potem spojrzeć sobie w twarz? I tak popsułam ci już życie. Nie, nie, nie mów. Rzucę się teraz na los szczęścia. Dwa razy ocaliłeś mi życie. Niech Bóg cię błogosławi za wszystko, co dla mnie uczyniłeś! Zniknę jednak teraz z twego życia na dobre. Nie zatrzymuj mnie, Tiggie, łatwiej bowiem przyjdzie mi umrzeć, niż przyjąć twą ofiarę. Jeżeli kochasz mnie tak, jak ja ciebie, zrozumiesz.

Błagalna nuta brzmiała w jej słowach. Tiggie jednak postanowił bronić swej sprawy.

—< A co ze mną się stanie? — zapytał. — Czy sądzisz, że życie będzie dla mnie miało jakąś wartość bez ciebie? Uśmiechnęła się ponownie do niego.

— O, tak, z czasem. Naturalnie nie od razu. Ale powoli, gdy wrócisz do swego pułku, wszystko pójdzie po dawnemu.

— Przestań! — zawołał Tiggie. — Jeżeli nie zdajesz sobie sprawy z piekła, które mnie czeka, to nie znasz mnie wcale. Zresztą ten łotr przyjechał po pieniądze, a nie po ciebie. Przypuszczam, że ci tego nie powiedział.

Drgnęła znowu i chociaż uśmiech jej znikł, trwała w swym postanowieniu.

— Nie, nie powiedział mi tego — przyznała. — Ale nie mogę jakoś w to uwierzyć, ponieważ groził mi, że ciebie zabije, jeżeli... jeżeli...

— Jeżeli co? — rzekł Tiggie. Ukryła twarz w dłoniach.

— Jest moim mężem — szepnęła. — Ma więc prawo.

— O Boże! — westchnął Tiggie.

W milczeniu tulił ją do siebie, ale twarz jego stała się szara a oczy miały wyraz kamienny.

Długa chwila upłynęła, zanim odezwał się znowu i w głosie jego nastąpiła delikatna zmiana.

— Jeżeli chodzi o prawo, to dawno je stracił. Jeżeli o sprawę morderstwa, dwóch nas brałoby w tym udział. Słuchaj teraz, Violo, nic nie skłoni mnie do tego, abym z ciebie zrezygnował. Wszystkie przeszkody przezwyciężę, aby móc uczynić cię swą żoną.

Viola milczała.

— Violo! — zawołał — rozumiesz mnie? Powiedz, że tak.

Ona nie podnosiła jednak w dalszym ciągu głowy, chociaż cała jej postać drżała w jego uścisku.

Czekał chwilę, dopóki nie spojrzała na niego, a wtedy oczy jej błyszczały jakimś dziwnym uduchowieniem. Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Wiem tylko jedno — rzekła głosem czystym i stanowczym. — Uczyniłam źle, przyjmując twą pomoc. Ale koniec już z tym. Popłynę sama na falach Losu, Tiggie, a dokąd, Bóg jeden wie. Nie na twojej tratwie jednak, chociaż nigdy nie zapomnę twej wielkiej dobroci. Teraz chcę, abyś mnie pożegnał na dobre. Zrozum, że wolałabym umrzeć, niż ciebie pociągnąć w otchłań. Gdyby do tego miało dojść, zginęłabym. Mówię poważnie i nic nie zdoła zmienić mego postanowienia. Gdybym cię mniej kochała, może korzystałabym dalej z twej dobroci, ale wobec ogromu mego uczucia, musimy się pożegnać. Proszę cię, pocałuj mnie i odejdz tak, byśmy się już nigdy nie spotkali. To jest jedno, co możesz jeszcze dla mnie uczynić.

Słyszając jej błaganie, Tiggie zrozumiał, że nie wolno mu dłużej sprzeciwiać się jej i dręczyć ją swoim uporem.

Pomimo buntu, z miłości dla niej postanowił poddać się jej życzeniu.

Lecz Violi zabrakło w końcu sił i wybuchnęła płaczem, a Tiggie wzruszony jej cierpieniem tulił ją, pieścił i pocieszał.

— Dobrze, droga, odejdę, tylko przestań płakać. To nie jest nasze rozstanie. Bóg jeden wie, że to niemożliwe. Pójdę jednak na razie, skoro tego pragniesz.

Wstał z klęczek i przeniósł Violę z fotelu na łóżko. Pochylony nad nią nie wypuszczał jej ze swego uścisku.

— Nie martw się, kochanie. Nie mogę cię zostawić tak zapłakaną. Tuliła się jeszcze długo do niego, jak dziecko i szlochała żałośnie, aż

wreszcie uspokoiła się zupełnie.

— Żegnaj — szepnęła i głowa jej bezwładnie opadła na poduszki, twarz zaś miała śmiertelnie bladą.

W tej chwili Tiggie usłyszał za plecami głos Heleny.

— Zostaw ją mnie. Zemdlała tylko. Wyjdź z pokoju. Będzie to dla niej lepiej.

* **

Tiggie nie wiedział, jak się znalazł w gospodzie, gdzie dopiero oprzytomniał. W duszy odczuwał tak dotkliwy ból, że miał wrażenie, iż cały świat przestał dla niego istnieć. Przyświecała mu jedna tylko myśl, której trzymał się z uporem. Postanowił jak najprędzej stawić czoło swemu wrogowi.

O Violi nie miał odwagi myśleć i na razie starał się ją wyrugować ze swej pamięci. Tak, jak jej powiedział, nie uważał ani przez chwilę, żeby pożegnanie z nią było ostatecznym ich rozstaniem. Dopóki nie zobaczy się z Normanem, nie jest w stanie określić, jaki będzie koniec. Odnaleźć tego człowieka i stłuc go, oto jego pragnienie i nie spocznie, dopóki nie uczyni tego.

Gospoda o tej godzinie była opustoszała, pokoje wszystkie próżne. Tiggie wyszedł na górę, ale i tam nikogo, prócz hożej pokojowej, nie spotkał. Wszystkie drzwi były pootwierane, wszystkie pokoje puste. Zszedł więc zniecierpliwiony zwłoką.

Wśród mgły i deszczu włączył się dłuższy czas po ulicy i wsłuchiwał w przytłumiony dźwięk syreny. Wtem przyszła mu do głowy pewna myśl i wrócił do hallu.

Wziął do ręki grubą laskę, własność Harveya.

— Tak, będzie mi teraz potrzebna — rzekł do siebie, obracając kij w dłoniach.

Znalazł się ponownie na pustej ulicy. Nic innego nie pozostaje mu, jak czekać na powrót wroga. Lecz czekanie wydało mu się gorsze od wszystkiego.

Skierował się w stronę mostu, gdzie płynął rwący potok. Od deszczu woda silnie wezbrała i szum jej chwilowo trochę go uspokoił.

Ale trwało to krótko. Tiggie uporczywie wracał do jednej i tej samej myśli: Kiedy nareszcie zjawi się ten łotr?

Przecież w taki dżdżysty, mglisty ranek nie może długo wałęsać się po dworze.

Tiggie spacerował tam i z powrotem, gniotąc w rękę ciężką laskę. Wszystko to wydało mu się jakąś okropną zmorą i tylko żałosny jęk syreny przerywał groźną ciszę. Miał wrażenie, że całą wieczność już czeka i że otacza go wokoło morze krwi.

— To chyba skończy się rozlewem krwi — rzekł do siebie i czuł, że pot występuje mu na czoło. Czemu nie zabił tego łotra owego wieczoru? Harvey radził mu to uczynić, a on uważał go za szaleńca. Teraz jednak robi to z całą pewnością. Broń, którą trzymał w ręce jest wystarczająca, aby rozwalić ludzką czaszkę. A w ręce swej czuje siłę olbrzyma. Wystarczy jedno, może dwa, najwyżej trzy uderzenia! I świat zostanie oswobodzony od jednego łotra, a Viola będzie bezpieczna.

Dotąd trzymał z dala od niej swe myśli, ale w tej chwili skupiły się na niej z podwójną siłą wszystkie jego marzenia. Widział jej bladą twarz i wydało mu się, że serce pęknie mu z bólu. To była ostatnia kropla w tej okropnej czarze, którą do dna wychylił.

Wtem usłyszał za plecami tupot nóg i odwróciwszy się zobaczył Joego Penny.

Gospodarz biegł widocznie już dłużej, bo bardzo był zadyszany.

— Co się stało? — pytał Tiggie.

— Nic, nic — dyszał Joe Penny — zaraz przyjdę do siebie i wszystko powiem.

Po chwili rzeczywiście wykrztusił.

— Przyszedłem po pana. Nie mam nikogo do pomocy. Chłopcy poszli łowić ryby. Pan sam to przeżył; więc pan wie.

Powiedziałem od razu Jimowi: Jeżeli kto potrafi pomóc, to kapitan Turner.

— Ale kto potrzebuje pomocy? — pytał Tiggie.

Lecz w tej samej chwili ogarnęło go dziwne jakieś przeczucie i sam sobie dał odpowiedź, którą Joe Penny głośno potwierdził.

— Ten pan, który wczoraj przyjechał, spadł ze skały w czasie mgły i woła o pomoc.

— Mój Boże! — rzekł Tiggie — Mój Boże! — powtórzył. Miał wrażenie, że sam w tej chwili wzywa rozpaczliwie Boga na pomoc.

Joe wyprostował się trochę odzyskawszy już siły.

— Jim czeka już tam, proszę pana. Jeszcze kawał sznura obiecałem im przynieść. Jego dwaj synowie są także. Ale żaden z nich nie potrafi się opuścić. Trzeba silnego mężczyzny, który by mógł wyciągnąć biedaka. Wiedziałem, że gdy pana znajdę, to pan nie odmówi swej pomocy. Już odpocząłem. Chodźmy więc, bo to życie lub śmierć dla tamtego.

Tiggie stał nieruchomo, jak ktoś, kto ma wystrzelić w ostatniej chwili swego życia. Serce waliło mu młotem. Życie lub śmierć! Czym jest życie, jak nie zaciętą walką biednych, ludzkich rozbitków, którzy pragną uniknąć zguby? A on, największy wśród nich głupiec, rzuci się sam w morze, aby ustąpić swe miejsce nieprzyjacielowi?...

Krew pulsowała mu w żyłach. Czuł, że powinien coś uczynić. Ale co? Ocalić życie człowiekowi, który, gdyby przed chwilą dostał się w jego ręce, byłby znalazł śmierć?

— Mój Boże! — szepnął znowu, jakby w agonii. — Mój Boże! Tylko nie to! Nie mogę.

Zdawał sobie jednak sprawę, że mocuje się z siłą wyższą, której nigdy nie zwycięży i że w duszy słyszy rozkaz, któremu musi być posłuszny. Do Joego Penny odezwał się więc krótko:

— Proszę pójść po brandy. Będzie nam potrzebna. Ja wyszukam sznur.

Tiggie pobiegł do szopy pospiesznie, jak gdyby bojąc się cofnąć przed raz powziętym postanowieniem. Znalazł zwój liny, którą przewiesił przez ramię, po czym pod drzwiami gospody spotkał się z Joem.

— Tam więc jest trzech ludzi? — zapytał Tiggie.

— Tak. Jim Walls i dwóch jego synów. Jim wprawdzie kuleje, ale ręce ma zdrowe. Potrafi ciągnąć linę. Chłopcy są młodzi i pomogą mu. A ja jestem dość żwawy, ale nie mam już głowy do tych rzeczy. Zbliżam się przecież do siedemdziesiątki — nuta usprawiedliwienia brzmiała w jego głosie.

Tiggie pokiwał jedynie głową i szybkim krokiem podążyli w stronę podwodnych skał.

— Woda wysoka pewnie? — spytał.

— O, tak. Ze trzy godziny potrwa zanim nastąpi odpływ, nie można więc łódką podpłynąć. Zatelefonuję chyba do straży wybrzeża w Coom-be, jeżeli pan nie może się podjąć ratowania tego biedaka, ale to potrwa długo, zanim oni przybędą. — Joe Penny z powątpiewaniem spojrzął na kapitana.

Z twarzy jego nie mógł niczego wyczytać, ale usłyszał odpowiedź.

— Pójdę sam go ratować.

Gdy słowa te padły z ust Tiggiego, dziwnym trafem światło rozproszyło otaczający ich mrok i szarą mgłę przedarł promyk słońca. Tiggiemu wydało się, że spadły mu z oczu łuski i czarna mglista zasłona stała się srebrzystobiałą, jakby opromienioną Chwałą Bożą!

Gdy doszli do skalistego brzegu, otoczyła ich znowu tak gęsta mgła, że w oddaleniu dwunastu metrów nic nie widzieli. Jim Walls, stary rybak, z którym Tiggie prowadził nieraz długie rozmowy, czekał już ze swoimi dwoma, kilkunastoletnimi synami oraz wszystkimi przedmiotami ratowniczymi, z którymi kapitan był już dobrze obeznany.

— On już przestał wołać — rzekł Walls. — Słyszać tylko morskie ptaki, nic poza tym.

Rzeczywiście, tylko krzyk morskiego ptactwa, rozpaczliwy szum niewidocznego morza i głos dalekich syren mieszały się razem, tworząc jedną, groźną wrzawę.

Tiggie wziął od Joego butelkę brandy i wsunął ją do kieszeni. Spostrzegł w tej chwili, że ciągle jeszcze trzyma w ręce ciężki kij Harveya, zaklął więc pod nosem i rzucił go daleko w ciemność.

— No, teraz do roboty! — mruknął.

Leżało przed nimi zadanie, nad którym nie zastanowił się jeszcze w szczegółach. Przejęła go jakaś groza, ogarnął go nieznanym mu do tej pory lęk. Czuł u swych stóp niezmierną głęboką wodę. Był sam wśród

mgły, odcięty od ludzi. Ale nie leżało to w jego naturze, aby przed czymś się cofać i lękać.

Jeżeli Harvey potrafił jemu przyjść z pomocą, czemu on by tego nie potrafił?

Tak, przed dwoma dniami Harvey był w tej samej sytuacji, a teraz z pewnością na jego miejscu ratowałby także człowieka, którego na zimno radził zamordować. Oryginał ten Harvey! Nigdy nie wiadomo, jak go należy traktować. Nareszcie stanął na jakimś kamieniu. Gwizdnął, aby dać znać rybakom. Tak, słyszy już wyraźniej plusk fal na dole.

Wśród gęstej mgły torował sobie po omacku drogę.

Wtem nagle przystanął, bo z próżni wydobył się cichy głos.

Tiggie rozejrzał się wokoło. Głos dochodził go z dołu.

— Tutaj! — usłyszał znowu szept.

Zobaczył w szczelinie skały około ośmiu stóp poniżej siebie, ciemną, skurczoną postać. Umocował linę i zaczął się opuszczać.

Kilka chwil później klęczał w szczelinie skalnej obok człowieka, któremu tak niedawno przysiągł śmiertelną zemstę. Ubranie na nim było poszarpane, a twarz broczyła krwią. Oczy miał na pół zamknięte, ale otworzył je szeroko, gdy Tiggie go dotknął, v

— To pan? — rzekł, wlepiając w niego zdumiony wzrok.

— Tak, ja — odparł Tiggie.

— Nie spodziewałem się pana — mruknął Norman.

— Zdaje się, że ciężko jest pan pokaleczony — zauważył Tiggie, próbując wsunąć mu pod plecy ramię. v

— Pokaleczony! — westchnął Norman. — To mój koniec. Proszę mnie nie ruszać! Jestem cały rozbity.

— Mam trochę brandy — odezwał się Tiggie. Błędny wzrok ożywił się.

— Napiję się — stękał Norman.

Tiggie otworzył butelkę i przyłożył ją do ust nieszczęśliwca. Norman pił z widoczną trudnością a Tiggie podtrzymywał mu głowę.

Wnet alkohol podziałał, coś dzikiego znikło ze wzroku Normana i zwrócił się już z większą uprzejmością do swego wybawcy:

— Po co pan tu przyszedł?

— Aby pana ratować — odpowiedział Tiggie.

Oczy Normana patrzyły na niego niedowierzająco.

— Gdzie więc jest diabeł, który mnie tu strącił? — zapytał nagle.

— Co? — rzekł Tiggie.

Norman powtórzył słowa z naciskiem:

— Diabeł, który mnie strącił! Czy przyszedł także patrzeć na moj koniec?

— Dobry Boże! — westchnął Tiggie — Czy pan wie, co pan mówi?

— Tak, wiem! — brzmiała odpowiedź. — Sprowadził mnie tutaj, abym się, z panem spotkał. Ale pan był na tyle dyskretny, że trzymałeś się w ukryciu.

— Co za diabeł... — wybuchnął Tiggie, po czym hamując się, dodał:

— Nie, pan się myli. Mnie nie było tutaj.

— O! Pana nie było? — I jak gdyby rozważając jego odpowiedź, przez chwilę obejmował go szklanym wzrokiem.

— Tak — rzekł wreszcie — wierzę, że mówi pan prawdę. Chociaż byłby pan oddał wszystko, aby móc mnie zamordować!

— Nie z ukrycia — odpowiedział Tiggie.

Coś tak strasznie realnego było w sytuacji, że czuł się wprost oszołomiony. Nie lękał się, lecz przejęty był grozą. Wiedział, że za kilka chwil będzie patrzył na śmierć.

Głos Normana spokojny był teraz i trochę drwiący.

— Tak, nie z tyłu, przyznaję. Pan jest jednym z tych, którzy otwarcie walczą. To był jakiś gorszy od pana diabeł!

Gorszy! — urwał, jak gdyby nie mógł mówić więcej.

— Proszę się napić jeszcze trochę brandy — rzekł Tiggie. Przyłożył znowu butelkę do sinych ust, ale Norman nie mógł już przełknąć.

— Biedaczysko! — szepnął Tiggie.

Słowa wyrwały mu się mimo woli, ale doleciały uszu umierającego, który nagle odzyskał przytomność. Jeszcze raz bacznie przyjrzał się kapitanowi.

— Pan... miał... mnie.... na myśli?

— Tak — odpowiedział Tiggie z prostotą dziecka. — Bardzo żałuję pana, naprawdę żałuję.

— Żałuje pan? — powtórzył Norman zdziwiony.

Zaczął znowu tracić przytomność, lecz duch uwięziony tym jednym, zdumiewającym słowem zatrzymał się u progu śmierci.

— Proszę, słuchać więc — szepnął Norman. — Ja także żałuję, żałuję, że pana rozgniewałem; żałuję, że ją znowu napastowałem. Żałuję za wszystko. Rozumie pan?

Czuł, że się dusi, że traci mowę. A tymczasem Tiggie wyciągnął rękę pospiesznie i uściskał bezwładną dłoń umierającego.

— Dobrze, dobrze — rzekł Tiggie.¹¹ Norman wyzionął ducha.

Śmierć spowodowana wypadkiem, brzmiało orzeczenie sędziego w Coombe i Tiggie opuściwszy salę, zastanawiał się w milczeniu nad prostą logiką tych wszystkich, którzy doszli do tego wniosku.

Główną zasługę posiadał Joe Penny, który przy takich okazjach był w swoim żywiole i w całej rozciągłości rozwijał teorie, dotyczące się śliskich skał i nieszczęśliwych wypadków.

Rola Tiggiego była stosunkowo łatwa. Świadczył o tożsamości ciała Johna Normana, męża Violi Norman z Cliff Cottage w Farne. Pani Norman bowiem z powodu choroby nie mogła się stawić osobiście. Następnie potwierdził słowa Joego Penny, co do akcji ratunkowej, w której sam brał udział, po czym z pewnym zakłopotaniem przyjął pochwałę sędziego. Co do ostatnich chwil Johna Normana nie stawiano mu szczegółowych pytań.

Śmierć wskutek wypadku — brzmiało orzeczenie i gdy Tiggie wyszedł z sali zdał sobie sprawę, na jak kruchych podstawach może się opierać ludzki sąd.

Wtem ktoś dotknął jego ramienia i Spot stanął przed nim.

Wracał do Farne z uczuciem ulgi i przygnębienia.

Nie widział Violi od chwili owej tragedii. Dziwne uczucie lęku trzymało go z dala od niej. Nawet teraz nie był pewny, czy może się do niej udać. Od ostatniego pożegnania do chwili obecnej dzieliła ich wielka przepaść. Dwa dni wydały mu się całym wiekiem. Zastanawiał się nawet, czy nie lepiej będzie wyjechać teraz na pewien czas i wcale się z Violą nie widzieć.

Gdy dojechali z Coombe do Farne, promienie zachodzącego słońca rozplýwały się w morzu. Tiggie zszedł z wózka i mijając most wpatrywał się w złocistą wodę. Odczuwał zmęczenie ale szum fal kojąco na niego działał.

— Dzięki Bogu, że wróciłeś — rzekł mimo woli kapitan.

— Doszedłem do przekonania, że nie powinienem był wyjeżdżać — odparł Spot.

— Rzeczywiście, sądzę, że słyszałeś o wszystkim.

— Słyszałem wiele. Jesteś bohaterem dnia!

— Nie żartuj sobie.

— No, dobrze, przyjacielu, nie irytuj się.

— Jakże ona się ma? — zapytał wreszcie Tiggie. — Chyba nie gorzej?

Spot odpowiedział mu z powagą.

— Doznała-wielkiego wstrząsu, naturalnie, ale wraca do sił. Będzie zdrowa. — Urwał i spojrzał mu w oczy. — Jeżeli chcesz wiedzieć jednak, to powiem ci, że zależy to głównie od ciebie.

— Chcesz powiedzieć, że ona pragnie mnie widzieć?

— Jestem tego pewny — odparł Spot. — A co więcej, ona ciebie potrzebuje. Pójdę jeszcze krok dalej: zdaje mi się nawet, że ty jesteś dla niej wszystkim.

Tiggie przystanął w zamyśleniu i podniósł z ziemi duży kamyk.

— Dzięki — rzekł — nie byłem pewny, jak ona się teraz do mnie odniesie. Pójdę tam zaraz.

Spot zatrzymał go chwilę.

— Może lepiej, gdy ci powiem, że opowiedziała Helenie całą swoją historię. Helena powtórzyła ją mnie.

— Ciesz się to, że wiesz. Spot znowu go przytrzymał.

— Nie wiem wszystkiego — dodał. — Tiggie, gdzie jest ten wariat, twój szwagier?

Tiggie zrobił gwałtowny ruch.

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Dlaczego pytasz?

— Mniejsza o to, dlaczego! — rzekł Spot.

Wzrok Tiggiego spotkał się z jego wzrokiem i wyrażał wyzwanie.

— Zostaw go w spokoju.

— Tak. Sądę, że to będzie najlepsze. Tiggie odwrócił się i odszedł bez słowa.

Drzwi małego domku były otwarte, wszedł więc śmiało do sieni. Joyce siedziała w jadalni i piła mleko.

Na jego widok wybiegła z pokoju i zarzucając mu ręce na szyję szeptała na ucho:

— O, wujciu" Tiggie, ciocia Viola będzie się tak cieszyła. Udał się prosto na górę i zapukał lekko do drzwi.

Odpowiedział mu cichy głos Violi i za chwilę znalazł się przy niej.

Chociaż twierdzą, że mowa jest największym darem człowieka, w najbardziej jednak ważnych chwilach życia nie odgrywa żadnej roli. Wówczas dusza i ciało nie mogą się wypowiedzieć, chociaż posiadają większą moc wyrażania się, niż kiedy indziej.

Tiggie, klęcząc przed łóżkiem Violi, nie wiedział nawet, że stracił mowę. Zdawał sobie jedynie sprawę, że stanowi z nią jedno, że spokój gości w jego sercu i że minęła burza, a on dotarł nareszcie do bezpiecznej przystani...

Dużo czasu upłynęło zanim oboje zdobyli się na słowa, lecz czuli się silniej złączeni, niż kiedykolwiek. Viola z głową ukrytą na jego ramieniu pierwsza się odezwała:

— Tiggie, starałeś się uratować go. Nigdy tego nie zapomnę. To takie podobne do ciebie.

Tiggie odpowiedział, jakby we własnej obronie.

— Musiałem, moja droga. Czulem, że powinienem to uczynić. Zresztą, biedak, żal mi go było.

— Wiem — rzekła. — Wiem. To także takie podobne do ciebie. Będę o tym pamiętała zawsze, zawsze. — Po czym zwróciła swe usta ku niemu z cichym pytaniem: — Tiggie, czy wolno nam teraz zakosztować szczęścia,.. teraz, gdy jesteśmy już bezpieczni.

A on całując ją odpowiedział:

— Wolno. Dzięki Bogu!

** *

Słońce dawno się już schowało, gdy wyszedł od niej. Niemal ukradkiem opuścił mały domek nie chcąc się z nikim spotkać.

Ogarnął go nieskończony spokój szarego zmierzchu, przetkanego różowym blaskiem chowającego się słońca. Tylko morze szeptało tajemniczo i niebo iskrzyło się od gwiazd.

Coś ciągnęło go na wybrzeże, gdzie woda szumiała wśród skał. Doszedł do tego miejsca, gdzie urzeczywistnił się dla niego boski cud. Pierwszy raz w życiu pragnął nie tylko modlić się, ale wielbić Boga. Przepłynął szczęśliwie burzliwe wody i dotarł do cichej przystani. A dzięki wierze, pełnej ufności dziecięcej, która spoczywała w głębi jego duszy, wiedział, że Bóg go tam przyprowadził. Nie drogą zemsty i rozlewu krwi, ale prostego posłuszeństwa i poświęcenia osiągnął pragnienia swego serca.

* * *

Gdy Tiggie nazajutrz obudził się, usłyszał wesołe pogwizdywanie w sąsiednim pokoju. Nadsluchiwał dłuższą chwilę, chcąc się przekonać czy możliwe, aby to był Harvey.

Wnet jednak wątpliwości jego rozwiały się. Harvey we własnej osobie powitał go na korytarzu. Harvey zdrowy i ogolony, pełen uśmiechu.

— Halo! Dokąd dążysz tak wcześnie? Masz może młotek?

— Młotek? — powtórzył Tiggie zdumiony; — Do czego ci potrzebny?

Artysta roześmiał się i pogładził spiczastą bródkę.

— Ach, nie mam zamiaru rozbić czyjejs głowy, lecz chcę zapakować obraz. Może masz ochotę zobaczyć go przedtem?

Tiggie skorzystał z zachęty.

W pokoju panował nieporządek, na łóżku Harveya wszystko leżało porozrzucone.

— Wyjeżdżasz? — zapytał Tiggie.

— Zgadłeś — zaśmiał się Harvey. — Okrutny czyn został spełniony i nic mnie już tu nie trzyma. Wściekle nudna dziura, szczególnie, gdy jedyna w niej kobieta, jest własnością przyjaciela. Oto jest.

Chwycił Tiggiego za ramię i pociągnął za sobą.

— Boże! — rzekł Tiggie.

Obraz stał w rogu, gdzie padało w pełni światło. Tiggie stanął wpatrzony, nie mogąc oczu oderwać od płótna.

— Podoba ci się? — rzekł Harvey za jego plecami. Tiggie odetchnął głęboko.

— Godny podziwu! Jakim sposobem wiedziałeś, człowieku?

— Ach, wiem mnóstwo rzeczy — plótł Harvey żartobliwie — i zawsze czytałem na dnie twej przeźroczystej duszy, nawet, gdy byłeś ode mnie odwrócony. Przyzwoite plecy, prawda Tiggie? Mam na myśli obraz.

Ale Tiggie nie patrzył na postać męską, tylko na kobietę o twarzy niewysłowionej czystości i pełnych wyrazu oczach.

— Godne podziwu! — powtórzył. — Prawdziwy geniusz!

— Włożyłem w to duszę.

Tiggie odwrócił się nagle, aby na niego spojrzeć i na pewien czas spotkał się ich wzrok w zupełnym milczeniu.

Po czym raptownym gestem Harvey przerwał badania, jak ktoś, kto wydobywa broń i chowa ją znowu do pochwy.

— No, im mniej słów tym lepiej — mówił niby swobodnie. — Każdy głupiec ma własne piekło tak samo, jak i swój raj. Ty miałeś swoje, a ja swoje. Byłem na dnie, na samym spodzie, powiadam ci, Tiggie. — Dziwny wyraz jakby wspomnienie minionej udręki, pojawił się w jego oczach. — Niczym ogień piekielny, gdy to trwa. Będę teraz oczarowany spokojem. Może umrę, nim znowu ogarnie mnie szal... jeżeli jest w ogóle śmierć. Sądysz, że tak?

— Nie wiem — odparł Tiggie spokojnie. — Prawdopodobnie nie.

— Ach, wy śmiertelnicy! Wiem, co myślisz... ale wy sami wymyśliliście własne prawa. I musicie się ich trzymać. Nie przemawiają one do mnie i nigdy nie będą przemawiały. Nie należę do was; jedna tylko osoba na świecie wie o tym.

— Kto taki?

Harvey zaczął pakować się z zapalem i wrzucał wszystko do nesesera.

— Janet, naturalnie. Któż inny? Wracam teraz do niej z majątkiem na plecach. A co sądzisz, że mi powie? Co przypuszczasz, że ja chcę, aby mi powiedziała?

— Nie wiem — odparł Tiggie.

— Naturalnie, że nie wiesz — rzekł Harvey współczująco. — Ona więc powie mi: Halo, Harvey, w samą porę przybywasz. Pomóż mi zapędzić do kojca kurczęta.

— Więc? — rzekł Tiggie.

— Więc — powtórzył Harvey i spojrzał na niego oczyma, które drwiły, a równocześnie dońiagały się litości — to wszystko czego pragnę na świecie. A ty masz wreszcie to, czego chciałeś?

— Tak — rzekł Tiggie — ale słuchaj. Harvey przerwał mu krótko.

— Nie mam czasu. Cieszę się jednak, że jesteś szczęśliwy, rad jestem bardzo, chociaż nie mogę się zatrzymywać, aby o tym pomówić. Idź, postaraj się o trochę drzewa, gwoździ i o młotek. Zbijemy trumnę dla tego obrazu! Potem zniknę, zostawiając cię w bezpiecznej przystani.

Harvey zabrał się do pakowania z podwójną energią. Tiggie zaś wyszedł z pokoju.

Nic innego nie pozostawało mu już do zrobienia. Gdy zamknął drzwi, czuł, że spuścił zasłonę nad czymś, na co lepiej było nie patrzeć.

KONIEC